



CZY TUSK BUDUJE NOWĄ TRZECIĄ DROGĘ?



SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

26 (708) 2026
22–28 czerwca 2026
CENA: 13,90 ZŁ
(w tym 8% VAT)

WIELKA AFERA

KASA, BUTA I CYNIZM

TEN WSTRZĄSAJĄCY SKANDAL NA STYKU POLITYKI I SŁUŻBY ZDROWIA TO CIOS W SPLOT SŁONECZNY OBOZU WŁADZY. BYĆ MOŻE CIOS ŚMIERTELNY

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269601 26
Numer w sprzedaży do 29 VI 2026 r.

eprasa.pl a02[illegible]5

Wesprzyj dziennikarstwo śledcze – fundament misji telewizji wPolsce24

Patrzymy władzy na ręce.
Tropimy afery.
Demaskujemy kłamstwa.
Ujawniamy niewygodne fakty.

Wojciech Biedroń
dziennikarz telewizji wPolsce24
laureat nagród SDP za reportaże śledcze



Oglądaj reportaże śledcze **w każdy poniedziałek o 20:05**

WSPIERAJ wPolsce24

wesprzyj.wpolsce24.tv

numer konta FRATRIA S.A.:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577
tytuł wpłaty:
DAROWIZNA

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl a08be23ba5

Niedobrze się robi

Nawet gdyby nie wybuchła afera w Warszawskim Szpitalu Południowym, obecny rząd i tak zasługiwałby na to, by przegrać wybory z powodu sytuacji w służbie zdrowia. Na żadnym innym polu Koalicja Obywatelska nie oszukała Polaków tak ordynarnie jak właśnie w sferze lecznictwa, a przecież wiemy, że konkurencja jest bardzo ostra.

W kampanii 2023 r. politycy KO obiecywali czarodziejską różdżkę, zniesienie limitów i wielkie pieniądze. Jednocześnie brutalnie atakowali rządy PiS, które nie tylko podwoiły budżet NFZ, lecz także liczbę miejsc na studiach medycznych oraz powoli, krok po kroku, skutecznie porządkowały obszar służby zdrowia. Po dojściu Donalda Tuska do władzy pieniędzy nie tylko nie przybyło, lecz wręcz drastycznie ubyło. Przestano płacić za nadwykonania, rozpędzono masową likwidację oddziałów i mniejszych szpitali, a na ministra zdrowia powołano specjalistkę od komercjalizacji, czyli – mówiąc wprost – od prywatyzacji służby zdrowia. Wcześniej pogoniono panią od czarodziejskiej różdżki – zresztą słusznie, bo nigdy nie miała kompetencji niezbędnych do zarządzania tak ważną i skomplikowaną dziedziną, jak opieka zdrowotna.

W sferze służby zdrowia koalicja 13 grudnia zasługiwała na grom z jasnego nieba. I ten grom się pojawił. Ma twarz Dawida Kacprzyka, młodego mężczyzny, który – jakżeby inaczej – w czasie kampanii ostro atakował rządy PiS, wspierał swoją partię matkę, a po zmianie władzy rozsiadł się w strukturach decyzyjnych ważnego szpitala. Na papierze pracował jak stachanowiec, zarabiał miliony, w praktyce oszukiwał na setki tysięcy złotych. I jak wiele wskazuje, zarządzał systemem przywilejów medycznych dla polityków władzy oraz ich przyjaciół, włącznie z salonikiem VIP, w którym osoby wyniesione ponad śmiertelników mogły w spokoju, bez kontaktu z „czernią", oczekiwać na błyskawicznie realizowane badania i zabiegi. Wszystko działałoby zapewne do dziś, gdyby nie konieczność złożenia oświadczenia majątkowego przez Kacprzyka, pełniącego również funkcję radnego Ursusa.



Mleko się rozlało, Polacy zobaczyli cynizm ekipy rządzącej, który bije i tak wyśrubowane rekordy III RP. Ale ujrzeli też świat układów, które przeżerają każdą dziedzinę życia. Układy, układy, układy. Politycy, lekarze, profesorowie medycyny, radni. Panowie życia, w tym przypadku także śmierci, w luksusowych samochodach, robiący wielkie pieniądze na umierającym cielsku publicznej służby zdrowia. To naprawdę widok, od którego robi się niedobrze.

Ale nie można się dziwić. Platforma Obywatelska powstała przecież po to, by być tarczą i spoiwem wszelkich możliwych układów, zarówno pionowych, jak i poziomych. To jest jej najważniejsza funkcja społeczna i polityczna. Tak właśnie ma być. Los Polski jest tu na dalekim planie. Najważniejszy jest los „elit", które własną ojczyznę traktują jak zasób, trampolinę, przestrzeń do kolonizacji. I które – to przynajmniej uczciwe mentalnie – własne dzieci najczęściej wychowują do emigracji, by mogły cieszyć się życiem z dala od tego całego syfu.

Polska pilnie potrzebuje dobrego rządu. Jesienią przyszłego roku po prostu musi dojść do zmiany politycznej, i to zmiany naprawdę radykalnej. Obecny dryf, który bazuje na sukcesach ośmiolecia PiS, staje się niebezpieczny dla naszej wspólnoty. W wielu obszarach zgromadzone rezerwy są na wyczerpaniu. Rząd Donalda Tuska nie odnosi się do najważniejszych wyzwań naszych czasów. W sprawie zapaści demograficznej stać go jedynie na grepsy i wygłupy. W sprawie służby zdrowia nie stać go na nic, nawet na udawanie, że ma jakiś plan. Minister zdrowia nie widać, niczego nie mówi, niczego nie komunikuje, niczego nie planuje. Tak jakby po prostu bała się wyjść z gabinetu. To zresztą nie tylko jej przypadek – większość ministrów sprawia wrażenie przerażonych zadaniami państwowymi. Tylko jeden czuje się jak ryba w wodzie, bryluje i dowcipkuje – minister spraw wewnętrznych i administracji Marcin Kierwiński, a jednocześnie szef stołecznej KO. Ten „wzór obywatela", jak go określił premier Tusk, zdaje się patronem wszystkiego, co zobaczyliśmy w Warszawskim Szpitalu Południowym.

Jacek Karnowski

Autopromocja

SIECI

spis treści



30 Klątwa wicków
Stanisław Janecki



36 Polska wróciła upomnieć się o swoich
Mariusz Pilis



57 W sporze z legendą
Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

5 **LESZEK KRASKOWSKI – WIĘZIEŃ POLITYCZNY**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **KONFEDERACJA LIGHT**
Dorota Łosiewicz

9 **RUDY I BRUDY**
MuMa

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **PIZZA Z KREWETKAMI, MIESZKANIE NA BEMOWIE I BRUKSELSKIE SPECJAŁY**
Daniel Obajtek

13 **PHILIA**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA ŁUKASZA LENDY**
Michał Korsun

16 **BUNDESPOLIZEI W ROLI GESTAPO**
Jan Pietrzak

16 **ZŁOTA LEGITYMACJA**
Samuel Pereira

17 **35 LAT TRAKTATU? NIE MA CZEGO ŚWIĘTOWAĆ**
Arkadiusz Mularczyk

18 **PODWÓRKO KRAJOWE**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

20 **WŁADZA SIĘ WYLECZY!**
Piotr Gursztyn

KRAJ

24 **NIEMIECKA PACYFIKACJA POLSKIEJ PAMIĘCI**
Marzena Nykiel

27 **SPISEK TUSKA CZY TRATWA RATUNKOWA?**
Konrad Kołodziejski

30 **KLĄTWA WICKÓW**
Stanisław Janecki

33 **WOŁYŃ FUNDAMENTEM DZIAŁALNOŚCI UPA**
Z prof. dr. hab. Mirosławem Szumiłą rozmawia Stanisław Płużański

36 **POLSKA WRÓCIŁA UPOMNIEĆ SIĘ O SWOICH**
Mariusz Pilis

38 **POPULISTYCZNE WETO**
Jan Rokita

ŚWIAT

42 **CHCEMY ODNOWIĆ FRANCJĘ I EUROPĘ**
Z Jordanem Bardellą rozmawia Aleksandra Rybińska

45 **KRYM: UKRAIŃSKI KLUCZ DO ZWYCIĘSTWA**
Marek Budzisz

OPINIE

48 **DWA ŚWIATY**
Dariusz Matuszak

52 **LEX BIG PHARMA**
Maciej Pawlicki

KOŚCIÓŁ

54 **GIETRZWAŁD: MIEJSCE ŁASKI DLA POLSKI I POLAKÓW**
Jerzy Szmit

SIECI KULTURY

57 **W SPORZE Z LEGENDĄ**
Jolanta Gajda-Zadworna

60 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

62 **DALEKO IM DO GWIAZD**
Maciej Walaszczyk

GOSPODARKA

65 **POZNALIŚMY NAJLEPSZYCH MŁODYCH FANÓW EKONOMII W POLSCE!**
Maciej Wośko

PODRÓŻE

66 **MOJE SZLAKI: LESZEK TALKO**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

67 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

68 **FINAL AGE**
Robert Tekieli

70 **PRAPRZYCZYNA**
Wojciech Reszczyński

71 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

72 **ŻEROWISKO**
Aleksander Nalaskowski

73 **BRZYDSZA TWARZ MUNDIALU**
Ryszard Czarnecki

74 **KAMIEŃ FILOZOFICZNY POLSKOŚCI. ODSŁONA DRUGA**
Andrzej Zybertowicz

eprasa.pl a08be23ba5

BRONISŁAW WILDSTEIN

Leszek Kraskowski – więzień polityczny

Fundamentem demokracji jest funkcjonowanie opozycji, wolnego obiegu informacji oraz bezstronnego wymiaru sprawiedliwości. Opozycja gwarantuje, że niezadowoleni z rządu obywatele mogą wybrać inny. Niezależny obieg informacyjny umożliwia rozpoznanie stanu rzeczy. Bezstronne sądy bronią przed przemocą władzy. Rząd Donalda Tuska usiłuje wyeliminować opozycję, zlikwidować wolny obieg informacji i podporządkować sobie sądy.

Dzieje się to nie tylko za przyzwoleniem, lecz także zachętą władz UE. Łamanie prawa nazywane jest jego „przywracaniem", likwidacja niezależnych mediów ma być ich „pluralizacją", uderzenie w opozycję to według Brukseli odbudowa demokracji. Establishment unijny traktuje Polskę jako poletko doświadczalne, na którym testuje, jak daleko może posunąć obronę swojej oligarchicznej władzy. A posuwa się coraz dalej.

Aresztowanie Leszka Kraskowskiego to represjonowanie niezależnego dziennikarza za ujawnienie afery Polnord. Na swojej internetowej stronie reporterzy.online Kraskowski dokumentował operację, której mózgiem był – jak wszystko wskazuje – Roman Giertych, wiceprzewodniczący rządzącej partii i consigliere jej ojca chrzestnego Donalda Tuska. Chodziło o kradzież udziałowcom spółki ponad 90 mln zł.

Koalicja 13 grudnia wymieniła prokuratorów zajmujących się tym przestępstwem. Odebrano je sędziemu, który nad nim wcześniej pracował, a nowy, ściągnięty specjalnie z Wrocławia, błyskawicznie umorzył sprawę na „tajnym" posiedzeniu. Giertych, wytrawny i uznany prawnik, miał nie rozumieć dokumentów, które podpisywał, a które podsuwał mu jego ochroniarz. Również temu włos z głowy nie spadł. Pieniądze, które wypływały z Polnordu, zasilały konta spółek firm związanych z Giertychem i jego żoną, a operacją ich prania zajmowała się specjalistka, najprawdopodobniej związana ze służbami Putina.

Detalicznie pokazał to Kraskowski.

Giertych groził mu publicznie, ale ociągał się z podaniem do sądu, natomiast jego ludzie, którymi zawiaduje Jan Piński, rozpoczęli nagonkę na Kraskowskiego. Była to kampania pomówień, m.in. o współpracę z tajnymi służbami oraz permanentne straszenie. Pojawił się człowiek, który nożem i pojemnikiem z gazem groził dziennikarzowi oraz jego rodzinie. Policja nie reagowała. Dziennikarz w ostrych słowach domagał się ochrony i wskazywał, że za bagatelizowanie napaści odpowiada komendant policji w Piasecznie, gdzie Kraskowski mieszka.

Dziennikarz został zatrzymany na komendzie, gdzie schronił się przed goniącym go samochodem. Okazało się, że jechali nim tajniacy. Bezprawnie przeszukano samochód Kraskowskiego, a następnie, bez świadków, jego mieszkanie.

Następnie został osadzony w areszcie na trzy miesiące. Wbrew prawu i żądaniom oskarżonego jego adwokat nie został dopuszczony do śledztwa.

Kiedy po pięciu dniach zabiegów spotkał się wreszcie ze swoim klientem, okazało się, że ten przebywa w areszcie w krótkich spodenkach i podkoszulku – zatrzymano go w upalny dzień i odmówiono prośbom o dostarczenie ubrania. Uznany za „niebezpiecznego" Kraskowski nie może opuszczać celi, nawet na spacer, bez zakucia w kajdanki. Ten stan rzeczy wiceminister sprawiedliwości uznaje za rutynę.

Uzasadnienie aresztowania, które po kilku dniach przedstawiła prokuratura, ma pretekstowy charakter. „Pokrzywdzonym" ma być komendant policji z Piaseczna. E-mail z groźbami Kraskowski miał wysłać z nowo stworzonego konta, na którym jednak nie zapomniał się podpisać. Biorąc pod uwagę świeżą aferę z wysyłaniem fałszywych zawiadomień, które powodowały wkraczanie policji do mieszkań opozycyjnych dziennikarzy, a nawet matki urzędującego prezydenta, uzasadnienie to zakrawa na kpinę. Posiadanie bez zezwolenia broni gazowej, która nie jest zakazana, nie stanowi również podstawy do aresztu.

Prokuratura doczepiła do uzasadnienia ciągnącą się od dawna sprawę rozwodową Kraskowskiego. Nie wnikam w racje stron. Być może wina leży po stronie dziennikarza. Nie ona była jednak podstawą i przyczyną jego aresztowania. Natomiast wyciąganie problemów rodzinnych jest typową metodą odbierania dobrego imienia przeciwnikom reżimu.

Śledztwo prowadziła policja w Piasecznie, co stanowiło pogwałcenie wszelkich zasad, gdyż to ona ma być „pokrzywdzona" przez oskarżonego. Dopiero po protestach adwokata sprawę przekazano do Warszawy.

Symetryści, którzy również protestują, podkreślają, że problemem jest nadużywanie aresztu śledczego w III RP. Czyli znowu nic wyjątkowego. Wprawdzie nadużywanie aresztu jest faktem, ale z zastosowaniem go jako represji wobec dziennikarza mamy do czynienia po raz pierwszy. Jest to skok jakościowy, który sytuuje nas poza granicami demokratycznego państwa prawa, tak jak uznanie przez obecną władzę działalności politycznej za kryminalną.

Państwem trzęsie osobnik, który powinien znaleźć się w więzieniu, a trafia tam dziennikarz badający jego afery. Kryptodyktatura odrzuca maskę.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a08be23ba5



Sygnalista nadaje

Nieprzyjemna historia. Jak to się stało, że ten ***Nawrocki*** z Gdańska wbił się do Białego Domu w Waszyngtonie? Dlaczego nie Rafał, który zna tyle języków i nawet wie, jak jest „dzień dobry" po francusku? Bążur – gdybyście nie wiedzieli. Dlaczego nie Pan Premier Tusk, który jest naszym srebrem rodowym, atutem międzynarodowym, którego nikt nigdy nie ogra, ani w Unii Europejskiej, ani w żadnym innym Mercosurze? Dlaczego nie nasz ambasador pełnomocny Boguś Klich, który ma świetne kontakty w całym Waszyngtonie, a nawet dalszych okolicach? Gdzie podziało się zaproszenie dla pana Radka Sikorskiego (to ten słynny internauta z Chobielina)? Dla niego też musiało być zaproszenie. Na pewno miał wyznaczone imienne miejsce na trawniku przed Białym Domem. Jest tylko jedna odpowiedź: Nawrocki zajumał te zaproszenia i wszedł do środka, podając się za kogoś innego. Np. pana Tuska, który jak wiadomo – jako jeden Donald za dużo – utrzymuje świetne i przyjazne relacje z panem Trumpem.

Na obecnym etapie mądrość nakazuje nam, aby mówić o panu Trumpie nieprzesadnie źle. Nie będziemy podkreślać, że jest agentem Putina, o co upraszamy też całą stronę demokratyczną. A zwłaszcza koleżeństwo z Silnych Razem, aby teraz tego nie pisali. To nie jest też moment na przypominanie zbrodniczej inwazji na Grenlandię. Rząd Polski Uśmiechniętej debatuje nad sprowadzeniem większej liczby amerykańskich żołnierzy do Tenkraju. Niedobrze by było, gdyby laury za to zebrał ten Nawrocki z Gdańska. Tak jak próbował przypisać zasługi za zakup samolotu F-35 niejakiemu Błaszczakowi z Legionowa. Podczas gdy wszyscy pamiętamy, że PiS było przeciwne zakupowi samolotów F-35 oraz czołgów Abrams i K2. To PiS protestowało przeciw budowie płotu na granicy, a Macierewicz z Bąkiewiczem zanosili tam pizzę dla nachodźców z Trzeciego Świata. To PiS było przeciwne stworzeniu Wojsk Obrony Terytorialnej i obrażało żołnierzy, nazywając ich mudżahedinami Kosiniaka.

PS Czy nie uważacie, że pomarańczowy będzie najmodniejszym kolorem tego sezonu?

Jeśli ktoś z naszej demokratycznej strony ma jakieś wątpliwości odnośnie do sprowadzenia tego amerykańskiego konia trojańskiego, to spieszymy z wyjaśnieniami. Pamiętamy oczywiście apel autorytetki moralnej Michalik Elizy, by wyrzucić USA z NATO i przyjąć w to miejsce Chiny. To interesująca propozycja, ale na razie trudna do zrealizowania. Rząd Polski Uśmiechniętej podjął próby zwiększenia naszego bezpieczeństwa za pomocą francuskiej parasolki atomowej, ale okazuje się, że jest ona zbyt mała i trochę się zacina. Podobnie wolelibyśmy osoby żołnierskie z Niemiec, ale okazuje się, że Mocarstwo Moralne nie ma ich zbyt wielu. Za to Francja też ma ich za mało. Zostaje więc tylko Pomarańczowy zza wielkiej wody.

Ważny temat, czyli prawa zwierząt. Osoba podająca się za dziennikarza śledczego, Leszek K. (dawniej Kraskowski), został oskarżony o przemoc wobec pcheł w areszcie na Białołęce. Te miłe zwierzęta występują tam w swoim środowisku naturalnym, umilając pobyt pen-

eprasa.pl a08be23ba5

sjonariuszom tej zasłużonej placówki. Leszek K. zaatakował tamtejszą faunę, jednocześnie składając fałszywe zawiadomienie o tym, że padł ofiarą zwierząt z rzędu Siphonaptera. Murem za pchłami! Nie pozwólmy niszczyć siedlisk i dobrostanu tych pięknych zwierząt.



Stare przysłowie mówi: lepszy Kraskowski w areszcie niż Ziobro w USA. Aresztowanie na trzy miesiące – szkoda, że tylko tyle – tego groźnego hejtera, oczerniającego postać tak bezinteresowną jak mecenas Giertych, jest najlepszym dowodem na to, że resort ministra ***Żurka*** ma wymierne osiągnięcia. Może i nie udało mu się do tej pory rozliczyć żadnego pisowca, ale za to media otrzymały wyraźny sygnał, by zachowywały się odpowiedzialnie i wróciły do tego, co jest ich celem: rozliczania PiS.



Jeśli chodzi o praworządność (tak jak my ją rozumiemy), to wreszcie przyszła pomsta za cierpienia Staszka Gawłowskiego. Drwal Praworządności wywalił ze stanowiska Julitę, żonę tego Boguckiego, co pracuje u Nawrockiego. Ta Julita była jakąś szychą w prokuraturze, więc Waldek nie mógł tego tak zostawić. Zwłaszcza że nie wiedział, jak dowalić Boguckiemu, a bardzo chciał. No to walnął w jego żonę. Słusznie! Nie ma praworządności dla wrogów praworządności (tak jak my ją rozumiemy). No i najważniejsza sprawa: prokurator Julita prowadziła śledztwo przeciwko Staszkowi Gawłowskiemu. To przez nią cierpiał. Czas też wywalić bachory ze szkoły (albo przedszkola).



PS Skoro w Zachodniopomorskim Wydziale Zamiejscowym Prokuratury Krajowej zwolniło się miejsce po Julicie, może objęłaby je Paulina Kosiniak-Kamysz? To sprytna dziewczyna. Może nie ubiera się zbyt gustownie, ale za to pasuje do każdego miejsca. Nawet do lotnictwa wojskowego.



W wymiarze sprawiedliwości dzieją się też rzeczy niepokojące. Sąd naruszył prawa człowieka ***Marty Cienkowskiej***, ministry kultury, która przypadkowo rozjechała motocyklistę. I zamiast rozliczyć winnego, czyli motocyklistę, który bez potrzeby jeździł tam, gdzie poruszała się osoba ministerska ds. kultury, sąd prześladuje Martę. Praworządna prokuratura domagała się, by umorzyć tę sprawę, a sąd, że nie! I teraz odbędzie się rozprawa, a Marcie grozi kara nawet trzech lat pudła. Ministrze Żurku! Zrób coś, przecież to nie jest jakaś prawaczka!



W Konfederacji jak w PiS. Też zakładają stowarzyszenia niezgodne ze słuszną linią partii. Jest jednak pewna różnica, bo w PiS Kaczor Dyktator mówi, że wyrzuci z partii tych, którzy zakładają stowarzyszenia, ale nie wyrzuca. W Konfederacji jest bardziej demokratycznie: ***Sławek Mentzen*** nie mówi, że wyrzuci z partii, ale za to wyrzuca. Ten los czeka ***Ewę Zajączkowską-Hernik***, która założyła swój fanklubik o zaściankowej nazwie Ruch Biało-Czerwoni. Pierwsze wyrzucenia z Konfy już nastąpiły. I bardzo słusznie. Bo jest poważny powód. Towarzysze z Konfy (tej prawidłowej) zwracają uwagę, że Ewa używa zbyt ostrego języka, a to szkodzi słusznej linii partii. Najgorsze było to – czytamy w mediach – że Ewa w nieodpowiedzialny sposób wypowiadała się o najsłynniejszym lekarzu Tenkraju, czyli Dawidzie ze Szpitala Południowego. „W czatach od ludzi od Mentzena dowiedzieliśmy się, że takie słowa nie działają na korzyść Konfederacji. Że za mocno »przejechała się« po tym lekarzu" – informują posłowie Konfy.

No właśnie? Dlaczego Ewa zaatakowała Dawida Kacprzyka? Przecież to człowiek sukcesu, a Konfederacja (zwłaszcza ta od Mentzena) takich szanuje. I optymalizuje im podatki. Dawid jest taki, jakim chciałby być każdy młody konfederata (ci starsi wiedzą, że już im się nie uda). Ci młodzi też chcą zarabiać 100 tys. zł miesięcznie i mieć Porsche Panamera. A przecież to możliwe dla każdego w Tenkraju. Gdy tylko Konfederacja dojdzie do władzy, zlikwiduje ZUS, NFZ i obniży wszystkie podatki.

Dawid to człowiek sukcesu, nie tylko osobistego. To symbol sukcesu, jaki osiągnęła Polska rządzona przez pana premiera Tuska. Za czasów pisowskiej okupacji młodzi lekarze chcieli uciekać z Tenkraju. Dawid jednak zacisnął zęby, został i dzisiaj jest wizytówką swojej partii. Ciężko pracował na wielu stanowiskach, ale był za to godziwie wynagradzany. Przynależnością partyjną i pracą ludzie się bogacą!

Ciasteczkowy potwór grasuje w Poznaniu. Zaatakował wybitnego samorządowca, demokratycznego i postępowego pana Jaśkowiaka. Dokonał ataku kinetycznego za pomocą ciastka z bitą śmietaną, trafiając w garnitur prezydenta stolicy Pyrlandii (nietani garnitur, więc szkody są znaczne). Potępiamy napaść, wyrażamy solidarność z ofiarą agresji i wzywamy do surowego ukarania agresora (łącznie ze wszystkimi pakietami sankcji). Jednocześnie gratulujemy panu prezydentowi Jaśkowiakowi dołączenia do elitarnego klubu autorytetów trafionych gastronomicznie, czyli do grona ludzi, takich jak Leszek Balcerowicz, Jerzy Buzek, Andrzej Olechowski i Aleksander Kwaśniewski (w tym przypadku były jajka, ale to też nabiał, tak jak bita śmietana).

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk

eprasa.pl a08be23ba5

WIEŻA BAB

Konfederacja light

Nowa partia ma nie walczyć z rządem. Ma go... mobilizować. Czyli nowy byt powstaje po to, by wspierać tych samych ludzi jeszcze mocniej

Ryszard Petru znów zakłada partię. Kobiety regularnie zmieniają torebki (podobno), są tacy, którzy regularnie zmieniają telefon na nowszy model, inni wymieniają ekspres do kawy. Są też politycy, którzy regularnie dochodzą do wniosku, że problemem nie były ich pomysły ani oni sami, tylko szyld.

Petru był już ojcem Nowoczesnej oraz partii Teraz! Był też członkiem Unii Wolności, a z list Polski 2050 wszedł w tej kadencji do Sejmu. Teraz jest w klubie Centrum. Ale nadciąga nowy rozdział politycznej sagi pod roboczym tytułem „Konfederacja light". I trzeba przyznać: dawno żaden polityk nie nazwał swojego projektu tak uczciwie.

Bo „light" to w Polsce kategoria szczególna. Cola light nie jest colą. Majonez light nie jest majonezem. Teraz dostaniemy Konfederację light, czyli coś, co ma smakować jak bunt przeciw establishmentowi, ale bez nieprzyjemnych skutków ubocznych w postaci sporów z Brukselą czy zbędnego radykalizmu. Pomysł jest prosty: zabrać wyborców Konfederacji, ale zostawić wszystkie elementy, które odstraszają umiarkowanego mieszkańca dużego miasta, prowadzącego działalność gospodarczą, mającego kredyt i konto oszczędnościowe. Ma być wolnościowo, ale odpowiedzialnie. Prorynkowo, ale europejsko. Czyli polityczny odpowiednik wegańskiego burgera imitującego wołowinę.

Petru tłumaczy, że chodzi o ludzi, którzy są rozczarowani rządem, ale nie chcą głosować na prawicę. Innymi słowy: szuka wyborcy mitycznego centrum. Tego samego, którego od 15 lat tropią wszystkie ruchy obywatelskie i projekty o nazwach typu „Nowa Energia", „Tak! Dla Polski" albo „Rozsądna Przyszłość". To człowiek, który codziennie rano czyta raport OECD, po południu narzeka na podatki, wieczorem ceni integrację europejską, a w weekend marzy o deregulacji piekarni. W polskiej polityce ten wyborca jest jak yeti – wszyscy o nim mówią, lecz nikt go nie widział.

Ale w historii tego projektu jest też pewien element konsekwencji. Ryszard Petru od lat pozostaje wierny pewnej idei: zawsze istnieje jeszcze jedna partia, której Polska właśnie potrzebuje. To polityczny startupizm w najczystszej postaci. Gdy nie działa wersja pierwsza, robimy pivot. Gdy nie chwyta wersja druga, rebranding. Gdy nie uda się wejść na rynek, zmieniamy opakowanie i wracamy z nową prezentacją.

Jeszcze w 2019 r. Petru mówił o ambicjach sięgających najwyższych stanowisk. Jak wiadomo, historia potoczyła się mniej hollywoodzko. Zamiast drogi do kancelarii premiera była raczej długa podróż przez kolejne polityczne poczekalnie, projekty i przystanki. Ale jest coś imponującego w tej odporności. Gdy inni kończą kariery po jednej, dwóch porażkach, Petru wygląda tak, jakby traktował je jako wersję beta.

Może dlatego „Konfederacja light" ma pewien potencjał. Nie dlatego, że zmieni układ sił. Nie dlatego, że zabierze tlen komukolwiek. Z tego powodu, że w epoce politycznych emocji Petru konsekwentnie oferuje coś innego: niekończący się serial o człowieku, który zawsze wierzy, że następny sezon będzie przełomowy. Najciekawsze jest jednak uzasadnienie całego przedsięwzięcia. Nowa partia ma nie walczyć z rządem. Ma go... mobilizować. Czyli nowy byt powstaje nie w odruchu sprzeciwu, ale po to, by jeszcze mocniej wspierać tych samych ludzi. Nie odchodzimy. Nie protestujemy. Nie tworzymy alternatywy. My po prostu będziemy bodźcować.

Ale może właśnie w tym jest metoda. Może Petru odkrył coś, czego nie rozumieli klasyczni politycy. Że dziś nie buduje się partii na dekady. Buduje się wersje. Polityka 1.0. Polityka 2.0. Polityka premium. Polityka light. A za rok lub dwa może: Konfederacja light plus. Bez radykalizmu. Bez obciążeń. I – jak pokazuje doświadczenie – bez gwarancji długoterminowej, ale zawsze z potencjałem.

Dorota Łosiewicz



Pociąg do Łomży

W gabinecie Ronalda Kła – mimo że przebywało tam kilka osób – panowała cisza, którą przerywało jedynie regularne chrapnięcie najlepszego premiera w historii Tenkraju. Kieł spał w fotelu. Oprócz niego w pomieszczeniu byli jeszcze minister spraw zagranicznych Radek Świrowski, minister spraw wewnętrznych Marcin Pogłosowski, ministra edukacji Barbara Niejaka oraz Magdalena Dwojga-Nazwisk, której funkcji w rządzie nikt nie pamiętał, ale wszyscy wiedzieli, że Kieł szykuje ją na swoją następczynię. Mężczyźni badawczo wpatrywali się w twarz premiera, kobiety natomiast mierzyły się wzajemnie nienawistnym wzrokiem. Niejaka nienawidziła tej nowej, bo zajęła należne jej miejsce najbardziej zaufanej („i najpiękniejszej" – co często w myślach podkreślała) kobiety w otoczeniu Ronalda. Z kolei Dwojga-Nazwisk, choć opromieniona sławą osoby odpowiedzialnej za pożyczkę Sejf, obawiała się wpływów byłej faworytki.

Zebrani byli lekko zdezorientowani, bo premier wezwał ich na szalenie ważną naradę dotyczącą przyszłości Tenkraju i jakieś 3 minuty po przybyciu gości zasnął w trakcie zagajania dyskusji, położywszy wcześniej nogi na stole.

Pierwszy krępujące milczenie przerwał lekko ściszonym głosem Świrowski:

– No i nie wiemy, co chciał powiedzieć, bo zasnął. Starzy ludzie często tak mają, że zasypiają w pół zdania...

– Ty się Ronalda nie czepiaj – warknęła Baśka Niejaka, bo choć przestała zajmować szczególne miejsce w sercu premiera, to jednak wciąż czuła do niego miętę. – Jest po prostu zmęczony. Władza wyczerpuje, a władza absolutna wyczerpuje absolutnie.

Magdalena Dwojga-Nazwisk spojrzała na Baśkę z wyższością.

– Ronald nie jest wyczerpany władzą, tylko podróżą pociągiem – powiedziała. – Z przyczyn wizerunkowych odbył podróż z Ostrołęki do Łomży, by pokazać Tenkrajczykom, iż rząd inwestuje w kolej. Przy okazji chciał udowodnić, że jest blisko ludzkich spraw...

– Ależ b-b-b-były ja-a-a-a-ja – wyjąkał Pogłosowski. – Trzeba było wstrzymać cały ruch pociągów na północ od stolicy, żeby premier mógł się przejechać. Całe 37 km.

– I to go tak zmęczyło? Przejechanie pociągiem takiego kawałka? W dodatku w wagonie zamówionym jeszcze przez ludzi Fiony? Nie, to musi być starość. – Świrowski miał wątpliwości.

– N-n-nie masz racji, Radku – powiedział Pogłosowski. – Ronald był totalnie wyczerpany psychicznie, bo siedząc w tym pociągu, bał się, że ktoś się dosiądzie i będzie zadawał trudne pytania. On nie jest przyzwyczajony do odpowiadania na nieustalone wcześniej pytania.

W tym momencie Kieł zanucił przez sen: „Nie pytaj mnie, wiem tyle co i ty...". Potem twarz mu stężała i zaczął nerwowo mamrotać: „Nie mam biletu, jadę bez biletu!". Zatroskana Magdalena Dwojga-Nazwisk pogłaskała go czule po policzku. – Cicho, Ronaldzie, ja mam twój bilet do raju – wyszeptała mu zmysłowo do ucha.

To wyznanie obudziło Kła, który zamrugał oczami.

– Długo spałem? Ależ te mistrzostwa dają mi w kość... – powiedział lekko nieprzytomnym głosem. – Jestem totalnie niewyspany. Ten Pomarańczowy specjalnie wymyślił mecze w środku nocy, abym był niewyspany, bo wie, że jestem kibicem. Za co on mnie tak nie lubi?

– Za wszystko – wypalił Świrowski.

– Ty się, Radku, czepiaj tramwaju w Bydgoszczy – odpowiedział ostro Kieł. – Za tobą Pomarańczowy też nie przepada, bo jak leciałeś do Białego Domku, to ci kazał stać na trawniku!

– Ja bardzo lubię naturę, wcale mi to nie przeszkadzało – zaripostował Świrowski. – Ty się ciągle gapisz na facetów biegających po trawie...

– To co innego. Piłka nożna to wspaniała rozrywka! Zwłaszcza jak grają nasi.

– Ale przecież na mistrzostwach nasi nie grają – zauważyła nieśmiało Niejaka.

- Ech, Baśka, Baśka... Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć, że trzeba się wznieść ponad ten zaściankowy patriotyzm. – Kieł pokiwał głową z dezaprobatą. – Jak nie ma jednych naszych, to kibicujemy innym naszym, którzy grają i zaczęli znakomicie!

– Oczywiście! – Klasnęła w ręce Dwojga-Nazwisk, patrząc bezczelnie w twarz Niejakiej. – Normalnie pobili tych kelnerów z Curaçao.

Na twarzy Kła pojawił się szeroki uśmiech:

– Nie tylko ich! Właśnie dostałem SMS od Manfreda, że pobili też Roberta Trzmielewicza.

– I co mu odpisałeś, Kierowniku? Będziemy protestować? – zapytał Pogłosowski.

Kieł spojrzał na niego ze zdziwieniem:

– Zwariowałeś? Napisałem mu tylko: „dziękuję"!

MuMa

Fot.Grafika wygenerowana przez AI/MuMIN

eprasa.pl a08be23ba5

Szlabanu nie będzie



+ Szwajcaria

Nie będzie ograniczenia imigracji do Szwajcarii – tak zdecydowali mieszkańcy tego kraju w ostatnim referendum, które miało zmusić rząd do zatrzymania wzrostu liczby ludności na poziomie 10 mln osób.

W tej chwili w Szwajcarii mieszka 9,1 mln ludzi i ta liczba wciąż rośnie. Problem polega na tym, że wzrost demograficzny jest napędzany głównie imigracją, a nie rosnącą liczbą urodzeń. Z badań wynika, że już prawie jedna trzecia obecnych mieszkańców Szwajcarii urodziła się za granicą. Wywołało to obawy przed zdominowaniem kraju przez imigrantów, stąd pomysł „zamrożenia" liczby ludności.

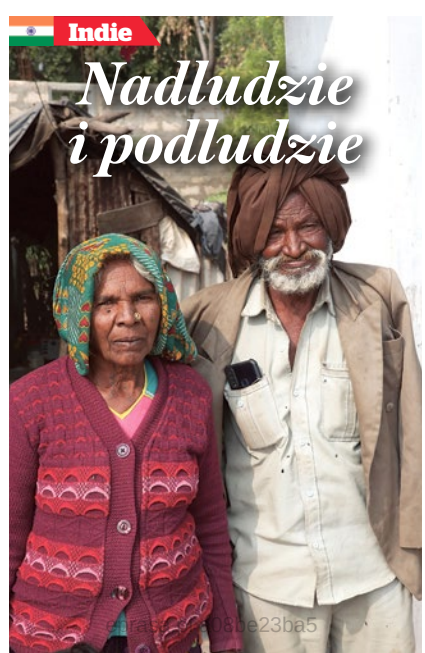
Pomysłodawcą referendum, które odbyło się 14 czerwca, była Szwajcarska Partia Ludowa (SVP), która w 2009 r. przeforsowała w podobnym głosowaniu zakaz wznoszenia nowych minaretów. Tym razem inicjatorzy referendum domagali się ograniczenia populacji kraju do 10 mln osób. Tłumaczono, że dalszy wzrost liczby ludności prowadzi do pogorszenia standardu życia – wzrostu cen, braku mieszkań, korków i degradacji środowiska naturalnego. Gdyby ta inicjatywa weszła w życie, rząd zostałby zmuszony do podjęcia środków powstrzymujących imigrację, w tym do wycofania się z wielu umów zawartych z Unią Europejską. Za ograniczeniem liczby ludności opowiedziało się 45 proc. obywateli, przede wszystkim mieszkańców prowincji. Jednak większość głosujących (55 proc.), głównie pochodzących z dużych miast we francuskojęzycznej części kraju, odrzuciła tę ideę. „Miasta niszczą kraj" – podsumował wyniki głosowania szef SPV Marcel Dettling.

Sprawa jest jednak nieco bardziej skomplikowana. W odróżnieniu od wielu innych państw Europy, które zostały spustoszone przez imigrantów z Azji i Afryki, przeważającą część imigracji w Szwajcarii wciąż stanowią przyjezdni z sąsiednich krajów – głównie Niemcy i Włosi, skuszeni atrakcyjnymi miejscami pracy oraz wysokimi zarobkami. I choć niektórzy Szwajcarzy skarżą się, że zagraża to ich tożsamości, np. poprzez wypieranie szwajcarskiej wersji języka niemieckiego przez „wysoki niemiecki", którym mówi się w Niemczech, to tego rodzaju różnice kulturowe nie mają fundamentalnego znaczenia dla większości. Poważniejszy problem stanowią rosnące koszty życia, bo duży udział zamożnej imigracji wpływa na wzrost cen.

Nie zmienia to jednak tego, że bez poprawy sytuacji demograficznej Szwajcaria może być skazana na imigrantów. I to nie tylko z bogatych krajów, lecz także z odległych zakątków świata. Z powodu gwałtownego starzenia populacji (w zeszłym roku w Szwajcarii po raz pierwszy było więcej mieszkańców liczących powyżej 65 lat niż tych poniżej 20. roku życia) już wkrótce zabraknie rąk do pracy. A to może oznaczać koniec wielowiekowej prosperity.

Konrad Kołodziejski

Nadludzie i podludzie


Indie

Ta śmierć wstrząsnęła Indiami i po raz kolejny ożywiła dyskusję na temat systemu kastowego. Oficjalnie pozostaje on zakazany od 1947 r., jednak nadal panuje w wielu miejscach kraju, ponieważ jest zbyt głęboko zakorzeniony w miejscowej kulturze i hinduistycznej mentalności.

Sprawa dotyczy 19-letniej Shivani Chauhan, która postanowiła poślubić swojego sąsiada, 20-letniego Lalita Vermę. Rodzice dziewczyny nie wyrazili na to zgody, ponieważ wybranek należał do kasty dalitów, a więc „niedotykalnych", z którymi członkowie wyższych kast nie powinni utrzymywać kontaktów, aby się nie splamić. Młodzi byli jednak zakochani w sobie, więc wyjechali do innego miasta, gdzie się pobrali i wspólnie zamieszkali.

Mimo to rodzice nie dali za wygraną i oskarżyli Vermę o porwanie dziecka. Policja odnalazła małżonków i przewiozła ich na komisariat w Badausie w stanie Uttar Pradesh, gdzie zorganizowano mediację między Shivani a jej ojcem i matką, chcących nakłonić córkę do zmiany zdania. Podczas spotkania, które odbywało się w obecności policjantów, 19-latka wielokrotnie powtarzała, że jest pełnoletnia, wyszła za mąż dobrowolnie z miłości i chce pozostać z Vermą do końca życia. Gdy nalegania nie pomogły, matka dziewczyny chwyciła ją za ręce i przytrzymała z tyłu, a ojciec wyjął ukryty pod ubraniem nóż i kilkoma ciosami zadźgał córkę. Po dokonaniu mordu na własnym dziecku rodzice nie wyrazili skruchy, wręcz przeciwnie: byli dumni ze swego czynu, a całą winę zrzucili na nią.

Zbrodnia wywołała w Indiach szok. Nie było to pierwsze „zabójstwo honorowe", którego ofiarą została osoba zaangażowana w związek międzykastowy, jednak po raz pierwszy dokonano go na komisariacie policji, w obecności funkcjonariuszy, których obowiązkiem jest zapewnienie fizycznego bezpieczeństwa osobom narażonym na przemoc kastową. Ten przypadek pokazuje, że plaga społeczna, którą chciał wytępić Mahatma Gandhi, w Indiach nadal jest daleka od wyplenienia.

Grzegorz Górny

Złoto dla AfD

3 lipca 2018 r. emeryt z dolnosaksońskiego miasta Bückeburg wjechał samochodem na łąkę na obrzeżach miasta, oblał się benzyną i podpalił. W mieszkaniu samobójcy, którym okazał się 79-letni Reiner Strangfeld, policjanci odkryli notatkę wskazującą na to, że ukrył tam skarb w postaci sztabek złota i monet. Znaleziono je w szafce w salonie i pod płytkami w piwnicy.

Od sześciu miesięcy Sąd Rejonowy w Bückeburgu bada, czy inżynier i wynalazca, który wzbogacił się dzięki inteligentnemu systemowi spłukiwania toalety, opracowanemu dekady temu, był świadomy swoich działań latem 2018 r. W ostatnich tygodniach przed śmiercią Strangfeld sporządził kilka testamentów. W ostatecznej wersji z 18 czerwca 2018 r. zapisał cały swój majątek „partii AfD, która weszła do Bundestagu". Wartość spadku to 35 mln euro, do tego nieruchomości oraz aktywa pieniężne i kolejne sztabki złota w sejfach bankowych.

Jak pisze tygodnik „Der Spiegel", spuścizna po wynalazcy z Bückeburga była największą jednorazową darowizną na rzecz partii politycznej od czasu utworzenia RFN. Stanowi ona znaczną część majątku partii, który w sprawozdaniu finansowym za 2024 r. oszacowano na ok. 41 mln euro. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że dalsi krewni Strangfelda kwestionują testament i domagają się od AfD zwrotu majątku. Twierdzą, że emeryt cierpiał na zaburzenia psychiczne i gdy sporządzał dokument, był „niespełna rozumu". Żył w izolacji od świata i miał prowadzić „długie, męczące monologi" o politycznych spiskach.

Według „Der Spiegel" kierownictwo AfD dawno wywiozło spadek Strangfelda poza Niemcy, konkretnie do Liechtensteinu, gdzie w jednym z banków zdeponowało 107 kg złota. I nie zamierza go oddać. Niemieckie media spekulują, że złoto zabezpieczono na wypadek delegalizacji ugrupowania. Partia unika odpowiedzi na pytania dotyczące dyrektora zarządzającego AfD Hansa-Holgera Malcomessa, który w przeszłości był szefem firmy handlującej złotem. Malcomess miał podróżować do Liechtensteinu w interesach. Jak twierdzą media za Odrą, doglądał złota od emeryta z Dolnej Saksonii.

Sąd zidentyfikował 14 potencjalnych spadkobierców Strangfelda. Jeden z nich złożył wniosek do sądu o uniemożliwienie AfD dostępu do złota na czas trwania sporu prawnego. W przypadku gdy znajduje się ono za granicą, będzie to jednak trudne. „A ponieważ Strangfeld nie żyje, nie da się też udowodnić, że nie był zdolny do sporządzenia testamentu" – napisano w dokumencie sporządzonym przez prawnika AfD.

Aleksandra Rybińska



Fot. shutterstock



Szyicka terapia szokowa

Nowy rząd Syrii pod przywództwem Ahmeda al-Sharaa nie tylko zakończył represje reżimu al-Asada, lecz także chce zerwać z dziedzictwem socjalistycznej polityki partii BAAS. Przez 50 lat rządów tej formacji Syria prowadziła w gospodarce, w tym w rolnictwie, politykę daleko posuniętego interwencjonizmu. Nowy rząd postanowił z tym skończyć i rozpoczął realizację szyickiej odmiany neoliberalizmu.

Pierwszym krokiem na tej drodze było zniesienie dotacji w rolnictwie, które nadal jest dominującą gałęzią syryjskiej gospodarki. Doprowadziło to do gwałtownego wzrostu kosztów produkcji, a sytuację pogorszył kryzys energetyczny w związku z wojną w Iranie. W efekcie w rolniczym sercu Syrii nad Eufratem wybuchły protesty. „Poprzedni reżim stworzył świat marzeń: ceny były regulowane, dopóki państwo praktycznie nie zbankrutowało" – mówi Ammar Kahf, szef damasceńskiego think tanku Omran. Uważa jednak, że wielu Syryjczyków nadal ma takie oczekiwania. „Dla nich dobry rząd musi utrzymywać stabilne ceny. Ale jak ma to działać, skoro kasa jest pusta?" – dodaje.

To nie jedyny problem, przed którym stoi rząd w Damaszku. Hydrolog Abdulrazzak Al Aliewi apeluje do władz, aby niezwłocznie zasypały setki tysięcy nielegalnych studni, które Syryjczycy wykopali po 2011 r. Jego zdaniem powodują one wysychanie pokładów wodonośnych i są jedną z przyczyn jednego z największych na świecie niedoborów wody. Rolnictwo w Syrii będzie zatem musiało w przyspieszonym tempie nauczyć się funkcjonowania w realiach rynkowych, mierząc się na dodatek ze znaczącym niedoborem wody.

Rząd w Damaszku widzi szansę w przyciągnięciu zagranicznych inwestycji i nakłonieniu do powrotu 7 mln obywateli, którzy opuścili kraj podczas wojny domowej. Od 2011 r. PKB Syrii spadł o połowę i bez szybkiej odbudowy, której koszty są szacowane na 400 mld dol., nie ma szans na poprawę sytuacji. W 2025 r. nowy rząd zapowiedział prywatyzację infrastruktury i przedsiębiorstw państwowych, a także dąży do zmniejszenia liczby osób, które pracują dla szeroko rozumianej administracji publicznej z 1,3 mln do 900 tys. Czy tego rodzaju terapia szokowa zagwarantuje sukces? Doświadczenia historyczne są tu bardzo różne.

Marek Budzisz

prasa.pl a08be23ba5

Pizza z krewetkami, mieszkanie na Bemowie i brukselskie specjały

Urzędniczki zjadły, zapłaciły, ukarały i wychodzą z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku „uszczelniania" systemu. Klasyka gatunku. Przedsiębiorca, zamiast walczyć z inflacją, ZUS, tanim importem z Azji i zielonymi fantazjami Brukseli, ma teraz rozgryzać, czy kilka krewetek zmienia całą klasyfikację dania. A urzędnik? Realizuje plan, zbiera punkty do statystyk, dostaje premię i idzie dalej. Cel uświęca środki – nawet jeśli te środki to wojna z polskimi firmami, które ledwo wiążą koniec z końcem.

To nie jest incydent. Jako ktoś, kto sam doświadczył skarbowej „troski", patrzę na to z gorzkim uśmiechem. Krajowa Administracja Skarbowa lubi przypisywać oszustwa na wyrost, blokować konta, wszczynać postępowania, które później okazują się fikcją. Weźmy głośną sprawę mieszkania – moją, bo po co udawać. Naczelnik Mazowieckiego Urzędu Celno-Skarbowego wszczyna kontrolę celno-skarbową zakupu mieszkania na Bemowie. Szybko stwierdza „przysporzenie majątkowe" na ponad 394 tys. zł, sześć dni później komornik zajmuje kwotę na rachunku bankowym. Błyskawica! Szybkość godna podziwu. A potem? A potem Dyrektor Izby Administracji Skarbowej uchyla tę decyzję i umarza postępowanie. Nie było żadnego przysporzenia. Mieszkanie kupione po cenie rynkowej – deweloper stosował elastyczną politykę cenową, cena z negocjacji, pełna korespondencja z działem sprzedaży, zakup na końcowym etapie. Sprzedawano nawet poniżej 6,7 tys. zł za metr kwadratowy. Kontrola? Pełna błędów proceduralnych, pominięto zeznania, nie przesłuchano świadków, zignorowano dokumenty, wartość oszacowano na podstawie artykułów medialnych. Obywatel traci płynność finansową, nerwy i czas. Państwo – resztki wiarygodności. A odpowiedzialność? „Procedury", „błędy systemu".

Teraz Prokurator Generalny składa do Parlamentu Europejskiego już trzeci wniosek o uchylenie mojego immunitetu. Chodzi o zabytkowy dworek w gminie Choczewo, użyczony fundacji na cele statutowe. Fundacja przeprowadziła remont kosztujący ponad 3 mln zł, a po zmianie umowy prokuratura upatruje w tym nieodpłatne świadczenie i uszczuplenie podatku na blisko 1 mln zł. Obraz jest czytelny – państwo potrafi być drobiazgowe wobec zwykłych ludzi i wybiórczo nadgorliwe w przypadkach medialnych, gdy trzeba uderzyć w politycznego przeciwnika.



Wyobraźcie sobie scenkę godną kabaretu: wchodzicie do pizzerii, zamawiacie pizzę z krewetkami – bo życie jest zbyt krótkie na nudne pepperoni i poprawność polityczną. Kelner się uśmiecha, a do zapłaty dostajecie rachunek z 8-procentowym VAT. Nagle – legitymacje, dramatyczne spojrzenia i mandat w wysokości 2,5 tys. zł. Krewetki? Toż to „luksus" według tabelek KAS, więc cena całej pizzy wskakuje na 23 proc. Smacznego, obywatelu!

A z Brukseli płynie „wsparcie" w najlepszym unijnym stylu. Komisja Europejska forsuje pakiet ViDA – VAT in the Digital Age. Raportowanie transakcji w czasie rzeczywistym, cyfryzację na sterydach, harmonizację stawek, większą odpowiedzialność solidarną i likwidację progów *de minimis*. Wszystko w imię walki z oszustwami „zielonego ładu". Efekt? Mniejsza suwerenność podatkowa państw członkowskich, gigantyczna biurokracja dla przedsiębiorców i kolejne koszty wdrożeniowe, które spadają na polski biznes. Zamiast konkurencyjności – unijny uścisk.

W kraju rząd koalicji Tuska i minister Domański dopełniają dzieła. Dziurawy budżet na 2026 r. ratują nie cięciami wydatków czy reformami, lecz nakazami z góry – więcej kontroli, więcej mandatów, więcej kar dla przedsiębiorców. Domański szuka dochodów „wszędzie" – czyli głównie w kieszeniach tych, którzy tworzą miejsca pracy. Zamiast ulg i ułatwień – presja na KAS, by „uszczelniała" do bólu.

Im więcej paragrafów i kontroli w kraju oraz w Brukseli, tym bardziej uczciwi podatnicy czują się jak domniemani oszuści we własnym państwie.

Przedsiębiorca nie jest wrogiem publicznym numer jeden. Jest sercem wzrostu, innowacji i dobrobytu. Gdy traktuje się go jak potencjalnego przestępcę – z krewetkami czy bez – efekt okazuje się odwrotny: rośnie szara strefa, talenty emigrują, gospodarka traci impet. To nie jest „uszczelnianie", lecz dławienie polskiej przedsiębiorczości. Wolność gospodarcza to nie fanaberia konserwatystów – to fundament naszej suwerenności.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl a08be23ba5

Philia



Marta Kaczyńska-Zielińska

Minister Jacek Saryusz-Wolski opublikował niedawno na swoim profilu na platformie X następujący cytat: „Dla Arystotelesa demokracja jest możliwa jedynie wśród jednorodnych grup etnicznych, podczas gdy despoci zawsze rządzili wysoce zróżnicowanymi społeczeństwami. Społeczeństwo wieloetniczne jest zatem z konieczności antydemokratyczne i chaotyczne, gdyż brakuje mu philia – głębokiej, z krwi i kości braterskiej wspólnoty obywateli".

Arystoteles wiedział, że demokracja jest krucha. Nie dlatego, że ludzie są źli, ale dlatego, że wymaga philia. To greckie słowo tłumaczone wprost oznacza nie tylko „przyjaźń", lecz także coś głębszego: poczucie przynależności do tej samej wspólnoty, dzielenia tego samego losu. Bez philia nie ma polis, a bez polis nie ma demokracji. Zostaje tylko tłum i tyran, który nim zarządza.

Obserwując miasta-państwa starożytnej Grecji, Arystoteles dostrzegał prawidłowość: tam, gdzie wspólnota była spójna, demokracja kwitła. Tam, gdzie społeczeństwo rozpadało się na rywalizujące frakcje, wkraczał despota.

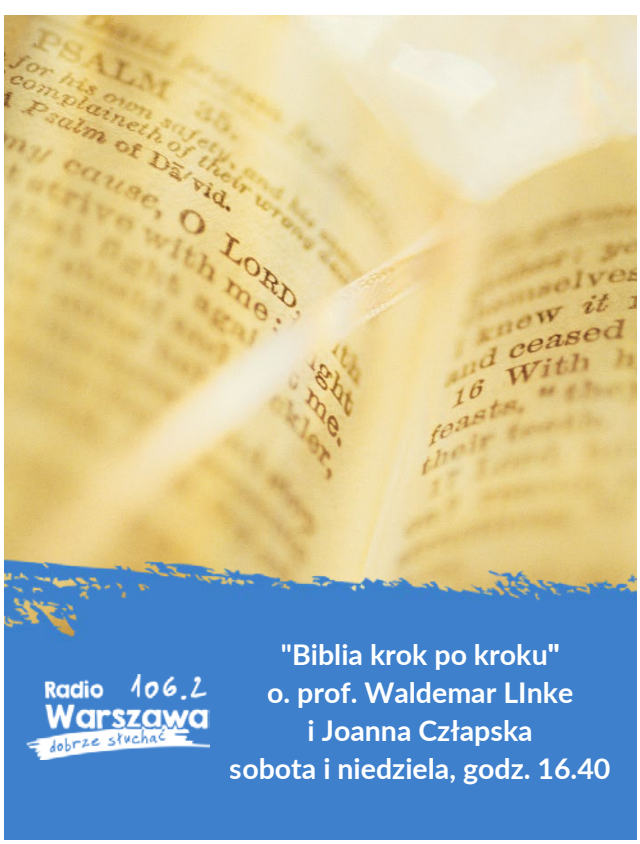
2 tys. lat później Jean-Jacques Rousseau nazwał to samo zjawisko inaczej: volonté générale – wolą ogólną. Nie jest to suma indywidualnych interesów, lecz coś, co wszyscy obywatele uważają za swoje. Rousseau pisał o małych republikach, gdzie ludzie znają się co najmniej z widzenia, mówią tym samym językiem, modlą się do tych samych świętych. Wielkie imperia nieuchronnie degenerują się, przekształcając w oligarchie. Gdy społeczeństwo staje się zbyt liczne i zbyt zróżnicowane, wola ogólna rozpada się.

Oriana Fallaci, włoska dziennikarka i pisarka, nie miała jednak wątpliwości. Jest świadkiem, który widzi rozpad wspólnoty na własne oczy i krzyczy. W trylogii zapoczątkowanej książką „Wściekłość i duma", napisanej tuż po zamachach 11 września, Fallaci atakuje zarówno islamski fundamentalizm, jak i europejskie elity, które jej zdaniem odpowiadają na to zagrożenie serwilizmem i autocenzurą. Za mocną retoryką kryją się pytania, które stawiają również Arystoteles i Rousseau: czy Europa ma jeszcze philia? Czy wierzy w siebie na tyle, by się bronić?

W 1973 r. Jean Raspail opublikował powieść, której nikt nie chciał wydać. „Le Camp des Saints" („Obóz świętych") to historia końca Europy. Nastąpił on nie przez podbój. Nie przez wojnę. Przez milczenie. W powieści Raspaila miliony ludzi z Indii płyną statkami ku wybrzeżom Francji. Europa patrzy i nie robi niczego. Nie dlatego, że nie może, ale z tego powodu, że nie potrafi już uzasadnić sama przed sobą prawa do istnienia. Elity intelektualne, dziennikarze, politycy – wszyscy stoją sparaliżowani. Każdy odruch samoobrony jest natychmiast piętnowany jako rasizm, kolonializm, faszyzm. Zachodnia cywilizacja wyrzekła się swojej philia nie pod przymusem, lecz z własnej woli, przez dekady ideologicznej autodestrukcji.

Z kolei Michel Houellebecq nie pisze o polityce, lecz o samotności. W „Cząstkach elementarnych" z 1998 r. pokazuje Francję po rewolucji obyczajowej lat 60. XX w. Liberalizm kulturowy w relacjach międzyludzkich działa dokładnie tak samo jak liberalizm ekonomiczny: silniejsi wygrywają, słabsi przegrywają, wszyscy pozornie są bardziej wolni i mniej szczęśliwi. Philia w mikroskali – między dwojgiem ludzi – przestaje istnieć. Zostają cząstki elementarne. Niepołączone. „Uległość" z 2015 r. idzie dalej. Francja demokratycznie wybiera islamskiego prezydenta. Bohater powieści, człowiek bez wiary, bez rodziny, bez poczucia sensu przechodzi na islam nie ze strachu, nie z przekonania, lecz z wyczerpania nihilizmem. Islam daje to, czego nie potrafi zaoferować liberalizm: strukturę, wspólnotę, sens, ciągłość. Pustka zostaje wypełniona czymkolwiek, byle nie była już pustką. To odpowiedź Houellebecqa na obawy Fallaci. Oboje opisują ten sam koniec. Autorzy tej diagnozy nie są osamotnieni. Tworzy ją cały chór głosów współczesnej myśli europejskiej, które z różnych perspektyw dochodzą do podobnych wniosków. Philia – poczucie, że podzielamy wspólne wartości, język, kody kulturowe – niezmiennie stanowi warunek istnienia wolnego, demokratycznego społeczeństwa.

REKLAMA



eprasa.pl a08be23ba5



Walizka Łukasza Lendy

ilustratora, komiksiarza, malarza, grafficiarza

Od dziecka jestem związany z Janem Matejką. Urodziłem się w Nowej Hucie, gdzie znajduje się jego dworek, pod który jako dziecko często chodziłem na spacery z babcią, dziadkiem i rodzicami. Kilkanaście lat później studiowałem na Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki, znajdującej się na Pl. Jana Matejki. Po ponad dekadzie miałem wystawę prac w Domu Jana Matejki na ul. Floriańskiej. Dla mnie postać tego artysty jest pod wieloma względami wyjątkowa, nie tylko ze względu na wielki talent, kunszt i pracowitość, lecz także na misję krzewienia polskiego patriotyzmu. Nie zapominajmy, że z jego pracowni malarstwa na ASP wyszli tacy wybitni artyści jak Mehoffer, Malczewski czy Wyspiański.

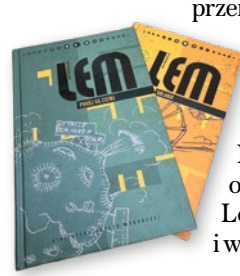
Zapewne to duch Matejki w Nowej Hucie sprawił, że zacząłem rysować już we wczesnym dzieciństwie. Ponieważ wychowywałem się w końcówce PRL, gdzie wszystko było namalowane w odcieniach szarości, sam musiałem tworzyć światy, które były lekarstwem na prozę codzienności. Mimo że skończyłem technikum budowlane, dostałem się na ASP. Tam odkryłem, że mój styl różni się od tego, co prezentują koledzy po liceach plastycznych, bo był bardziej indywidualny, przełamujący pewien schemat. Dziś uważam to za atut.



SZACHY

W szachy zacząłem grać na poważnie dopiero na studiach, jednak już w 2006 i 2007 r., po kilku latach gry, zdobyłem mistrzostwo Małopolski w szachach. W 2011 r. zdobyłem jeszcze drugie miejsce. Ostatnio przerzuciłem się na pokera.





STANISŁAW LEM

We wczesnych latach „Bajki robotów" zraziły mnie do tego pisarza. Na szczęście w wieku dojrzałym odkryłem na nowo Stanisława Lema, który fascynuje wyobraźnią i wizjonerstwem.

eprasa.pl a08be23ba5

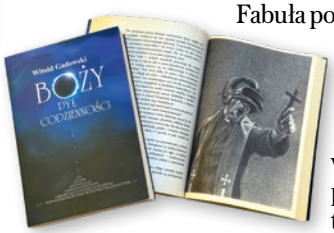


ILUSTROWANIE KSIĄŻEK

Witold Gadowski odkrył moje rysunki właśnie na łamach tygodnika „W Sieci", gdzie był felietonistą. Potem spotkaliśmy się w Klubie Dziennikarza „Pod Gruszką" i tak zaczęła się nasza współpraca, obejmująca kilkanaście wspólnych projektów.

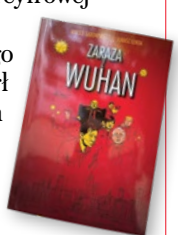


• ***„Szlag trafił"*** to trzeci tom opisujący przygody dziennikarza i awanturnika Andrzeja Brennera. Fabuła powieści skupia się wokół katastrofy smoleńskiej z 2010 r.



• ***„Boży Pył Codzienności"*** to zbiór felietonów Gadowskiego, w którym autor ze swoją poetycką duszą pochylił się nad tematem technologii cyfrowej i zagrożeniami płynącymi z wirtualnego świata.

• ***„Zaraza z Wuhan"*** ma formę komiksu, którego jestem autorem. Wszystkie tezy, które zawarł w nim scenarzysta, znalazły poparcie w raportach amerykańskich organów wywiadowczych.





KOSZYKÓWKA

Kilka lat grałem w Hutniku Kraków, potem w rozgrywkach międzyszkolnych, na studiach, w szkole średniej. Grałem w pierwszych edycjach polskiego streetballu w głębokich latach 90. Dwa lata temu wziąłem udział w turnieju koszykówki 3x3 i byłem tam najstarszym zawodnikiem.

NÓŻ



Jest uniwersalny. Można nie tylko pokroić nim chleb, lecz także zastrugać ołówki.



OŁÓWKI

À propos ołówków, to chyba najlepsze i moje ulubione narzędzie do uprawiania sztuki rysunku.

KUBKI I POCZTÓWKI

Ilustracje tworzone ołówkiem, następnie korygowane cyfrowo przerzucam na różne media: kubki, pocztówki, magnesy i koszulki, które można kupić.

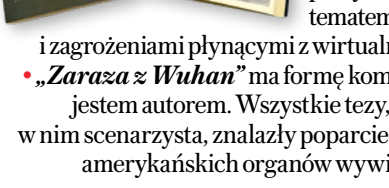




WYBORY W KRAKOWIE

Ekspreyzdent Krakowa Aleksander Miszalski podejmował sporo błędnych decyzji, ale jedna była dobra: uhonorowanie mnie Orderem Honoris Gratia, przyznawanym osobom wybitnie zasłużonym dla Miasta Krakowa.



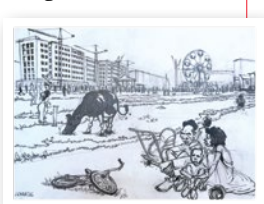


MALARSTWO

Oprócz grafiki zajmuję się m.in. malarstwem olejnym. Zamiłowanie do tej dziedziny sztuki zostało mi po studiach na krakowskiej ASP, gdzie prof. Bednarczyk w ramach nauki zalecał wykonywanie kopii znanych malarzy: Matejki, Malczewskiego, Van Gogha, Moneta czy Dalego.

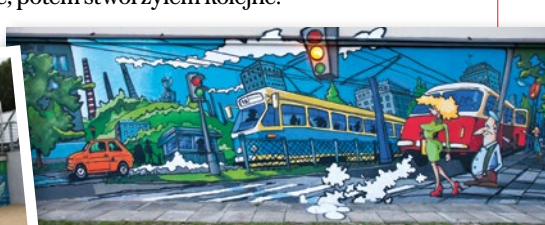
NOWA HUTA

Pracuję nad dużym projektem na temat Nowej Huty z przymrużeniem oka, z perspektywy jej mieszkańca. Jednocześnie będzie tam dużo faktów historycznych.



MURALE

W 2000 r. razem z legendą polskiego graffiti Noude przy ul. Czarnowiejskiej wykonaliśmy na murze komiks o długości ponad 40 m. Mój prof. Bajek jeździł tam i z powrotem autobusem, by z uwagą przyglądać się tej pracy. To był pierwszy mural w Krakowie, potem stworzyłem kolejne.



Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Joanna Urbaniec, Michał Korsun, prywatne archiwum Łukasza Lendy

eprasa.pl a08be23ba5

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Bundespolizei w roli gestapo



Jan Pietrzak

Ależ jesteście gapowaci, moi drodzy ziomale. Domagając się reparacji wojennych od Niemiec, nie dostrzegacie, że już je otrzymujemy! Główną darowizną jest gwardia Tuska. W różnych epokach różne państwa spłacały reparacje na wiele sposobów: sztabkami złota, rzadkimi minerałami, mocną walutą, a także niewolnikami, janczarami itp. Historia poświadcza, że można wyrównywać należności zasobami personalnymi. Niemcy uznali, że spłacą swoje reparacje tym, co najcenniejsze – tuskowymi janczarami. W pakiecie dostaniemy również świetne kadry inżynierów z Czarnego Lądu, informatyków z Pernambuco i znachorów z Paragwaju. Niemcy to załatwią. Zaludnią nam demograficzne niże, takie jak w Kotlinie Kłodzkiej. Tego rodzaju kotlin jest w Polsce sporo.

Cała ta skomplikowana operacja logistyczna wymaga sprecyzowania traktatowego. Czytałem właśnie, iż rząd przygotowuje szczególny pakt współpracy z Niemcami! Nareszcie! Wcześniej zawarł już stosowne traktaty z Francją i Wielką Brytanią. Od czasu paktu Ribbentrop–Mołotow takiej serii Europa nie widziała. Okazało się, że traktat lizboński, fundament UE, nie spełnia ambicji obecnej eurocarycy von der Leyen. Nie byłoby tych problemów, gdyby w USA w dalszym ciągu rządził ktoś w rodzaju lewackiego Bidena. Lecz Amerykanie, by uczcić 250-lecie niepodległości, wybrali proamerykańskiego prezydenta Trumpa, niepodatnego na niemiecką kokieterię i szwindle Mercosuru. Chwała Bogu!

Z polskiego punktu widzenia największym szwindlem był powojenny plan Marshala. W nagrodę za wymordowanie kilkudziesięciu milionów Europejczyków Niemcom przyznano ogromne środki finansowe i technologiczne na szybką odbudowę i rozwój, zwane cudem gospodarczym. Polskę, która od pierwszego do ostatniego dnia wojny walczyła u boku aliantów na wszystkich frontach, tracąc jedną trzecią ludności, oddano w niewolę Stalinowi na wyniszczenie, dewastację i wyzysk. Polskim cudem jest fakt, że przetrwaliśmy kolejną okupację.

Przed paroma laty, niedawno, na fali celebrowania kryptowspólnoty, zauważono w Berlinie, że nie zaszkodzi wykonać jakiegoś gestu wobec naszego kraju. Położono zatem na trawniku głaz narzutowy, podobno poświęcony Polsce. Do tego głazu któregoś dnia dotarła grupa Polaków z krzyżem, by pomodlić się za rodaków poległych w czasie II wojny światowej. Zostali pobici, spałowani, skopani przez gestapo, które obecnie nazywa się Bundespolizei.

Wracając do traktatów – przede wszystkim potrzebny jest nam pakt obronny chroniący przed niepohamowaną, dziką niemiecką agresją. Ale oni nie chcą tego wiedzieć, nie potrafią widzieć. Może należy im pomóc pozatraktatowo? To jest temat do rozważenia w podgrupach.

Złota legitymacja



Samuel Pereira

Nie, to nie jest „zwyrodnienie systemu", jak Donald Tusk chciałby przedstawić aferę w warszawskim Szpitalu Południowym. To jest właśnie system stworzony przez niego. Zaczyna się od bezprawia bazującego na bezczelnym poczuciu bycia ponad innymi, a kończy na zwykłym oszustwie. Finansowym i tym „zwyczajnym", jakim jest przechodzenie w kolejce przed chorymi pacjentami. Szef KO będzie teraz udawał, że nic nie widział i nie słyszał, ale fakty są bezlitosne: wszystko działo się pod jego okiem, w stolicy, gdzie od dwóch kadencji prezydentem jest jego zastępca, a miasto oblegli partyjni koledzy Tuska. Gdy na jaw wyszły zarobki Dawida Kacprzyka, premier, Rafał Trzaskowski, Bogdan Klich, Krzysztof Kwiatkowski i wielu innych już wiedziało, że to dopiero wierzchołek góry lodowej. Mieli pełną świadomość, że młody polityk z ich ugrupowania nie „za darmo" dostaje tyle pieniędzy i wiedzą doskonale, kto i na czym skorzystał w tym systemie. Nie ma wątpliwości, że gdyby nie legitymacja partyjna, lekarz radny nie zarobiłby tyle, a jego patroni nie mieliby saloniku VIP i złotej ścieżki w kolejce na SOR.

Każdego dnia w tej historii pojawia się kolejny rozdział. Od wybuchu afery mieliśmy już rezygnację z członkostwa w KO, stanowiska radnego, a na końcu oddanie części pieniędzy w ramach „skorygowanych faktur". Po kilku dniach odszedł ordynator SOR, a wcześniej odwołano dyrektor ds. medycznych, odsunięto od funkcji lekarza, od którego wszystko się zaczęło, wreszcie odwołano prezes zarządu placówki. Tymczasem to nie politycy KO zapłacą cenę za ten skandal, lecz zwykli pacjenci tego szpitala. Lekarze nie ukrywają, że sytuacja jest dramatyczna. SOR stracił dwóch lekarzy, a znalezienie następców w ciągu kilkunastu dni graniczy z cudem. Jeśli się nie uda, dyżury będą musieli brać lekarze z innych oddziałów, co grozi przeciążeniem całego szpitala. Efekt? Jeszcze dłuższe kolejki, jeszcze większy bałagan i jeszcze większe ryzyko dla chorych. „By żyło się lepiej". Im.

eprasa.pl a08be23ba5

35 lat traktatu? Nie ma czego świętować



W ubiegłym tygodniu rząd Tuska razem niemieckim świętował 35. rocznicę podpisania traktatu o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy. Były uroczystości, wzajemne komplementy i opowieści o historycznym sukcesie. Problem polega na tym, że Polsce ten traktat bardziej przypomina nie symbol partnerstwa, lecz symbol niespełnionych zobowiązań i jednostronnych ustępstw.

Po 35 latach od podpisania dokumentu Polacy w Niemczech nadal nie mają statusu mniejszości narodowej. Niemcy w Polsce korzystają z praw zagwarantowanych przez państwo polskie, podczas gdy Polacy za Odrą wciąż są traktowani inaczej. Gdzie jest obiecywana wzajemność? Gdzie jest równość stron?

Fatalnie wygląda kwestia nauczania języka polskiego. Polska od lat finansuje i wspiera naukę języka niemieckiego, natomiast dostęp do nauki języka polskiego w Niemczech pozostaje ograniczony, a skala różnic w wysokości środków jest nieporównywalna. Trudno mówić o partnerstwie, gdy jedna strona realizuje swoje zobowiązania, a druga przez dekady znajduje kolejne wymówki.

Do dziś nie zwrócono również majątku polskich organizacji zagrabionego przez III Rzeszę dekretem Göringa z 1939 r. Przez 35 lat nie udało się zamknąć nawet tej sprawy. Jeszcze bardziej bulwersujące jest całkowite zamrożenie kwestii reparacji, odszkodowań i zadośćuczynienia za niemieckie zbrodnie. Niemcy uznały temat za niewygodny i liczą na to, że wystarczy przeczekać. Sikorski mówił w Berlinie, że Niemcy muszą się z tym zmierzyć, ale słowa nic nie kosztują. Który to już raz słyszymy z ust Tuska albo Sikorskiego, że trzeba, a z ust Niemców – jak dobrze rozumieją sprawę i jak bardzo biją się w pierś. I co? I znowu kupione kilka miesięcy.

Najbardziej uderza jednak kontrast między rzeczywistością a oficjalną narracją. Podczas gdy niemieckie zobowiązania pozostają nieuregulowane, Sikorski uczestniczy w jubileuszowych obchodach i opowiada o dobrym sąsiedztwie oraz współpracy. Dla obecnej władzy ważniejsze są dobre relacje z Berlinem niż skuteczne upominanie się o polskie interesy.

Po 35 latach nie ma powodów do świętowania. Jest za to długa lista spraw, które nigdy nie zostały uczciwie załatwione. Traktat miał być fundamentem partnerstwa bazującym na wzajemności. Stał się symbolem relacji, w której Polska zbyt często słyszy obietnice, a zbyt rzadko widzi ich realizację.

Jeżeli po 35 latach nadal trzeba przypominać o podstawowych zobowiązaniach, nie jest to sukces dyplomacji. To świadectwo politycznej słabości, którego efektem jest rażąca asymetria w relacjach.

Arkadiusz Mularczyk

Wielkie zmiany w Otwocku Wielkim

Z Anną Feliks, kurator Muzeum Wnętrz w Otwocku Wielkim, oddział Muzeum Narodowego w Warszawie, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Czy informacja o tym, że przepiękny pałac w Otwocku Wielkim będzie zamknięty na trzy lata, to powód do smutku czy do radości?

Anna Feliks: Zdecydowanie do radości. Dla samego muzeum, a także wszystkich, którzy w przyszłości zdecydują się nas odwiedzić, bo wtedy – oprócz cennych ekspozycji – będziemy mogli zaoferować również atrakcje, które pozwolą zostać z nami dłużej: nie tylko na godzinny spacer po parku czy wydarzenia artystyczne, lecz także na dobry obiad, piknik czy seans kinowy. I, co najważniejsze, po gruntownej renowacji obiektu będziemy lepiej przystosowani i bardziej dostępni dla wszystkich grup zwiedzających.

Do kiedy możemy odwiedzać Pałac Bielińskich i na jakie atrakcje możemy liczyć?

Działamy do 11 listopada. Do końca sierpnia co niedzielę zapraszamy na plenerowy cykl „Klasyka na leżakach". Będzie też kilka koncertów Stowarzyszenia „Rozgłos", a także druga edycja wyjątkowego festiwalu Break in Classic (31 lipca – 2 sierpnia). Oczywiście cały czas można oglądać wystawy stałe. Mamy też nowo wyposażony apartament mieszkalny Bielińskich. Warto go zobaczyć.

Pałac znajduje się na wyspie. Czy remont oznacza jej zamknięcie dla gości?

Takie są wymogi bezpieczeństwa. Projekt będzie realizowany ze środków unijnych i ma wiele budowlanych obostrzeń, ale możliwe, że uda się udostępnić – na czas konkretnego wydarzenia – część parku poza wyspą pałacową. O tym zadecydujemy później i poinformujemy przez nasze media społecznościowe.



Fot. Muzeum Wnętrz w Otwocku Wielkim

eprasa.pl a08be23ba5

TRENDY I OWĘDY

Podwórko krajowe

Prezydent Karol Nawrocki został zaproszony na 80. urodziny prezydenta Donalda Trumpa. Uroczystość miała niecodzienny przebieg. W Białym Domu po raz pierwszy zorganizowano galę sportów walki UFC Freedom 250 – aby upamiętnić 250. rocznicę podpisania Deklaracji Niepodległości. Na wieść, że na widowni zasiądzie także nasz prezydent, postanowili zareagować najważniejsi politycy krajowego formatu.



Ryszard Makowski

Premier Tusk: „Z gorącym apelem zwracam się do pana prezydenta, żeby nie dał się tam zaciągnąć do klatki. Wiemy, że lubi boks, ale lepiej nie ryzykować". Napisane wyłącznie z troski, jak można przypuszczać. W tyle nie mógł pozostać minister Sikorski: „Trzymam kciuki, aby prezydent @NawrockiKn wszedł co najmniej do półfinału". Tak napisał na platformie X.

Trudno się oprzeć wrażeniu, że członkowie obecnego rządu, lansujący się tutaj na światowców, ciężko znoszą to, że prezydent Nawrocki jest poważany przez przywódcę jednego z największych mocarstw świata. Obaj z pewnością chcieliby dostąpić takich zaszczytów, ale z powodu swoich wypowiedzi – a w przypadku ministra spraw zagranicznych także tego, co w amerykańskiej prasie pisze jego żona – nie mają wstępu do Białego Domu.

Co więcej, ich pozycja w Europie również jest marginalna. Symboliczna była podróż premiera Tuska do Kijowa w osobnym wagonie niż przywódcy Francji, Wielkiej Brytanii i Niemiec. Jedyne, co im pozostaje, to umniejszanie sukcesów pana prezydenta. Co więcej, musi ich frustrować także to, że nie nadają się nawet do walk w klatce. Ale czy to powód, żeby na krajowym podwórku błaznować jak małpy w klatce?

ZDJĘCIE TYGODNIA

Ukraiński atak na Moskwę. Cała Rosja w szoku



Fot. AFP/East News

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA S.A.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA S.A., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA S.A. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: NOWA GENERACJA/X.COM X 3, DAWID WOLSKI/EAST NEWS, WPOLSCE24, SHUTTERSTOCK/T4XTURA, NICOLETA IONESCU, OBATALA-PHOTOGRAPHY

Zamów prenumeratę Sieci!

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

Reklama | 15/0626/F

eprasa.pl a08be23ba5

PARTNER GENERALNY

PPF

Budujemy mosty między biznesem a kulturą w całej Europie

Grupa PPF wspiera talenty i twórczą doskonałość, angażując się w wiodące projekty artystyczne na swoich rynkach. Od 1998 roku jest partnerem-założycielem Letniego Festiwalu Szekspirowskiego w Pradze.

Latem 2026 roku, jako Partner Generalny, z dumą patronuje inauguracyjnemu sezonowi teatru plenerowego w ogrodach Zamku Królewskiego w Warszawie.

Szekspir pod Gwiazdami

Letni teatr, magia nocy i klasyka w nowoczesnym wydaniu



SZEKSPIR POD GWIAZDAMI

Zamek Królewski w Warszawie

ŠKODA | Škoda Group

Grupa PPF to europejska firma inwestycyjna obecna w Pradze od 1991 roku, która prowadzi aktualnie działalność w 25 krajach.

ppf.eu



Władza się wyleczy!

Nowe ośmiorniczki Koalicji Obywatelskiej? A może jednak stara ośmiornica KO? I to z wieloma łapczywymi mackami? Sprawa młodego lekarza milionera Dawida Kacprzyka rozwija się w coraz bardziej szokujący sposób. Rząd i politycy KO próbują to przedstawiać jako jednostkowy przypadek i efekt wadliwego systemu. Wszystko jednak wskazuje, że to afera czysto polityczna. I to o gigantycznej mocy rażenia, a tłumaczenia KO pogrążają ją coraz bardziej



PIOTR GURSZTYN

Najmocniejsze historie pisze samo życie. Gdyby ktoś – zwłaszcza przeciwnik dzisiejszej władzy – wymyślił coś takiego, opinia publiczna by to odrzuciła jako historię tak przerysowaną, że aż nieprawdopodobną. Wiemy jednak bez najmniejszych wątpliwości, że historia 28-letniego lekarza, ważnego działacza Koalicji Obywatelskiej, jest prawdziwa, choć jednocześnie szokująca. Skandal goni tu skandal. I na dodatek nie wiadomo, czy niebawem światła dziennego nie ujrzą następne oburzające doniesienia.

ODSŁONA PIERWSZA: ZWYRODNIENIE SYSTEMU?

Opinia publiczna dowiaduje się, że w 2025 r. młody lekarz z Warszawy zarobił ok. 1,6 mln zł. Dr Dawid Kacprzyk, rocznik 1997, to radny warszawskiego Ursusa, więc wszystko się wydało za sprawą jego oświadczenia majątkowego. Lekarzem jest od dwóch lat, ale w tym czasie dorobił się mieszkania, oszczędności w wysokości 730 tys. zł (przyrost o 500 tys. zł w porównaniu z rokiem wcześniejszym) oraz luksusowego auta Porsche Panamera. Wcześniej jeździł BMW 320, czyli też na bogato. Wszystko bez kredytu czy leasingu. Opinia publiczna jest oczywiście oburzona, a jej pierwsze reakcje można podsumować zdaniem: zarobki Kacprzyka stanowią dowód na patologię systemu.

Ruszyły poszukiwania podobnych przykładów. Lekarzy, którzy są radnymi, musieli zatem wyjawić swoje

eprasa.pl a08be23ba5

dochody i majątki. W Słupsku znaleziono lekarza radnego KO, Wojciecha Homendę, którego dochód z indywidualnej praktyki lekarskiej wyniósł ponad 1,3 mln zł. Ale to człowiek dużo starszy od Krawczyka, wojewódzki konsultant w swojej dziedzinie. Główna wątpliwość może być taka, czy jest w stanie pogodzić czasowo oraz kondycyjnie obowiązki lekarza i radnego. Internauci znaleźli też lekarza radnego z Zielonej Góry, Roberta Górskiego, który w 2022 r. dzięki indywidualnej praktyce lekarskiej zarobił 1,67 mln zł. Ciekawostką może być to, że dr Górski był politycznie związany z lewicą, w tym niegdyś z Partią Razem. 32-letni lekarz z Grójca, Michał Burczy, w 2025 r. zarobił ok. 3 mln zł brutto. Kieruje dwoma placówkami medycznymi naraz, a jego formalny zwierzchnik, starosta z PSL, zapewnia, że wszystko jest zgodne z prawem.

Można zatem pomyśleć, że to kwestia niedoskonałego prawa. Tego, że system jest patologiczny, przypadki są jednostkowe, bez bliższego związku z polityką. Taka narracja miała zamknąć temat Dawida Kacprzyka.

„Nikogo nie muszę przekonywać, że to zaledwie ilustracja znacznie szerszego problemu. Musimy wspólnie z samorządem lekarskim i wszystkimi zainteresowanymi zadbać o to, by zatrzymać narastającą falę podejrzliwości" – to reakcja Donalda Tuska. Premier prezentował się jako osoba zaskoczona doniesieniami o Kacprzyku tak samo jak reszta społeczeństwa. Tłumaczył, że w „dotychczasowym systemie" Ministerstwo Zdrowia ani NFZ nie mają możliwości kontroli zarobków lekarzy i nie dysponują szczegółową wiedzą na ten temat. Z zatroskaną miną zapowiedział rychłe opracowanie zmian ustawowych, które usuną „zwyrodnienia systemu".

W dobie internetu szybko się okazało, że to nie pierwsze podejście premiera Tuska do tego „systemowego" problemu. Jesienią 2024 r. ministrem zdrowia była Izabela Leszczyna. Występując w TVN24, oburzała się na zbyt wysokie zarobki lekarzy: „Z danych z Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji wynika, że są tacy lekarze, którzy przedstawiają fakturę w wysokości 299 tys. zł. Rzeczywiście to znacząca kwota. Będę rozmawiała o tym z przedstawicielami związków zawodowych i przedstawicielami lekarzy. Mamy pewne pomysły, ale najpierw będę z nimi o nich rozmawiała z przedstawicielami środowiska, z lekarzami i pielęgniarkami".

Premier mocno ją wsparł, choć dzisiaj wiemy, że za słowami nie poszły czyny. „Składka zdrowotna pobierana od obywateli w przygniatającej mierze przeznacza jest jedynie na wynagrodzenia lekarzy, a powinna przecież wystarczyć też na leczenie. Mamy problem do rozwiązania. Nie jest to kwestia pazerności jednego czy drugiego lekarza, ale system wymaga naprawy" – mówił wtedy na konferencji prasowej. Donald Tusk dodał: „Nie ma powodu, by w jednym miejscu z pieniędzy publicznych zarobki były takie horrendalne".

> Kierowany przez Kacprzyka SOR stał się luksusową przychodnią dla polityków KO. Wyizolowana przestrzeń, oddzielona od miejsc, w których czekali zwykli pacjenci. W pakiecie na „prywatnym SOR" – kilkanaście badań, w tym ponadstandardowych, niewykonywanych w medycynie ratunkowej

ODSŁONA DRUGA: POLITYKA I HIPOKRYZJA

Internetowa archeologia obnażyła nie tylko obłudne zaskoczenie premiera Tuska, lecz także to, że Dawid Kacprzyk nie jest przypadkowym lekarzem, który skorzystał z okazji do zarobienia bajecznych pieniędzy. Szybkie poszukiwania w internecie ujawniły, że to osoba o wyrazistych poglądach politycznych, także w temacie służby zdrowia. Gdy jego partia była jeszcze w opozycji, Kacprzyk pryncypialnie potępiał rząd PiS za sytuację w lecznictwie, a zwłaszcza trudny los młodych lekarzy. „Pod rządami Zjednoczonej Prawicy służba zdrowia nie jest w stanie wywiązać się ze swoich podstawowych obowiązków wobec pacjentów" – grzmiał w wywiadzie dla CrowdMedia, propagandowego portalu związanego z Platformą Obywatelską. „Konieczne jest zwiększenie nakładów finansowych na służbę zdrowia. A więc podniesienie płac młodym lekarzom, tak żeby mieli godziwe wynagrodzenie" – mówił w sierpniu 2023 r. Dzisiaj musi to budzić dużą wesołość, bo akurat o siebie zadbał znakomicie.

Kacprzyk bez skrępowania występował na plaftormerskich wiecach, na których atakowano pisowskich „milionerów". „Teraz mamy limity na zdrowie Polek i Polaków. Jesteśmy młodymi lekarzami i nie ma naszej zgody, by wprowadzać takie limity" – grzmiał. Innym razem mówił: „W Polsce jest bieda, a Kaczyński nas wysyła na grzyby. W Polsce jest bieda, a Polacy nie mają, żeby kupić sobie chleb".

Od razu okazało się, że młody lekarz nie jest szeregowym członkiem Platformy. Znaleziono dziesiątki jego zdjęć z czołowymi politykami tej partii. Widać tam bliską zażyłość oraz że nie są to przypadkowe sytuacje. Kamila L. z Kłodzka, „bohaterka" tamtejszej afery pedofilsko-zoofilskiej, może pozazdrościć Kacprzykowi tej kolekcji. Fotografował się z Rafałem Trzaskowskim, Marcinem Kierwińskim, Janem Grabcem, Ewą Malinowską-Grupińską (przewodniczącą Rady m.st. Warszawy), Aleksandrą Gajewską, Tomaszem Grodzkim, Małgorzatą Kidawą-Błońską, Bartoszem Arłukowiczem. Ten ostatni wspierał go w kampanii samorządowej, rozdając ulotki Kacprzyka i reklamując go jako najmłodszego kandydata.

Fot. Nowa Generacja/x.com, Andrzej Wiktor

eprasa.pl a08be23ba5



Był ważną postacią w partyjnej hierarchii. Radnym w Ursusie jest już drugą kadencję. Przez trzy lata szefował Stowarzyszeniu „Nowa Generacja", organizacji młodzieżowej ściśle powiązanej z PO, a obecnie Koalicją Obywatelską. Był to twór mający zmarginalizować i przejąć starą młodzieżówkę PO, czyli Młodych Demokratów. Kacprzyk był wykonawcą tego zadania i zrealizował je. „W końcu doprowadził skutecznie do rozłamu. To on stał za całą tą akcją, chociaż nie on został wtedy szefem, to on doprowadził m.in. do upadku Młodych Demokratów. To jest najwierniejszy człowiek Kierwińskiego, jego rękami Kierwiński się z nami uporał – rozkładają ręce byli działacze partyjnej młodzieżówki" – czytamy w tygodniku „Newsweek".

ODSŁONA TRZECIA: PROTEKCJA I BILOKACJA

Mimo braku kwalifikacji otrzymał bardzo dobre stanowisko – koordynatora SOR w Warszawskim Szpitalu Południowym, placówce podległej Rafałowi Trzaskowskiemu. Nie miał potrzebnej do tego specjalizacji. Dopiero ją robił. Prawo wykonywania zawodu miał dopiero od półtora roku. To właśnie na tej posadzie zarobił najwięcej.

Gigantyczne pieniądze z publicznego szpitala *de facto* dostał za darmo. Według portalu Zero.pl w ubiegłym roku przepracował w Szpitalu Południowym 3976 godzin. Średnio 331 godzin w miesiącu, czyli 11 godzin dziennie. Zgodnie z tymi danymi miał dyżurować bez przerwy przez trzy lub cztery doby.

W tym czasie przebywał jednak gdzie indziej. Media znalazły co najmniej kilkanaście przypadków, gdy podczas dyżuru był na sesjach rady dzielnicy, spotkaniach politycznych, gościł w programach telewizyjnych. To oznacza, że łamał prawo, bo opuszczał dyżury. Narażał w ten sposób zdrowie i życie pacjentów, pobierając jednocześnie wynagrodzenie za pracę, której nie wykonywał. Portal Interia sprawdzał, jak w rzeczywistości wyglądało codzienne funkcjonowanie Kacprzyka jako polityka i lekarza: „Zapytaliśmy członków rady, czy na jej posiedzeniach po Dawidzie Kacprzyku było widać zmęczenie wynikające z długich szpitalnych dyżurów. – Powiem tak: nie wyglądał jak minister Szumowski w covidzie – uśmiecha się jeden z radnych, nawiązując do oblicza byłego ministra zdrowia, które w początkowym okresie pandemii było naznaczone wyraźnym zmęczeniem. – Nic nie wskazywało na skrajne przepracowanie – dodaje inna osoba".

Tu widać najlepiej, że sprawa Kacprzyka nie jest żadną systemową patologią, lecz kwestią chorych partyjnych układów i demoralizacji ważnych działaczy KO.

Dr Damian Patecki, lekarz z Naczelnej Izby Lekarskiej, dziwił się awansowi Kacprzyka w rozmowie z portalem wPolityce.pl: „Jest pytanie, czy można znaleźć taką pracę w tak młodym wieku i bez specjalizacji – nie wiem, jak to powiedzieć – bez jakichś koneksji, bez znajomości, czy czegoś podobnego?". Dr Patecki zwraca też uwagę na to, że mianowanie młodego, niedoświadczonego lekarza na stanowisko szefa SOR w ogóle jest przejawem skrajnej nieodpowiedzialności, wręcz grożącej życiu pacjentów. „SOR to jedna z trudniejszych prac, jakie można sobie wyobrazić, która wymaga doświadczenia. To jest taka praca, że trzeba szybko reagować, trzeba ratować ludzkie życie. Czyli trochę jak anestezjologia. Więc co do zasady kierownikiem SOR powinien być doświadczony lekarz medycyny ratunkowej, który dużo widział i dużo umie" – tłumaczy.

Odpowiedzi na te pytania udzieliła prominentna kiedyś polityk PO Julia Pitera w jednym z wywiadów: „Każdy działacz w Warszawie wie, że bez »błogosławieństwa« Marcina Kierwińskiego nie może nic zrobić. Żeby jakąkolwiek funkcję objąć, jakiekolwiek działanie podjąć, musi być umowna pieczątka Marcina Kierwińskiego. I to wszyscy wiedzą" – stwierdziła Pitera.

Dla porządku dodajmy jeszcze, że formalnie Krawczyk został zatrudniony i był nadzorowany przez dyrektor Szpitala Południowego Annę Łukasik. To też nieprzypadkowa postać. W 2015 r. była wiceministrem zdrowia, gdy funkcję szefa resortu pełnił Bartosz Arłukowicz. Odpowiadała za kluczowe obszary, m.in. finanse i inwestycje. Uchodzi za prawą rękę Arłukowicza, czego dowodzi m.in. to, że lojalnie odeszła razem z nim z ministerstwa – od razu, gdy został odwołany.

Politycznych nadzorców – o ile chcieli go nadzorować – miał zresztą dużo więcej. W radzie nadzorczej Szpitala Południowego zasiada burmistrz Ursynowa z KO Robert Kempa oraz wiceprezydent Warszawy Aldona Machnowska-Góra. Warszawska służba zdrowia podlega wiceprezydent Renacie Kaznowskiej, która chyba dobrze zna się z Kacprzykiem, sądząc po wspólnych radosnych fotografiach. W Warszawie w ogóle władze szpitali i nadzór nad nimi jest masowo obsadzony przez radnych i innych polityków KO. I co? Nikt z nich nic nie wiedział o przypadku Kacprzyka?

ODSŁONA CZWARTA: SZPITAL NIE DLA KAŻDEGO

Jacek Ozdoba, europoseł PiS, przypomniał, że dwa miesiące temu Szpital Południowy przegrał sprawę sądową. Został pozwany przez pacjentkę, którą wypisano z SOR w samej koszuli nocnej i kapciach. „Została wsadzona na wózek i wywieziona przed budynek szpitala. Tam pozostawiono ją samą, bez opieki i nadzoru, na pobliskiej ławeczce. Sąd Okręgowy nie pozostawił na takim traktowaniu suchej nitki. W uzasadnieniu napisał wprost, że było to rażące naruszenie godności człowieka i mocno upokarzające" – napisał Ozdoba. Była to jego reakcja na kolejne doniesienia o patologiach w Szpitalu Południowym.

Portal Zero.pl ujawnił, że kierowany przez Kacprzyka SOR stał się luksusową przychodnią dla polityków KO. Wyizolowana przestrzeń, oddzielona

eprasa.pl a08be23ba5



Fot. Nowa Generacja/x.com, Andrzej Wiktor

od miejsc, w których czekali zwykli pacjenci. W pakiecie na „prywatnym SOR" – kilkanaście, czasem kilkadziesiąt badań, w tym ponadstandardowe, niewykonywane w medycynie ratunkowej. Byli przyjmowani w trybie pilnym, co oznaczało, że zwykli pacjenci z poczekalni musieli dłużej czekać na swoją kolej.

Tu robi się już i strasznie, i groteskowo. Z jakimi niebezpiecznymi chorobami ważni politycy KO przyjeżdżali specjalnie do Szpitala Południowego, choć – według portalu Zero.pl – mieli bliżej do innych szpitali? „Złe samopoczucie, zmęczenie" – to rozpoznanie lekarskie w przypadku wpływowej warszawskiej polityk KO. W związku z tą przypadłością szpital zrobił jej kilkadziesiąt badań. Ta sama osoba stawia się do szpitala miesiąc później. Znowu „złe samopoczucie, zmęczenie". I znowu błyskawiczne załatwienie sprawy, podczas gdy zwykli pacjenci czekali po kilka godzin. Inny ważny polityk KO przyjechał z uszkodzeniem kolana. Gdyby chciał wyleczyć tę kontuzję w prywatnym gabinecie, zapłaciłby prawie 1 tys. zł. Tu miał wszystko za darmo i od ręki. Mało znana posłanka KO, która przyjechała do Szpitala Południowego z gorączką, bólem głowy i znów złym samopoczuciem, została przyjęta w ciągu kilku minut.

Internetowi archeolodzy próbują ustalić, o kim mowa. Krążą różne wskazania. Politykiem, który pochwalił się szybkim leczeniem w Szpitalu Południowym jest nieszczęsny wiceminister Andrzej Szeptycki. „Chirurgia jednego dnia w warszawskim Szpitalu Południowym. Szybko, sprawnie i na NFZ" – pisał jesienią ub.r. Teraz zapewnia, że został przyjęty na zwykłych zasadach.

CIĄG DALSZY NASTĄPI

W tej kadencji nie widzieliśmy tak przerażonej Koalicji Obywatelskiej. „To nowe ośmiorniczki Platformy. Takimi historiami przegrywa się wybory" – napisała dziennikarka tygodnika „Newsweek" Dominika Długosz, skądinąd bardzo życzliwie nastawiona do obecnej władzy. To określenie – ośmiorniczki – poszło już w Polskę i trudno będzie je czymś przykryć.

W sytuacji gdy zdarzają się zgony na SOR – tak jak w przypadku młodej kobiety w Gdańsku – za każdym razem będzie wracał temat saloniku dla platformerskich VIP-ów. Będzie też przypominany przy okazji wszystkich problemów z dostępem do służby zdrowia. A ten systematycznie się pogarsza. Według badań Fundacji Watch Health Care średni czas oczekiwania do specjalisty wynosi teraz 4,2 miesiąca, co jest najgorszym wynikiem od 2012 r. Jeśli wszystkich oburzyła sprawa senatora Tomasza Lenza i przyjęcia jego dziecka poza kolejką, to jak będzie rezonowała afera z lekarzem Kacprzykiem, o wiele większa, systemowa, powiązana z najważniejszymi ludźmi w KO? Bo jak teraz wytłumaczy się prezydent Warszawy, złotousty Rafał Trzaskowski, że przez długie miesiące nie wiedział, co się dzieje w podległym mu szpitalu? A przecież w kampanii prezydenckiej 2025 r. przedstawiał się jako osoba szczególnie kompetentna w tej dziedzinie z racji pełnienia nadzoru nad wieloma placówkami służby zdrowia.

> Internetowa archeologia obnażyła nie tylko obłudne zaskoczenie premiera Tuska, lecz także to, że Dawid Kacprzyk nie jest przypadkowym lekarzem, który skorzystał z okazji do zarobienia bajecznych pieniędzy

Wszystkie oczy i palce w jeszcze większym stopniu są skierowane na sekretarza generalnego Koalicji Obywatelskiej Marcina Kierwińskiego, bo to on jako capo di tutti capi warszawskiej KO odpowiada za tę historię. Zmuszenie Kacprzyka do oddania legitymacji partyjnej niczego nie załatwia.

Wraz ze zdemaskowaniem procederu „złotego dziecka" KO kończy się kolejne propagandowe hasło tej partii. Zoofilska afera z Kłodzka zamknęła usta politykom KO, którzy często atakowali prezydenta Karola Nawrockiego za weto w sprawie psich łańcuchów. Teraz wielkim ryzykiem dla nich będzie atakowanie PiS za jakieś rzekome czy nawet prawdziwe złodziejstwa sprzed trzech i więcej lat. Za każdym razem będą w ten sposób przypominali aferę Kacprzyka. Komu? Swoim wyborcom i niezdecydowanym, a wystarczy krótki ogląd prasy liberalnej, aby zobaczyć, jak bardzo złe wrażenie robi ta sprawa nawet na wiernym elektoracie KO.

Instytut Res Futura pokazuje, że temat rezonuje w nadzwyczajny sposób. Internetowe odsłony idą już w setki milionów. Ich wydźwięk jest w ponad 90 proc. negatywny dla KO i rządu Donalda Tuska. Czy do przyszłorocznych wyborów coś sprawi, że Polacy zapomną o tej aferze? Takie prognozy zawsze są ryzykowne, ale warto zwrócić uwagę na dwie rzeczy. Pierwsza jest taka, że KO nie ma dobrej odpowiedzi na tę aferę. Próby obrony podejmowane przez ludzi takich jak Roman Giertych są tak głupie, że aż śmieszne. I jednocześnie irytujące opinie publiczną. Druga rzecz: afera podsłuchowa wybuchła również w czerwcu 2014 r. Mniej więcej tyle samo przed wyborami co dzisiaj.

eprasa.pl a08be23ba5

Niemiecka pacyfikacja polskiej pamięci

Niemieccy policjanci wyrwali modlącym się Polakom krzyż, powalili ich na ziemię i brutalnie pobili! Warszawa 1940 r.? Nie, Berlin 2026 r. Ta skandaliczna sytuacja jest bulwersująca z wielu powodów i dobitnie obnaża proniemiecką słabość naszego państwa. Donald Tusk bez rozpoznania sprawy oskarżył rodaków, nazwał wydarzenia „berlińską ruchawką", a następnego dnia jego rząd w niskim ukłonie podpisał umowę o współpracy wojskowej z Niemcami. Oczywiście z pominięciem prezydenta



MARZENA NYKIEL



„Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz" – te słowa „Roty" zdążyły jeszcze wybrzmieć, zanim doszło do brutalnej pacyfikacji. Kilkunastoosobowa grupa Ruchu Obrony Granic pod przewodnictwem Roberta Bąkiewicza przybyła do Berlina w rocznicę odsłonięcia Kamienia Pamięci, który należałoby nazwać raczej głazem zapomnienia. Stojący przed Bundestagiem bezobjawowy pomnik jest – jak dotąd – jedynym aktem niemieckiego upamiętnienia dokonanego przez nich ludobójstwa 6 mln Polaków.

Nie mylili się ci, którzy twierdzili, że ten ersatz zamknie dyskusję o reparacjach i zadośćuczynieniu. Przez rok nie stało się w tej sprawie absolutnie nic. Mężczyźni z ROG chcieli więc przywrócić historyczną pamięć, oddać hołd zamordowanym rodakom, ustawić przy głazie krzyż. Nie byli agresywni, modlili się, śpiewali „Rotę" przy akompaniamencie odtwarzanego nagrania. Mieli ze sobą tablice z hasłami przywołującymi prawdę historyczną: „Allianz zbił fortunę na ubezpieczeniach personelu obozów koncentracyjnych", „Siemens wzbogacił się na niewolniczej pracy Polaków", „Volkswagen zbił krocie na niewolniczej pracy Polaków", „Matkom porwaliście 200 000 polskich dzieci".

PORAŻAJĄCE SCENY

Robert Bąkiewicz mówi, że zgromadzenie zostało zgłoszone przez ROG i początkowo zaakceptowane przez policję. „Zgodzili się na zgromadzenie. Zgodzili się na nasz przemarsz, ale powiedzieli jednocześnie, że jego forma ma być taka, jakiej oni sobie życzą, a nie taki, na jaki nam pozwala prawo" – powiedział. Niemiecka policja nie wyraziła zgody na wspólne przejście mężczyzn przed pomnik. Kazała im podchodzić pojedynczo. Dlaczego? Od kiedy turyści nie mogą stawać przy pomnikach grupowo? Po co odsłonięto kamień ofiar II wojny światowej, skoro ich potomkom zabrania się wspólnego upamiętnienia i modlitwy, nawet w rocznicę tego wydarzenia? Skąd ten zakaz? Nie wiemy tego do dziś.

Fot. wPolsce24

eprasa.pl a08be23ba5

Gdyby nie działania funkcjonariuszy, cała akcja minęłaby zapewne bez większego echa. Coś jednak niebywale rozwścieczyło Niemców. Musiały pójść odpowiednie rozkazy i wydaje się, że towarzyszyło im przyzwolenie z Warszawy. Inaczej trudno wyobrazić sobie tak brutalną pacyfikację pokojowego przemarszu nielicznej grupy obcokrajowców, chcących upamiętnić pomordowanych rodaków. Z pewnością nie posunięto by się do czegoś takiego wobec muzułmanów, Żydów czy nawet wobec społeczności LGBT+.

Sceny, które rozegrały się w Berlinie, są porażające. Rozjuszona grupa policjantów rzuciła się na mężczyzn niosących krzyż. Wyrwali go i cisnęli na ziemię. Obezwładnionych ludzi także. Do każdego z nich przystąpiło po kilku funkcjonariuszy. Skuwali w kajdanki,



kopali po całym ciele, okładali pięściami, podduszali. Nie powstrzymała ich nawet informacja, że transmitowaną interwencję oglądają miliony ludzi.

Pobici Polacy odnieśli obrażenia. Trzech trafiło do szpitala wojskowego. Najbardziej poszkodowany został Robert Bąkiewicz. Z przekazanych później informacji wynika, że miał połamane żebra i wstrząśnienie mózgu. Przez kilka godzin nie było z nim kontaktu, a polskie służby nie reagowały. Brutalności niemieckiej policji nie usprawiedliwia absolutnie nic. Bez względu na kwestie formalne agresywna interwencja funkcjonariuszy była rażąco nieadekwatna.

HANIEBNY RECHOT POLITYKÓW KOALICJI OBYWATELSKIEJ

W ciągu kilku godzin pod ambasadę Niemiec w Warszawie dotarło kilkaset osób z wyrazami wsparcia dla pobitych Polaków, a polski rząd i służby konsularne nadal milczały. Uaktywnili się za to politycy Koalicji Obywatelskiej, odsłaniając najbardziej haniebne oblicze. „Bąkiewicz zakuty w kajdanki w Niemczech. Mam prośbę do tamtejszej policji. Czy moglibyście już go nam nie oddawać?" – zaapelowała do Niemców Kamila Gasiuk-Pihowicz. „Panie Bąkiewicz! Oddychaj pan nosem! Nosem! Klatki mają dziurki! Oddychaj pan! Nosem, kurde, oddychaj!" – kpił na platformie X z obrażeń Bąkiewicza Bartosz Arłukowicz, europoseł KO, skądinąd lekarz. Uaktywniła się też Magdalena Filiks: „Bojówki Bąkiewicza pojechały do Niemiec, żeby robić zadymę. Zostali spacyfikowani przez tamtejszą policję, wsadzeni do radiowozów i odwiezieni do aresztów. Miał być krzyż, a są kraty. Takie są skutki pajacowania".

Pod niemiecką ambasadę przyszli także posłowie PiS. Prezes Jarosław Kaczyński na platformie X dobitnie określił zachowanie Niemców: „Biorąc pod uwagę, jak dzisiaj brutalnie zostali potraktowani nasi obywatele w Berlinie, jedynego, czego możemy się spodziewać ze strony Niemiec, które ani nie przepracowały swojej nazistowskiej i imperialistycznej przeszłości, ani swojego stosunku do Polaków, to noża w plecy".

Pojawiły się także żądania podjęcia natychmiastowych działań dyplomatycznych. Zaapelował o to m.in. Przemysław Czarnek: „Państwo odpowiedzialne za II wojnę światową nie potrafi okazać elementarnego szacunku wobec pamięci swoich ofiar. Takie działania kompromitują niemieckie władze. Jeśli w stolicy Niemiec przeszkadza się Polakom w oddaniu hołdu pomordowanym rodakom, to mamy do czynienia z czymś więcej niż tylko niezręcznością urzędniczą. Oczekuję natychmiastowej reakcji polskiego rządu. Ambasador RFN powinien zostać wezwany do MSZ, a strona niemiecka powinna publicznie przeprosić i wyjaśnić, dlaczego pamięć o polskich ofiarach została potraktowana w taki sposób. Miliony Polaków zostały zamordowane przez Niemcy. Ich pamięć nie podlega negocjacjom".

SYMPTOMATYCZNA NIEMOC MSZ

Tego dnia na profilu MSZ pojawił się jedynie zdawkowy wpis rzecznika resortu Macieja Wewióra: „Odnośnie zajścia w Berlinie: nasz konsul na miejscu działa – ustala w tej chwili okoliczności zdarzenia i powody zatrzymania". Łączność z konsulem była jednak utrudniona. Gdy córce Roberta Bąkiewicza udało się z nim wreszcie skontaktować, twierdził że ma bardzo ograniczone pole działania i nie może ubiegać się o dostęp do informacji o stanie zdrowia jej przebywającego w szpitalu ojca, z którym córka nie ma kontaktu. Tyle że mijał się z prawdą.

Prawo konsularne jasno określa, jak powinna wyglądać pomoc. „Konsul udziela pomocy obywatelowi polskiemu, w szczególności w razie poważnego wypadku lub ciężkiej choroby, aresztowania lub zatrzymania tego obywatela, w razie aktu przemocy, którego ofiarą padł obywatel polski. [...] Konsul może żądać od organów władzy publicznej, sądów, prokuratury, organizacji lub instytucji udzielenia informacji lub udostępnienia dokumentów, w tym zawierających dane osobowe, niezbędne do ochrony

eprasa.pl a08be23ba5

istotnych praw i interesów obywatela polskiego, jeżeli jest to konieczne do udzielenia pomocy konsularnej".

ZEMSTA NA ROG?

Trudno o bardziej wyrazistą manifestację tradycji niemieckich służb mundurowych. Polacy zostali potraktowani z poczuciem bezkarnej zuchwałości, której nie usprawiedliwia absolutnie nic. Łatwo jednak odczytać uzasadnienie tych działań. Widać je w biernej postawie polskiego rządu wobec decyzji Berlina i poddańczej chęci niezadrażniania sytuacji. Dla Donalda Tuska wrogiem jest każdy, kto stawia Niemcom warunki i żąda poszanowania polskich interesów. Przecież sam wielokrotnie atakował PiS za przywracanie prawdy historycznej i żądanie od Niemiec reparacji, których zrzekł się natychmiast po przejęciu władzy. W kwestii miłego dobrosąsiedztwa jego rząd wyznaje zasadę bezrefleksyjności. Nie dziwi zatem wrogi stosunek wobec Roberta Bąkiewicza i Ruchu Obrony Granic, który stale monitoruje sytuację na granicy i udaremnia Niemcom przerzucanie na polską stronę nielegalnych migrantów. ROG jest więc w równym stopniu wrogiem Niemiec i polskiego rządu, co zostało zresztą wyrażone wprost podczas wystąpień premiera i jego ministrów. Wrogą jest również opozycja i prezydent, ponieważ nie wyrażają zgody na podporządkowywanie Polski zewnętrznym interesom i zawieranie porozumień uderzających w polską rację stanu.

Donald Tusk realizuje cele wytyczone przez Berlin i Brukselę wbrew głosom sprzeciwu. Najpierw wepchnął Polskę w gigantyczny kredyt SAFE, teraz z pominięciem prezydenta podpisał polsko-niemiecką umowę o współpracy militarnej, której szczegółów nie zna nawet zwierzchnik sił zbrojnych Karol Nawrocki. Czy skandaliczne wydarzenia w Berlinie stanowią zapowiedź tego, co nas czeka? Tak ma wyglądać ta współpraca w obszarze naszego bezpieczeństwa?

TUSK O „RUCHAWCE BERLIŃSKIEJ"

Polski rząd nie tylko nie stanął w obronie pobitych przez Niemców obywateli, lecz także całkowicie przyjął niemiecką wykładnię i bez wyjaśnienia sprawy oskarżył Polaków. Obowiązki polskie ustąpiły przed zobowiązaniami niemieckimi.

Donald Tusk stwierdził z pogardą na konferencji prasowej, że nie oglądał nagrania z Berlina, ale winnych już zna. „W każdej sytuacji, kiedy policja interweniuje wobec polskich obywateli, oczywiście będziemy sprawdzali, czy wszystko jest zgodne z prawem, czy nie doszło do przesadnych interwencji, ale tak naprawdę, to co robi Bąkiewicz jest kompromitujące, nie oszukujmy się. [...] Coraz częściej muszę bronić polską policję, straż graniczną przed Bąkiewiczem – to jest mój problem. Tego typu wyprawy i taka historia to coś moim zdaniem bardzo kompromitującego dla tych ludzi" – stwierdził Tusk, dodając, że wobec Bąkiewicza „nie ma żadnych oczekiwań". „Natomiast to, że kilku pozornie poważnych polityków PiS wpadło w histerię, hurrapatriotyczny ton przy okazji tej ruchawki berlińskiej, to kompromitujące też dla nich" – oświadczył Tusk.

KOSINIAK-KAMYSZ OSKARŻA

W prawdziwą histerię wpadł szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz, i to w obecności swego niemieckiego odpowiednika Borisa Pistoriusa. Na wspólnej konferencji prasowej w 35. rocznicę zawarcia polsko-niemieckiego traktatu o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy podpisali oni nową umowę obronną. Według MON „będzie stanowiła podstawę prawną określającą nowe, aktualne ramy współpracy stron w sprawach obronności". Biorąc pod uwagę poddańczy stosunek rządu Donalda Tuska wobec Niemiec i zatajenie treści dokumentu przed prezydentem oraz całkowite pominięcie go w procedurze, można mieć wiele uzasadnionych wątpliwości o realnej wzajemności i bezpieczeństwie. Zwłaszcza po brutalnych zajściach w Berlinie.

Reakcja wicepremiera na pytanie o pobicie działaczy ROG budzi najwyższy niepokój. Stojąc u boku niemieckiego ministra, oskarżył Polaków. „Te prowokacje, które pan Bąkiewicz realizuje – w Polsce, w Niemczech, w innych miejscach – to nie jest żadna ochrona granic. To jest wszystko działanie na zniszczenie wspólnoty narodowej w Polce, pokłócenie nas z sojusznikami, z sąsiadami, doprowadzenie do tego, żeby Polska była osamotniona. Ja na to nie pozwolę! My na to nie pozwolimy!" – wykrzyczał, grożąc.

NIEMIECKI INTERES OBECNEGO RZĄDU

Brutalne pobicie Polaków przez niemiecką policję ujawniło wciąż obecny za Odrą antypolonizm. Obnażyło też prawdziwe oblicze polityków rządzących krajem – ich odruchy, priorytety i koncepcję polityczną. Nie miejmy złudzeń. Niemiecka dominacja jest dla nich faktem. Właśnie dlatego hamują rozwój i suwerenność Polski, a ich decyzje i deklaracje coraz bardziej rozzuchwalają Niemców. Jakie będą kolejne kroki?

Już Olaf Scholz zapowiadał, że kraje członkowskie należy „oduczyć narodowych egoizmów", a Berlin jest gotowy na przewodniczenie nowej, zjednoczonej Unii. Donald Tusk jawnie umożliwia realizację koncepcji niemieckiego superpaństwa. Zapewnia Berlin o bezkonfliktowej współpracy, zrzeka się reparacji, a nawet deklaruje, że jeśli Niemcy nie zapłacą żyjącym ofiarom II wojny światowej, zrobi to za nich jego rząd. Żaden inny premier po 1989 r. nie prowadził tak nieobliczalnej polityki podległości jak Donald Tusk.

Działania Berlina świadczą jednak o tym, że mamy do czynienia z brudną grą. Politycy zza Odry nie chcą silnej, samodzielnej, rozwiniętej, liczącej się w strukturach międzynarodowych, dumnej i niezależnej Polski. Niemcy nigdy też nie zadośćuczyniły za popełnione ludobójstwo, wymordowanie 6 mln ludzi, zrównanie z ziemią naszych miast i wsi, zrujnowanie polskiej gospodarki, ograbienie naszych fabryk, banków i muzeów. Jak mamy więc mówić o „dobrym sąsiedztwie" i opierać na nim bezpieczeństwo naszego kraju? Rząd PiS przekazał Berlinowi raport o stratach poniesionych przez Polskę w wyniku agresji i okupacji niemieckiej, wykazując kwotę ponad 6 bln zł. Zuchwale to zignorowano. Zamiast reparacji mamy zakaz grupowego zbliżania się z krzyżem do pomnika ofiar II wojny światowej pod groźbą ciężkiego pobicia przez niemiecką policję.

eprasa.pl a08be23ba5

Spisek Tuska czy tratwa ratunkowa?



Skoro Ryszard Petru wraca dziś z pomysłem nowej partii, to siłą rzeczy prowokuje mnóstwo pytań. Czy w otoczeniu Tuska pojawił się strach przed utratą władzy w 2027 r.? Kto stoi za pomysłem utworzenia nowego ugrupowania? Czy sam Tusk, czy jakieś środowiska biznesowe, które chcą zabezpieczyć swoje interesy?



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Fot. Andrzej Wiktor

Ryszard Petru, obecnie jeden z posłów Klubu Centrum, składającego się z lojalnych wobec Donalda Tuska secesjonistów z Polski 2050, zapowiedział w ostatni wtorek, że zakłada nowe ugrupowanie. Ma to być – jak tłumaczył w rozmowie z Polsat News – formacja „do bólu pragmatyczna gospodarczo, a przy tym proeuropejska i pozbawiona ksenofobii".

Petru nazywa roboczo swój projekt „Konfederacją Light". „Oczywiście to nie będzie oficjalna nazwa ugrupowania, ale »Konfederacja Light« ma tę ogromną zaletę, że dzięki niej każdy od razu rozumie, o co chodzi" – wyjaśnił.

Wiele wskazuje na to, że Petru, który mimo bardzo burzliwego życia publicznego nigdy nie pozbył się ambicji odegrania wielkiej roli w polityce („Chcę być premierem" – przyznawał rozbrajająco w 2016 r.), postanowił odgrzać stary projekt Nowoczesnej – partii, na której czele dostał się do Sejmu w 2015 r. i która niespełna rok temu została ostatecznie wchłonięta przez Koalicję Obywatelską.

eprasa.pl a08be23ba5

NOWOCZESNA BIS

Każdy, kto pamięta jeszcze tamtą Nowoczesną, z pewnością przypomina sobie również, że na temat jej utworzenia krążyły różne historie. Nie ulega wątpliwości, że był to ruch gospodarczych liberałów zaniepokojonych słabnącymi notowaniami PO. Nowoczesna miała przejąć sztandar neoliberalizmu w sytuacji, gdyby nie była go w stanie utrzymać partia Tuska, pozbawiona po 2014 r. swojego wodza, który wobec spadających sondaży wyjechał robić karierę w Brukseli. Nowa partia była więc czymś w rodzaju formacji rezerwowej na wypadek porażki PO.

Wspomniane historie dotyczyły pytania, na ile utworzenie Nowoczesnej było odgórnie zaplanowanym manewrem mającym zablokować, a przynajmniej skomplikować rządy PiS. I choć nigdy nie otrzymaliśmy na nie jednoznacznej odpowiedzi, wszystko wskazuje na to, że Nowoczesna była sztucznym projektem, rodzajem tratwy ratunkowej dla liberalnej oligarchii w Polsce.

Skoro dziś Petru wraca z takim pomysłem, to siłą rzeczy prowokuje podobne pytania. Czy w otoczeniu Tuska znowu pojawił się strach przed utratą władzy? Kto stoi za pomysłem nowego ugrupowania? Czy sam Tusk, czy jakieś środowiska biznesowe, które chcą zabezpieczyć swoje interesy?

Oczywiście słabym punktem tego spisku jest sam Ryszard Petru – postać raczej groteskowa niż poważny gracz polityczny. Wydawałoby się bowiem, że aby stworzyć nową formację mającą po raz kolejny zamydlić oczy wyborcom, trzeba poszukać jakiejś nowej, niezużytej twarzy. Być może początkowo miał nią być właściciel InPostu Rafał Brzoska. Krążyło przecież mnóstwo plotek na temat jego ambicji politycznych. Ostatecznie jednak temat ucichł. Jednocześnie Petru jest uparty i ma wielkie ambicje, a tego nie należy całkiem lekceważyć. Jego groteskowość może być nawet atutem, stanowi bowiem gwarancję, że nigdy nie stworzy realnego zagrożenia dla obecnego układu władzy. Nie stworzył go przecież w 2015 r. ani później, bo sam zatopił się aferą z wyjazdem na Maderę.

Pozycja Petru jest więc podobna do tej, którą zajmowali Palikot czy Hołownia – oni również zbierali głosy wyborców na rzecz Tuska, ale byli zbyt słabi, aby kiedykolwiek wyrosnąć na jego rywali. W tym sensie utworzenie nowej formacji Petru może być rzeczywiście postrzegane jako element szerszej gry Tuska, który rozpoczyna właśnie przegrupowanie swoich sił przed przyszłoroczną batalią wyborczą.

CZEGO BOI SIĘ TUSK?

Wyborcą nowej partii Ryszarda Petru – według jego własnych słów – ma być osoba o poglądach wolnorynkowych, którą zawiodły dotychczasowe rządy Tuska. „Dzisiaj wyborcy, którzy mają pretensje do rządu o brak działań na rzecz przedsiębiorczości, a jednocześnie mierzi ich ostra, antyunijna retoryka Konfederacji, nie mają na kogo głosować. Często mówią: »A jednak zagłosuję na Konfederację«" – tłumaczył Petru w rozmowie z Polsat News. To dosyć istotna wskazówka.

> Nowa partia ma być odpowiedzią na oczekiwania najzamożniejszej grupy – ludzi, którzy liczyli na powrót rządu Tuska do turboliberalnej polityki i sporo w to zainwestowali

Mogłoby to bowiem potwierdzać różne informacje, że narasta niezadowolenie wśród części liberalnego elektoratu KO. Petru mówi tu o przedsiębiorcach, ale raczej nie chodzi mu o biedaprzedsiębiorców pracujących w drobnych usługach czy osoby zmuszone do samozatrudnienia. Jego partia ma być odpowiedzią na oczekiwania zamożniejszej grupy – ludzi działających w gospodarce na szerszą skalę, którzy liczyli na powrót rządu Tuska do turboliberalnej polityki – zniesienia wielu świadczeń wprowadzonych za PiS, liberalizacji rynku pracy, zniesienia płacy minimalnej i innych. Tusk tego nie zrobił, bo wie, że byłoby to zabójcze dla jego notowań. Szef obecnego rządu, który w trakcie kampanii wyborczej ostro krytykował „rozdawnictwo" PiS, zdaje sobie sprawę z tego, że to właśnie głosy zwykłych ludzi decydują o ostatecznym wyniku wyborczym. A takich ludzi – w przeciwieństwie do zamożnych przedsiębiorców – jest w Polsce większość. Musi więc – przynajmniej do pewnego stopnia – uwzględniać ich oczekiwania.

Tusk zauważył już, że po ośmiu latach władzy PiS te oczekiwania są zupełnie inne niż za jego pierwszych rządów. Nie wystarczy im kilka bałamutnych sloganów o tym, że ciężką pracą każdy się wzbogaci i że jak będziemy słuchać Unii, to czeka nas bajeczna przyszłość. Ludzie chcą, aby rząd zapewnił im bezpieczeństwo i stabilizację życiową. Wzrosła ich wrażliwość na ewidentne nierówności i niesprawiedliwość. Aby się o tym przekonać, nie trzeba być wielkim specjalistą. Wystarczy zajrzeć do mediów społecznościowych i przeczytać, co najbardziej oburza Polaków.

W 2023 r. Tusk, nie przejmując się konsekwencjami swoich słów, obiecał ludziom wszystko, co chcieli usłyszeć. I teraz, gdy zbliżają się kolejne wybory, będzie z tego rozliczony. Nie ma żadnych własnych pomysłów, więc sięga po stare idee PiS, które próbuje sprzedawać w nowym opakowaniu i często w okrojonej wersji – począwszy od CPK poprzez bezpieczeństwo państwa, walkę z imigracją, a kończąc na samochodzie elektrycznym Izera. Trudno sobie wyobrazić, aby w takiej sytuacji był skłonny udzielać znacznych przywilejów najbogatszym. To by było polityczne samobójstwo.

Tymczasem bogate elity – w tym zamożni przedsiębiorcy, menedżerowie w zagranicznych korporacjach, część wolnych zawodów – oczekiwali od Tuska w 2023 r. zupełnie innej polityki. Radykalnego i konsekwentnego

Autopromocja

eprasa.pl a08be23ba5

wzięcia za twarz „roszczeniowej hołoty" i przekierowania transferu pieniędzy do kieszeni najbogatszych. Owszem, rząd Tuska kilkakrotnie poszedł w tym kierunku, ale im bliżej wyborów, tym jego działania stają się coraz bardziej nieśmiałe i ograniczone. Nie wynika to z empatii, lecz z chłodnej kalkulacji politycznej. Rok przed wyborami to się po prostu nie opłaca.

Nic więc dziwnego, że część elit finansowych czuje się zawiedziona taką polityką. Przed 2023 r. sporo zainwestowali w powrót Tuska, ale zwrot z tej inwestycji okazał się niezadowalający.

Tusk z pewnością jest świadomy tych nastrojów (nawet „Newsweek" ciągle pisze o rozczarowaniu „klasy średniej"), ale nie jest w stanie pogodzić w jednym bycie politycznym postulatów liberalnych elit z oczekiwaniami społeczeństwa. Dlatego – taka jest prawdopodobna teoria – następuje dziś pączkowanie na scenie politycznej. W tym wariancie Tusk skupia się na szerokim elektoracie zwykłych Polaków (KO jako partia normalsów), a bliski mu politycznie i niegroźny Petru stanie się reprezentantem bogatej, liberalnej elity.

OGON, KTÓRY MACHA PSEM

Przedstawiony scenariusz dość dobrze wyjaśnia możliwe intencje stojące za założeniem nowej partii przez Ryszarda Petru, ale nie jest jedyny, a w każdym razie nie wyczerpuje wszystkich możliwości.

Petru mówi bowiem o swoim nowym projekcie jako o „Konfederacji Light". To oczywiście wskazuje na mocno liberalny charakter nowego ugrupowania, ale nawiązanie do Konfederacji może także sugerować, że to właśnie ta formacja – a w szczególności stronnictwo Sławomira Mentzena – jest celem politycznych zabiegów Ryszarda Petru oraz szeroko rozumianego układu rządowego.

Z jednej strony nie musi to oznaczać niczego poważnego. Petru od dawna „napastuje" Mentzena, a podczas kampanii wyborczej w 2023 r. udało mu się nawet pokonać go w debacie (co skądinąd wiele mówi o błyskotliwości Mentzena). Później Mentzen – co zrozumiałe – unikał starć z Petru w obawie przed własną kompromitacją. Petru z kolei poczuł się na tyle mocny, że nie czuje żadnego respektu przed Mentzenem i być może zamierza zawalczyć z nim o jego własny elektorat. Niewykluczone więc, że nazywanie własnej partii „Konfederacją Light" ma także wymiar ambicjonalny. Tym bardziej że Petru uważa się za jedynego prawdziwego liberała gospodarczego, może tylko poza Balcerowiczem, któremu kiedyś – jeszcze jako jego uczeń – przynosił kanapki z McDonald's.

> Petru ma ambicje, których nie należy całkiem lekceważyć. Jego groteskowość może być nawet atutem, stanowi bowiem gwarancję, że nigdy nie stworzy realnego zagrożenia dla obecnego układu władzy

Z drugiej jednak strony – nie wykluczając aspektu personalnego – wejście na obszar zajmowany przez Konfederację może być także elementem znacznie poważniejszej strategii, w której ambitny i pewny siebie Petru gra jedynie rolę wyznaczoną mu przez innego reżysera. Mogłoby to oznaczać, że Tusk (bo o jakiego innego reżysera może tu chodzić?) zdecydował się zagrać na osłabienie, a docelowo być może zhołdowanie formacji Mentzena. Sam przecież nie zdecyduje się – tak jak ostatnio próbuje robić PiS – na podjęcie rywalizacji z Konfederacją, bo byłoby to sprzeczne z wizerunkiem KO jako partii normalsów i mogłoby wprowadzić zbyt duże zamieszanie w jej i tak przecież wyjątkowo twardym oraz odpornym na wszelkie wolty lidera elektoracie. Dlatego wypuszcza na Mentzena i jego elektorat Ryszarda Petru. To niewielkie ryzyko, a gdyby się udało namieszać, polityczny zysk byłby całkiem spory.

Jeśli teoria o partii dla bogatych liberałów – zresztą niestojąca w sprzeczności z wcześniejszą – jest prawdziwa, to byłaby ilustracją dużej zmiany jakościowej w polskiej polityce. Oznaczałoby to bowiem, że obie najważniejsze partie na polskiej scenie politycznej ustawiają się dziś pod swojego mniejszego rywala. A więc że ogon macha psem.

Konfederacja, uzyskująca o połowę mniej głosów od PiS i KO, staje się dla tych partii punktem odniesienia i celem rozmaitych zabiegów politycznych. W ten sposób formacja Mentzena i Bosaka otrzymuje ogromny wpływ na kształtowanie obowiązującej agendy politycznej w kraju. Już teraz da się przecież zauważyć odejście od polityki prosocjalnej w PiS i wyraźny zachwyt niektórych jej polityków nad liberalizmem i wolnym rynkiem. Jeszcze kilka lat temu byłoby to nie do pomyślenia.

Tusk jest tu znacznie ostrożniejszy. Wie, że wyścig o to, kto okaże się bardziej wolnorynkowy, skończy się dotkliwym zderzeniem ze ścianą. Dlatego nie byłoby zaskoczeniem, gdyby do tej rywalizacji wystawił Ryszarda Petru. Sam woli przezornie stać z boku i pozycjonować się jako partia środka, zajęta zaspokajaniem aspiracji przeciętnych Polaków. Bo jeśli Petru, Konfederacja, a może nawet PiS, zaczną się bić między sobą o to, kto bardziej obniży podatki, zniesie socjal i w ten sposób dogodzi bogatym, to KO zgarnie większość głosów. Byłoby to okrutnym zrządzeniem losu, bo przecież nikt w ostatnich latach nie napsuł życia zwykłym ludziom tak jak Tusk.



NOWOŚĆ!
PRENUMERATA SIECI PRZEZ InPost
Zamów na: prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ?
Tygodnik SIECI odbierasz **już w poniedziałek** ze swojego paczkomatu
Możesz go zmienić na inny np. na czas urlopu

eprasa.pl a08be23ba5

Klątwa wicków

Dziesiątka najbardziej kuriozalnych zastępców ministrów w rządzie Donalda Tuska



STANISŁAW JANECKI

Choć wielu ministrów trzeciego rządu Donalda Tuska to postacie kuriozalne, ten gabinet „stoi" wiceministrami (wickami). To, że tacy są, wynika albo z braku wykwalifikowanych kadr w partiach koalicyjnych, albo z tego, że największą siłę przebicia mają tam wyjątkowe „egzoty". Być może wicki mają stanowić tło, na którym ministrowie wyglądają na ludzi rozsądnych i kompetentnych oraz skupiać na sobie uwagę opinii publicznej, by chronić szefów resortów.

Można już nawet mówić o klątwie wicków ze względu na to, kim są i dlaczego zostają zastępcami ministrów. Oto ich krótki przegląd i wiekopomne wypowiedzi.



Urszula Zielińska

(wiceminister klimatu i środowiska)

W styczniu 2024 r. podczas spotkania ministrów środowiska UE zadeklarowała w imieniu Polski poparcie dla celu redukcji emisji gazów cieplarnianych o 90 proc. do 2040 r. Od jej słów publicznie odcięła się szefowa resortu Paulina Hennig-Kloska. W czerwcu 2026 r., gdy w Szczecinie i okolicach Odry pojawiły się kolejne doniesienia o masowym śnięciu ryb, uciekała przed dziennikarzami zadającymi pytania o stan rzeki. W październiku 2024 r., komentując skutki powodzi stwierdziła: „Na pewno będziemy namawiać tych mieszkańców, którzy już po raz enty byli zalewani, by nie wracali do tych miejsc". Gdzie zatem mieliby mieszkać? We wrześniu 2025 r. zapytana o plany rządu na recykling zużytych turbin wiatrowych, odpowiedziała w stylu: „ja wiem, że z tego, co wiem...".

Kiedy Przemysław Czarnek, kandydat PiS na premiera, zadeklarował, że zdemontuje z dachu swojego domu panele fotowoltaiczne, stwierdziła, że ma on na dachu instalacje o mocy 5 MW i powinien zwrócić dotację do fotowoltaiki. Tyle że aby montaż paneli o takiej mocy był możliwy, dach musi mieć powierzchnię 80–100 tys. m². 5 MW mocy zużywa średniej wielkości fabryka, duży kompleks biurowy lub ponad tysiąc domów jednorodzinnych.

24 lipca 2024 r. w radiowej Jedynce mówiła: „Transport rzeczny jest dzisiaj kompletnie nieopłacalny". W rzeczywistości koszt przewozu towarów w żegludze śródlądowej jest 5 razy niższy od transportu samochodowego i 2,5 razy niższy od przewozów kolejowych.



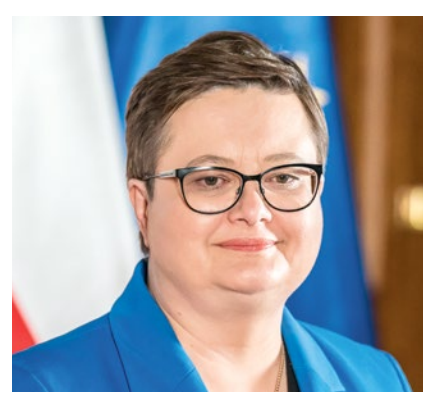
Żaneta Cwalina-Śliwowska

(wiceminister sportu i turystyki)

Na początku maja 2026 r. nie potrafiła odpowiedzieć, ile jest w Polsce województw. Gdy zapytano ją, czyją stolicą jest Luksemburg, odpowiedziała: „Belgii?". Po kolejnym pytaniu o liczbę województw oświadczyła, że nie zamierza na nie odpowiadać.

Jako świeżo upieczona wiceminister odpowiedzialna za sport podczas debaty medialnej przekręciła nazwisko trenerki kobiecej reprezentacji w piłce nożnej Niny Patalon. Nazwała ją „panią Patalas". „Jeszcze nie wiem, czym się zajmę" – mówiła pytana o zakres obowiązków.

W programie „Studio parlament" w Polsat News jako kluczowy dowód dyskryminacji podała to, że gdyby wyjść na ulicę i zapytać Polaków, kim jest Robert Lewandowski, poprawnie odpowiedziałby każdy, a o Ewie Pajor (gwieździe kobiecego futbolu) nie wiedziałby prawie nikt. Porównała globalny, komercyjny fenomen męskiej piłki nożnej z kobiecą dyscypliną, różnice w nich przypisując „dyskryminacji".



Katarzyna Lubnauer

(wiceminister edukacji)

Podczas konferencji prasowej w Sejmie weryfikowała obowiązujące przepisy prawne za pomocą ogólnodostępnego narzędzia AI, które nie daje żadnych gwarancji wskazania stanu faktycznego.

Fot. Adrian Grycuk/CC BY-SA 3.0 pl, Żaneta Cwalina Śliwowska/Facebook, Liudmyla Skwarczyńska

eprasa.pl a08be23ba5

Broniąc wprowadzenia przedmiotu edukacja zdrowotna, o konserwatywnych rodzicach powiedziała, że „szuria opowiadała różne głupoty na ten temat". „Bardzo często pokazuję rodzicom, że nie mają zielonego pojęcia o tym, co traktują jako coś, czego mogą nauczyć swoje dzieci" – mówiła w TOK FM.

Kontakt z Katarzyną Lubnauer jest praktycznie niemożliwy zarówno przez jej biuro poselskie, jak i przez Ministerstwo Edukacji. Korzystająca z tych kanałów kontaktu Fundacja Edukacji Domowej nie uzyskała odpowiedzi na zadane pytania, a wiceminister świadomie unika spotkań z innymi organizacjami pozarządowymi niż lewicowe.

„Każdy, kto chciał uczciwie podejść do sprawy, wiedział, że to tylko przejęzyczenie" – powiedziała w radiu RMF FM, odnosząc się do słów minister edukacji narodowej Barbary Nowackiej, która wspomniała o „polskich nazistach" budujących Auschwitz. „Była zmęczona" – tłumaczyła swoją przełożoną.



Maria Ejchart

(wiceminister sprawiedliwości)

W czerwcu 2026 r. dotkliwe pogryzienie przez pluskwy zatrzymanego dziennikarza śledczego Leszka Kraskowskiego tłumaczyła „specyfiką takich obiektów" i efektem rotacji osadzonych.

Kierowano do niej oficjalne zapytania poselskie w Sejmie w związku z podejrzeniem o konflikt interesów. „Każdy ma prawo nie jeść i nie pić" – to jej najbardziej bezczelna wypowiedź, która padła na początku 2024 r. w kontekście głodówki podjętej w więzieniu przez Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. A przecież przez lata była przedstawiana jako ekspertka w zakresie praw człowieka. Dziennikarze porównywali tę wypowiedź do słynnych, lekceważących słów Włodzimierza Cimoszewicza skierowanych do powodzian: „Trzeba się było ubezpieczyć".

Komentując zarzuty o tortury i niewłaściwe traktowanie urzędniczek zatrzymanych w sprawie Funduszu Sprawiedliwości, skwitowała je stwierdzeniem: „To narracja polityczna, a nie faktyczny opis sytuacji".



Aleksandra Gajewska

(wiceminister rodziny, pracy i polityki społecznej)

W kwietniu 2021 r. skierowała oficjalne zapytanie do premiera, domagając się natychmiastowego zakazu lotów pasażerskich z Indii do Polski z powodu rozprzestrzeniającej się tam nowej mutacji koronawirusa. Ale w tamtym momencie bezpośrednie loty pasażerskie z Indii do Polski od dawna nie były realizowane.

W czerwcu 2025 r. w mediach społecznościowych oraz w programie „Gość Wydarzeń" ostro zaatakowała prezydenta Andrzeja Dudę za jego komentarze dotyczące zabezpieczania i liczenia głosów po wyborach. Jej słowa, że „szkoda, iż w takim stylu chce kończyć swoją prezydenturę" spotkały się z zarzutami o łamanie standardów i brak szacunku dla konstytucyjnych organów państwa ze strony reprezentanta rządu.

W jednym z wywiadów w programie „Hallo Haller", opisując relacje kobiet w polityce, stwierdziła: „Nikt tak nie dokopie jak koleżanka z Lewicy", co było sprzeczne z oficjalnie deklarowaną przez nią polityczną „solidarnością kobiet". W kwietniu 2025 r., komentując debaty parlamentarne, atakowała liderów Konfederacji, zarzucając im wyrażanie „obrzydliwych poglądów", co uznano za próbę dehumanizowania konkurentów politycznych.



Cezary Tomczyk

(wiceminister obrony narodowej)

Jeszcze jako rzecznik premier Ewy Kopacz zasłynął stwierdzeniem, że Polska może przyjąć „każdą liczbę uchodźców". Jako wiceminister uderzył w Antoniego Macierewicza w mediach społecznościowych na podstawie wpisu z konta parodystycznego. Uwierzył internetowemu trollowi udającemu polityka PiS, a po fali kpin usunął swój wpis. W mediach aktywnie bronił i usprawiedliwiał wulgarne hasło skrywające się za ośmioma gwiazdkami. Stwierdził wówczas, że młodzi ludzie „mają prawo do pewnej swobody".

Zachwalając nowoczesność sprowadzonych do Polski amerykańskich F-35, stwierdził, że „różnica między F-16 a F-35 jest taka, jak między Fiatem Tipo a Porsche". To porównanie wywołało politowanie wśród ekspertów wojskowych. W napiętej sytuacji spowodowanej naruszeniem polskiej przestrzeni powietrznej przez niezidentyfikowane obiekty zaatakował krytykujących rząd sformułowaniem: „Nie bądźcie debilami!".



Marcin Bosacki

(wiceminister spraw zagranicznych)

Podczas nadzwyczajnego posiedzenia ONZ we wrześniu 2025 r. oskarżył Rosję o celowy atak, pokazując zdjęcia zniszczonego domu w miejscowości Wyryki jako dowód na uderzenie rosyjskiego drona. Tyle że za uszkodzenie budynku odpowiadała rakieta wystrzelona z polskiego myśliwca F-16.

Fot. Maria Ejchart/Facebook, Liudmyla Kazakova, Arnzej Wiktor 2x

eprasa.pl a08be23ba5

Potem tłumaczył: „Oczywiście, że nie wiedziałem". Jego błąd został natychmiast wykorzystany przez rosyjską propagandę do podważania wiarygodności Polski. Ogłoszenie całemu światu, że zniszczenie polskiego domu to „świadoma decyzja Rosji, aby przekroczyć kolejną czerwoną linię", zanim polskie służby w ogóle zbadały szczątki na miejscu zdarzenia, zostało uznane za dyplomatyczną amatorszczyznę. Zamiast uderzyć się w pierś za podanie niesprawdzonych informacji na forum ONZ, w programie „Fakty po Faktach" w TVN24 brnął w retorykę, że nieważne, czyj pocisk spadł na Wyryki, bo „za wszystkie zniszczenia odpowiada Rosja".



Andrzej Szejna

(odwołany wiceminister spraw zagranicznych)

W marcu 2025 r. media podały, że zdarzało mu się być w pracy pod wpływem alkoholu, a wydawca jednej ze stacji potwierdził, iż pozostawał w stanie uniemożliwiającym występ. Sprawa zyskała wymiar państwowy, ponieważ Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego musiała badać, czy wiceszef MSZ naruszył procedury bezpieczeństwa, posiadając certyfikaty dostępu do informacji niejawnych. Premier Donald Tusk wysłał go wówczas na przymusowy urlop.

Na początku 2025 r. kielecka prokuratura wszczęła śledztwo w sprawie wyłudzenia 122 tys. zł w formie ryczałtu paliwowego. Pobierał pieniądze na prywatne podróże samochodem, podczas gdy miał do dyspozycji rządowe limuzyny.

W styczniu 2026 r. zapytany przez dziennikarzy o zegarek na nadgarstku, najpierw z dumą potwierdził, że to czasomierz prestiżowej marki Omega. Gdy reporter dopytał, dlaczego nie uwzględnił tak drogiego przedmiotu w oficjalnym oświadczeniu majątkowym, stwierdził, że to jednak nie jest Omega. W październiku 2025 r. (krótko po utracie stanowiska) nie potrafił rozpoznać flagi Islandii.

W marcu 2025 r. była posłanka Beata Maciejewska oskarżyła go o to, że w 2016 r. pobił młodą działaczkę Lewicy. W maju 2025 r. Prokuratura Okręgowa w Warszawie odmówiła wszczęcia śledztwa w tej sprawie po tym, jak rzekomo poszkodowana sama zaprzeczyła, by została pobita przez posła Szejnę. Wtedy pytano tylko o to, co trzeba obiecać za takie dementi.



Arkadiusz Myrcha

(wiceminister sprawiedliwości)

Jesienią 2024 r. ujawniono, że wraz z żoną Kingą Gajewską pobierał z Kancelarii Sejmu podwójny dodatek mieszkaniowy (łącznie blisko 8 tys. zł miesięcznie) na wynajem tego samego lokalu w Warszawie. Wcześniej para wybudowała duży dom jednorodzinny w Błoniu pod Warszawą (30–40 minut jazdy do Sejmu), z którego oboje regularnie dojeżdżali. Zapytany, czy po wybuchu afery zamierza zrezygnować z pobierania sejmowych pieniędzy na warszawskie mieszkanie, odparł, że ta sytuacja jest dla niego w pełni naturalna i „analogiczna do utrzymywania biura poselskiego". Gdy chodzi o rozliczenia ryczałtów samochodowych małżeństwa, tylko w 2025 r. i 2026 r. „wyjeździli" paliwo za kilkadziesiąt tysięcy złotych. Media wyliczyły, że przejechany dystans odpowiadał dwukrotnemu okrążeniu kuli ziemskiej. Myrcha wykazywał wysokie koszty eksploatacji prywatnego auta, mimo że jako wiceminister na co dzień dysponował rządowym samochodem służbowym z kierowcą. Przyznał, że zdarza im się podróżować razem jednym samochodem, ale paliwo i tak rozliczają podwójnie w ramach dwóch osobnych mandatów poselskich.

W październiku 2024 r. zapomniał wpisać do swojego oświadczenia majątkowego darowiznę domu, który jego żona otrzymała od rodziców. Dziennikarze prześwietlający wydatki jego biura poselskiego odkryli, że z pieniędzy podatników kupił m.in. cztery drogie ekspresy do kawy oraz luksusowy Apple Watch. Promując partyjną akcję pod hasłem „#PORozmawiajmy", na swoim profilu na platformie X napisał „#PORozwalajmy". Jeszcze zanim został wiceministrem, zapytany o imiona mędrców ze Wschodu podczas wywiadu w TVP Info w Święto Trzech Króli bez wahania je wymienił: „Kacper, Melchior i... Belzebub".



Robert Kropiwnicki

(wiceminister aktywów państwowych do listopada 2025 r.)

Z oświadczeń majątkowych (m.in. za 2025 i 2026 r.) wynika, że jest właścicielem 13 mieszkań o łącznej wartości ponad 4 mln zł. Mimo to pobierał z Kancelarii Sejmu dodatek mieszkaniowy w wysokości 3,5 tys. zł miesięcznie na wynajem lokalu w Warszawie.

W styczniu 2026 r. jako były wiceszef MAP publicznie poinformował w mediach o kluczowych zmianach kadrowych w zarządzie spółki KGHM Polska Miedź, zanim giełdowy gigant zdążył opublikować oficjalny komunikat. Naruszył tym samym standardy informacyjne spółek publicznych. Gdy podczas kontroli prowadzonej przez posłów opozycji w Ministerstwie Aktywów Państwowych zapytano go o dane nadzorowanych podmiotów nie znał odpowiedzi. Pytany o kuriozalną sytuację, w której poseł decydujący o prawie mieszkaniowym masowo skupuje lokale, odpowiadał, że ciężko pracuje, a kupowanie nieruchomości to jego prywatna sprawa. Gdy po intensywnym i emocjonalnym wieczorze zasłabł podczas obrad, wytknięto mu niesportowy tryb życia.

W tym gronie brakuje tylko Ryszarda Petru, który miał objąć stanowisko wiceministra rozwoju, ale ta decyzja wciąż nie została ogłoszona.

Fot. Gov.pl, Liudmyla Kazakova, Andrzej Wiktor

eprasa.pl a08be23ba5

Wołyń fundamentem działalności UPA

W okresie okupacji niemieckiej starcia UPA z partyzantką sowiecką były raczej sporadyczne. Sytuacja zmieniła się dopiero latem 1944 r., gdy Armia Czerwona ponownie zajęła zachodnią Ukrainę. Do tego momentu ukraińskie podziemie nie traktowało Sowietów jako głównego wroga. Pierwszoplanowym celem byli Polacy

Z prof. dr. hab. Mirosławem Szumiłą z Instytutu Historii UMCS, głównym specjalistą w Biurze Badań Historycznych IPN, zajmującym się stosunkami polsko-ukraińskimi, rozmawia Stanisław Płużański



Fot. Tytus Żmijewski/PAP

W ostatnich dniach w Polsce szeroko komentowana jest decyzja prezydenta Ukrainy o nadaniu jednej z jednostek wojskowych imienia Bohaterów UPA. Pojawiły się również głosy porównujące Ukraińską Powstańczą Armię do żołnierzy wyklętych, a nawet stawiające znak równości między UPA i Armią Krajową. Jak pan ocenia takie porównania?

Mirosław Szumiło: Są one w dużej mierze powtórzeniem narracji części ukraińskich historyków i publicystów, którzy od lat promują tezę o symetrycznym charakterze konfliktu polsko-ukraińskiego. Jednym z głównych propagatorów takiego podejścia był Wołodymyr Wiatrowycz, były szef ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej, przedstawiający wydarzenia na Wołyniu jako wojnę polsko-ukraińską, a nie ludobójstwo dokonane na Polakach. Porównanie UPA do Armii Krajowej jest bezzasadne. Ukraińska Powstańcza Armia dopuściła się działań o charakterze ludobójczym. Po stronie AK zdarzały się akcje odwetowe, a niektóre można uznać za zbrodnie wojenne, ale miały one charakter lokalny i nigdy nie były elementem planu systematycznej czystki etnicznej. Tymczasem celem UPA było usunięcie polskiej ludności z terenów uznawanych za ukraińskie.

Różnice dotyczą również charakteru obu organizacji. Armia Krajowa była siłą zbrojną Polskiego Państwa Podziemnego, podporządkowaną legalnym władzom RP na uchodźstwie. UPA stanowiła natomiast zbrojne ramię banderowskiej frakcji Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, realizującej jej program polityczny. Zakładał on budowę państwa o charakterze totalitarnym oraz usunięcie mniejszości narodowych z ziem uznawanych za ukraińskie. Istotna

eprasa.pl a08be23ba5

była także rola Służby Bezpieczeństwa OUN, pełniącej funkcję wewnętrznej policji politycznej. Tropiła ona wśród ludności ukraińskiej osoby uznawane za „wrogów narodu", czyli sprzeciwiających się działalności UPA lub pomagających Polakom, stosując niejednokrotnie odpowiedzialność zbiorową i mordując całe rodziny. W AK nie było takich mechanizmów. Nie można też pomijać współpracy ukraińskich nacjonalistów z Niemcami. Relacje te miały różne fazy, ale nawet gdy UPA podejmowała walkę z Niemcami, głównymi przeciwnikami pozostawali dla niej najpierw Polacy, następnie Sowieci, a dopiero później Niemcy.

Czy w jakimkolwiek stopniu zasadne jest porównywanie UPA do żołnierzy wyklętych?

Pewne podobieństwo można dostrzec jedynie w sposobie funkcjonowania w pamięci historycznej społeczeństw polskiego i ukraińskiego. Na współczesnej Ukrainie walka UPA z Sowietami po 1944 r. jest przedstawiana jako symbol oporu przeciw okupacji, podobnie jak w Polsce działalność żołnierzy wyklętych. To podobieństwo dotyczy jednak pamięci zbiorowej, a nie charakteru samych organizacji. Pod względem ideologii, celów i metod działania były to formacje zasadniczo odmienne.

Działania UPA nie były wymierzone wyłącznie w Polaków. Organizacja występowała przeciwko wszystkim mniejszościom narodowym, w wielu aspektach wzorując się na rozwiązaniach stosowanych przez niemiecką III Rzeszę.

UPA kierowała się ideologią Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, a konkretnie jej frakcji banderowskiej. Nie ulega wątpliwości, że banderowcy czerpali wzorce od nazistów, choć założenia integralnego nacjonalizmu ukraińskiego sformułowano jeszcze przed wojną. Zakładały one walkę ze wszystkimi przeciwnikami narodu ukraińskiego oraz usunięcie wszystkich „obcych elementów" z ziem, które w przyszłości miały wejść w skład niepodległej Ukrainy.

W praktyce działania te skoncentrowały się przede wszystkim na Polakach. Na początku 1943 r., gdy powstawała UPA, większość żydowskiej ludności Wołynia została wcześniej wymordowana przez Niemców przy znaczącym udziale ukraińskiej policji pomocniczej. Nie oznacza to jednak, iż Żydzi nie byli ofiarami UPA. Podczas napadów na polskie wsie mordowano również ukrywające się tam rodziny żydowskie.

Nie ulega wątpliwości, że banderowcy czerpali wzorce od nazistów, choć założenia integralnego nacjonalizmu ukraińskiego sformułowano jeszcze przed wojną. Zakładały one walkę ze wszystkimi przeciwnikami narodu ukraińskiego oraz usunięcie wszystkich „obcych elementów" z ziem, które w przyszłości miały wejść w skład niepodległej Ukrainy

Zwolennicy tezy o symetrii konfliktu często próbują stawiać znak równości między akcjami odwetowymi AK a ludobójstwem dokonanym przez UPA.

Oprócz ogromnej różnicy w liczbie ofiar trzeba pamiętać o kolejności wydarzeń. Najpierw doszło do ludobójstwa dokonanego przez UPA, a dopiero później pojawiły się akcje odwetowe polskiego podziemia. Miały one charakter lokalny i przede wszystkim obronny. Trudno mówić o symetrycznej wojnie, skoro w 1943 r. UPA atakowała bezbronnych Polaków na Wołyniu, gdzie struktury Armii Krajowej nie były jeszcze dostatecznie rozwinięte. Dopiero później AK podejmowała działania przeciwko oddziałom UPA lub przeciwko ich bezpośredniemu zapleczu, posiadającemu własną ochronę. Dotyczyło to również wydarzeń na Zamojszczyźnie w 1944 r., gdzie w rejonie Hrubieszowa powstał swoisty front polsko-ukraiński. UPA weszła wówczas na ten teren i próbowała przesuwać się w głąb Lubelszczyzny. Głównym celem AK od początku było powstrzymanie dalszej ekspansji Ukraińskiej Powstańczej Armii.

Jednym z głównych argumentów obrońców UPA jest jej antysowiecki charakter. Jak to wyglądało w praktyce?

W okresie okupacji niemieckiej starcia UPA z partyzantką sowiecką były raczej sporadyczne. Sytuacja zmieniła się dopiero latem 1944 r., gdy Armia Czerwona ponownie zajęła zachodnią Ukrainę. Do tego momentu ukraińskie podziemie nie traktowało Sowietów jako głównego wroga. UPA skupiło się na walce z nowym przeciwnikiem dopiero wtedy, gdy stosunkowo niewielu Polaków zostało na terenach tzw. Zachodniej Ukrainy. Nie zaniechano jednak całkowicie akcji antypolskiej.

Najbardziej intensywna walka z Sowietami trwała do 1950 r., czyli do śmierci głównodowodzącego UPA Romana Szuchewycza. Później działalność podziemia stopniowo słabła, pojedyncze grupy działały jeszcze przez całą dekadę, chociaż w większości byli to ukrywający się w pojedynkę partyzanci. Przyjmuje się, że symboliczny koniec UPA nastąpił w 1960 r., kiedy rozbito ostatnią trzyosobową grupę partyzancką. Ukraińskie podziemie walczyło z wojskami NKWD, atakowało urzędy rejonowe, posterunki milicji i inne instytucje państwa sowieckiego. Pod względem metod działania można tu dostrzec pewne podobieństwa do polskiego podziemia niepodległościowego.

Trzeba jednak pamiętać, że działalność UPA nie ograniczała się do walki z aparatem sowieckim. Oprócz urzędników, funkcjonariuszy NKWD, dzia-

Autopromocja

eprasa.pl a08be23ba5

łaczy partyjnych i milicjantów Ukraińska Powstańcza Armia prowadziła także działania przeciwko zwykłym mieszkańców wsi, którzy zostali uznani za zdrajców, współpracowników lub po prostu sympatyków nowej władzy. Według zestawienia sporządzonego przez stronę sowiecką od 1944 r. na terenach zachodniej Ukrainy z rąk UPA zginęło ponad 30 tys. osób. Ponad 8 tys. stanowili funkcjonariusze NKWD, milicjanci i żołnierze Armii Czerwonej. Wśród pozostałych ofiar byli urzędnicy, działacze partyjni, a także ponad 15 tys. mieszkańców wsi i kołchozów, czyli zwykłych chłopów, zarówno ukraińskich, jak i polskich. Oznacza to, że nawet po wojnie większość ofiar UPA stanowiła ludność cywilna.

Nawet uwzględniając wszystkie powojenne ofiary UPA, dysproporcja wobec ludobójstwa wołyńskiego pozostaje ogromna. Główna faza zbrodni na Polakach przypadała na lata 1943–1944, walka z Sowietami trwała natomiast znacznie dłużej, choć po 1950 r. miała już charakter szczątkowy.

Wspomniał pan, że antypolska działalność UPA trwała również po przejściu frontu wschodniego, a nawet po zakończeniu wojny.

To fakt, o którym nadal mówi się zbyt rzadko. Po ponownym wkroczeniu na ziemie polskie Armii Czerwonej latem 1944 r. dowództwo UPA początkowo wstrzymało akcję antypolską, ale jesienią została ona wznowiona. W tym samym czasie rozpoczęła się wymiana ludności między Polską a Ukraińską Republiką Sowiecką. Polacy stopniowo opuszczali te tereny, proces ten trwał przez cały 1945 r. i objął ok. 800 tys. osób. Ci, którzy pozostali, byli niekiedy wcielani do tzw. istriebitielnych batalionów, czyli pomocniczych formacji wspierających NKWD w walce z ukraińskim podziemiem. Nie wiemy dokładnie, ilu Polaków służyło w tych oddziałach. Część trafiała tam pod przymusem, część mogła zgłaszać się dobrowolnie, chcąc chronić swoje rodziny lub szukać odwetu za wcześniejsze zbrodnie. Szacuje się jednak, że było ich co najmniej kilka tysięcy. Bataliony te służyły przede wszystkim do ochrony miejscowości przed atakami UPA, ale czasami uczestniczyły również w operacjach przeciwpartyzanckich lub działaniach wymierzonych we wsie wspierające ukraińskie podziemie. Właśnie tym ukraińscy historycy uzasadniają wznowienie akcji antypolskiej.

Ta ostatnia faza trwała od jesieni 1944 r. do czerwca 1945 r., głównie na terenie ówczesnego województwa tarnopolskiego i pochłonęła ok. 5–6 tys. polskich ofiar. Jednym z najbardziej znanych przykładów są Puźniki. Oddziały UPA zaatakowały polską wieś w nocy z 12 na 13 lutego 1945 r. Część mężczyzn z Puźnik służyła wówczas w istriebitielnym batalionie stacjonującym w innym miejscu, dlatego w miejscowości pozostały głównie kobiety i dzieci, pozbawione jakiejkolwiek obrony. Według różnych szacunków zamordowano tam od ok. 50 do ponad 100 osób. Ostatnie ekshumacje pozwoliły odnaleźć szczątki co najmniej 42 ofiar. Na terenach powojennej Polski UPA była znacznie słabsza, ale pozostawała aktywna aż do akcji „Wisła" w 1947 r. Mimo przewagi wojska i milicji dochodziło do napadów na polskie wsie, szczególnie w rejonie Przemyśla. Także tutaj od lipca 1944 r. ofiarami padło kilka tysięcy osób, choć dokładne oszacowanie ich liczby pozostaje trudne.

W kontekście porównania UPA do polskiego podziemia często pojawia się argument, że zarówno w czasie wojny, jak i po jej zakończeniu Polacy prowadzili rozmowy oraz podejmowali próby współpracy z Ukraińcami.

Takie próby rzeczywiście podejmowano, w czasie wojny nie przyniosły jednak żadnych konkretnych rezultatów. Ich głównym celem ze strony AK było przede wszystkim zatrzymanie przemocy wobec ludności polskiej. Realne porozumienie osiągnięto dopiero po wojnie, na Lubelszczyźnie. UPA starała się przeciwdziałać wysiedleniom ludności ukraińskiej z terenów wschodniej Lubelszczyzny, a polskie podziemie chciało się skupić na walce z nową władzą komunistyczną. W efekcie zawarto wiele lokalnych porozumień, a w maju 1945 r. ogłoszono zawieszenie broni na Zamojszczyźnie, później rozciągnięte także na część Chełmszczyzny. Chodziło przede wszystkim o rozgraniczenie stref działania oraz zaprzestanie wzajemnych ataków, które osłabiały obie strony.

Najbardziej znanym efektem porozumienia była wspólna akcja oddziałów UPA i WiN przeprowadzona w Hrubieszowie w nocy z 27 na 28 maja 1946 r. Celem ataku były m.in. siedziby UB, milicji oraz komisji przesiedleńczej. W ukraińskiej historiografii to wydarzenie często jest podkreślane jako dowód współpracy polskiego i ukraińskiego podziemia przeciwko komunistom. Trzeba jednak pamiętać, że był to wyjątkowy przypadek i jedyna większa wspólna operacja zbrojna.

Dokąd zmierza debata polsko-ukraińska dotycząca wojennej i powojennej działalności UPA?

Trudno przewidywać jej przyszłość, obecnie nie widzę jednak realnych szans na osiągnięcie wspólnego stanowiska. Niedawno uczestniczyłem w Kongresie Polsko-Ukraińskim w Baranowie, gdzie również poruszano te kwestie. Dyskusja była spokojna i merytoryczna, ale zbliżenia stanowisk nie było widać. Rozmawiano także o stworzeniu wspólnego polsko-ukraińskiego podręcznika do historii. Uważam jednak, że dziś taki projekt jest niewykonalny. To samo dotyczy prób zrównania Armii Krajowej z UPA. Większość historyków zajmujących się tą tematyką zna fakty i bazuje na źródłach. Nie sądzę, by polskie społeczeństwo dało się przekonać do tezy o równoważności AK i UPA.



NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost

Zamów na: prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ?

Płacisz mniej niż w kiosku – tylko 9,40 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)

eprasa.pl a08be23ba5



Polska wróciła upomnieć się o swoich



MARIUSZ PILIS

Piątego dnia teren wokół wykopu jest już szeroko odkryty. 30–40 m² powierzchni. Wszędzie widać szczątki, kości, czaszki. A to tylko powierzchniowe odkrycie

Jest 28 lutego 1944 r. Wczesnym rankiem do polskiej wsi Huta Pieniacka wchodzi 4. Pułk Policji SS, złożony z Ukraińców, ochotników do 14. Dywizji Grenadierów SS (SS-Galizien) , oraz oddziały Ukraińskiej Powstańczej Armii i oddziały paramilitarne ukraińskich nacjonalistów. Rozpoczynają rzeź. W ciągu jednego dnia wymordowali od 850 do 1,1 tys. mieszkańców Huty Pieniackiej. Cudem uratowali się nieliczni, ok. 160 osób. Uciekali z płonących stodół i zabudowań, tak jak stali. W tym, co mieli na sobie, kiedy o świcie wyciągano ich z domów. Uciekali do lasu, ratowali życie. Z ich zeznań, wspomnień, świadectw wiemy, jak wyglądała wieś, co się działo tamtego dnia, jak mordowano bezbronnych mieszkańców, jak palono stodoły, jak mordowano dzieci i ciężarne kobiety, gdzie są doły śmierci, do których wrzucano zabitych, gdzie stał kościół. Wiemy, że we wsi była szkoła, że były gdzieś duże doły po wapnie... Wiemy także, kto brał udział w mordzie.

82 LATA PÓŹNIEJ

Jest 9 czerwca 2026 r. Po godz. 10.00 razem z misją poszukiwawczą Instytutu Pamięci Narodowej docieramy do Huty Pieniackiej. To ok. 25 km na wschód od Złoczowa w obwodzie lwowskim. Połowę dystansu przejeżdżamy bitymi, gliniastymi drogami pełnymi wybojów, nieprzejezdnymi dla zwykłych samochodów. Na wzgórzu widać znak drogowy z nazwą wsi: Huta Pieniacka. Dookoła pustka. Nie ma tu niczego, co świadczyłoby o tym, że kiedyś mieszkali tutaj ludzie. Jest tylko las, polany porośnięte wysoką trawą, nieużytki, zielona gęstwina. – Miejscowi często chodzą tu na grzyby – usłyszałem w sklepie w Złoczowie, zaczepiony przez miejscowego, który zapytał, czy jesteśmy z tej grupy, która szuka pomordowanych w Hucie Pieniackiej. Wiedział o tym, że Polacy przyjeżdżają szukać swoich. Słyszał o tym w ukraińskiej telewizji. Mam wrażenie, że wszyscy tutaj o tym wiedzą.

W Hucie Pieniackiej stoi biała, duża tablica w trzech językach: ukraińskim, polskim i angielskim. Ma informować o tym, co się tutaj wydarzyło. W prawym dolnym rogu ktoś wyrył jedno polskie słowo: „KŁAMSTWO". Inskrypcja informuje o polskich bojówkach, które terroryzowały okoliczne wsie i o tym, że w odwecie „niemieccy żołnierze" weszli do Huty Pieniackiej i ją spalili. Ani słowa o faktycznych sprawcach.

15-osobowa grupa z Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN rozpoczyna prace. Celem podstawowym jest odnalezienie co najmniej dwóch zbiorowych dołów, do których wrzucono zwłoki pomordowanych. Mniej więcej 350 ciał w każdym z nich. Są jeszcze relacje mówiące o pojedynczych pochówkach. Te również trzeba odnaleźć. Są z nami przedstawiciele Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej i ludzie ze stowarzyszenia Wołyńskie Starożytności – to partner naszego IPN w pracach poszukiwawczych.

Rusza koparka, która powoli zaczyna przekopywać teren wokół pomnika. Pierwszy wykop – w miejscu, w którym przypuszczalnie może się znajdować dół ze szczątkami. Nie ma żadnego śladu. Drugi wykop, poprzecznie do tego, który już istnieje. Nie ma śladów. Wszystko trwa kilka godzin. Ludzie pracują w upale. Wszystko, co się tu robi, jest stale konfrontowane z zeznaniami świadków, z odręcznie robionymi mapami wsi, ze zdjęciami kościoła i jego najbliższego otoczenia.

Kościół – najważniejszy punkt orientacyjny we wsi. Według bezpośrednich świadków mordu to gdzieś w jego okolicy wykopano dwa duże doły, do których zrzucano zwłoki pomordowanych. Wiadomo mniej więcej, gdzie stał. – Dlatego pierwsze wykopy robimy tam, gdzie potencjalnie były te doły. Gdzieś między kościołem i szkołą – mówi mi jeden z pracowników IPN. Tyle że nie ma przekazów, gdzie dokładnie stała szkoła.

Zanim skończył się ten pierwszy dzień, Małgorzata Gośniowska-Kola, prezes Stowarzyszenia „Huta Pieniacka", zauważa pewną anomalię. Tuż za murkiem, który otacza miejsce pracy koparki, rosną kwiaty, których nie powinno tam być. To trzy krzaki piwonii. Kwiaty ogrodowe w środku lasu? Na dziko porośniętej łące? Pani Małgorzata mówi: – Rosły tu od zawsze. A co, jeśli to pod nimi znajdują się mogiły pomordowanych?

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl a08be23ba5





Mama pani Małgorzaty uratowała się z rzezi. – Uciekała z płonącej stodoły i modliła się o ukraińską kulę. Wolała tak zginąć, niż spalić się żywcem. Uratowała się, dobiegła do lasu. Ona i jeszcze dwie dziewczynki – opowiada pani Małgorzata.

Drugiego i trzeciego dnia przełom nie nastąpił. W miejscu, w którym rosły piwonie, nie ma mogił. Odkryte fundamenty kościoła przynoszą więcej pytań niż odpowiedzi. Czy główne wejście było od północy? A może zachodu? Gdzie było prezbiterium, a gdzie zakrystia? Opisy świadków zbrodni są nieprecyzyjne. Teren wokół pomnika wyryty przez koparkę wygląda jak pobojowisko. Ale ziemia wciąż skrywa swoją tajemnicę.

Czwartego dnia leje jak z cebra. Z trudem dostajemy się na miejsce prac. Samochody mają problemy. Udaje się. Dociera też druga koparka. Miała być od początku misji, ale było to niemożliwe z powodu jakichś „obiektywnych" kłopotów. Jest większa i może więcej. Obie pracują teraz w deszczu. Kolejne wykopy, dużo w nich wody. Niewiele widać. Ale ludzie nie przerywają prac poszukiwawczych. Ok. godz. 15.00 wszyscy mają dosyć. Są przemoknięci i zziębnięci. Temperatura spadła do 11 st. Celsjusza. Tego dnia to wszystko. Decyzja: „Koniec pracy na dzisiaj. Jedziemy się ogrzać i wysuszyć. Wrócimy jutro". Wtedy jeden z ukraińskich pracowników mówi: „Zostańmy jeszcze chwilę. Koparki mogą pracować. Przestało padać. Niech ryją dalej". Rusza kolejny wykop. Wszyscy zgromadzili się wokół powstającego dołu... Stoją w ciszy. Koparki, warstwa po warstwie zdejmują ziemię i wchodzą coraz głębiej.

W pewnym momencie członek polskiego zespołu, Michał, który stale przygląda się temu, co wygarnia koparka, schyla się i podaje na skraj wykopu ubłocony przedmiot, który przypomina podstawkę pod filiżankę. Pytam: – Co to jest? I słyszę krótkie: – Miednica. Michał daje znak koparce, by przestała wybierać ziemię z dołu. Schyla się, odgarnia coś łopatką. – Czaszka – mówi. Nie mija minuta i znów pada jedno słowo: – Ręka. Za moment mówi: – Druga ręka.

Wśród stojących na skraju wykopu poruszenie. Na twarzach widzę ulgę, oczy im płoną, ściszone głosy, skupienie. I obraz, który wrył mi się w pamięć. Do dołu wchodzi antropolog z woreczkiem próżniowym. Kładzie go obok znaleziska i niezmywalnym czarnym flamastrem pisze: „Grób nr 1". – To skrawek znaleziska. Dół jest prawdopodobnie usytuowany pod kątem do tego, który ujawnił fragmenty ludzkich kości, ale nie ulega wątpliwości, że trafiliśmy na grób – mówi mi ks. Tomasz Trzaska z Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN. Chwilę później przesyłam tę informację do Polski. Jesteśmy tu jedynymi polskimi dziennikarzami, którzy są świadkami tego historycznego momentu...

Piątego dnia teren wokół wczorajszego wykopu jest już szeroko odkryty. 30–40 m² powierzchni. Wszędzie wokół widać szczątki, kości, czaszki. A to tylko powierzchniowe odkrycie. Wszystko jest ewidencjonowane i opisywane. Na powierzchni ziemi pojawiają się płachty czarnej folii, niczym kawałki dywanów przykrywają odnalezione kości. Wszędzie wokół są takie czarne plamy... I wciąż nie widać granicy tego dołu. Kopiąc w różnych kierunkach, wciąż ujawniane są nowe szczątki.

SKALA ZBRODNI

Ta misja kończy się 18 czerwca. To, co zostanie odkryte, znów trafi pod ziemię. Trzeba to wszystko zasypać ponownie i dopiero wtedy wystąpić do instytucji ukraińskich o pozwolenie na właściwe ekshumacje. Tak mówi prawo na Ukrainie. W takim trybie toczyły się też sprawy wokół poszukiwań w Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej na Wołyniu. Teraz IPN dostał zgodę właśnie na ten etap prac ekshumacyjnych, podczas którego można określić skalę popełnionych tam zbrodni. Strona ukraińska wydała zgody na ekshumacje. Prace mogą ruszyć w połowie lipca br. Musimy wierzyć, że w przypadku Huty Pieniackiej będzie podobnie.

28 lutego 1944 r. Huta Pieniacka przestała istnieć. Spokojna polska wieś na Kresach została otoczona i zaatakowana przez różne ukraińskie formacje zbrojne. W ciągu kilku godzin zamordowano setki jej mieszkańców – kobiety, dzieci i starców. Domy podpalano jeden po drugim, a ludzi spędzano do stodół i zabudowań gospodarczych, pod które następnie podkładano ogień. Tych, którzy próbowali uciekać, zabijano. Była to jedna z najtragiczniejszych zbrodni dokonanych na ludności polskiej podczas II wojny światowej przez ukraińskich sprawców. Przez dziesięciolecia ofiary tej tragedii spoczywały w bezimiennych mogiłach, a pamięć o nich często ustępowała miejsca politycznym sporom i historycznym przemilczeniom. Dla rodzin zamordowanych najboleśniejsze pozostawało jednak to, że bliscy nie doczekali się godnego pochówku.

Dziś, po ponad ośmiu dekadach od tamtych wydarzeń, pojawia się nadzieja na przywrócenie ofiarom należnej pamięci. Wojna nigdy nie kończy się wraz z ostatnim wystrzałem. Jej skutki trwają tak długo, jak długo bezimienne pozostają jej ofiary. Odnalezione szczątki są symbolem przywracania godności tym, którym odebrano życie i próbowano odebrać pamięć. Polska wróciła upomnieć się o swoich.

eprasa.pl a08be23ba5



Populistyczne weto

Intencje zamykania zawodu lekarskiego przed ukraińską konkurencją są w zasadzie wspólne, zarówno gdy idzie o prezydenta, jak i o rząd



JAN ROKITA

Z populizmem niestety często tak właśnie bywa. Jeśli przywódca za wszelką cenę chce sprzyjać rozhuśtanym nastrojom społecznym, to doraźnie czekają go same przyjemności i nagrody: uznanie mediów, pochwały wyborców, a przede wszystkim panegiryki ze strony najbardziej zainteresowanych lobbystów. Bo też za typowo populistycznymi posunięciami zazwyczaj kryją się grupowe interesy, a bywa również tak, że są one sprzeczne z poczuciem sprawiedliwości. Dopiero po jakimś czasie okazuje się, że na decyzji, z której cieszył się lud, a przywódcy zapewniła wzrost poparcia, ogół stracił coś istotnego, lobbyści zyskali za to wiele.

Tak jest właśnie teraz z głośnym wetem prezydenta wobec uchwalonej przez Sejm i Senat ustawy o świadczeniach zdrowotnych, finansowanych ze środków publicznych.

800 LEKARZY MNIEJ

Na mocy ustawy pracującym w Polsce zagranicznym lekarzom zamierzano przedłużyć o rok termin zdania obowiązkowego egzaminu z języka polskiego. W praktyce idzie o lekarzy z Ukrainy, bo ustawa nie dotyczy obywateli Unii Europejskiej. Wedle profesjonalnego portalu rynekzdrowia.pl w ostatnich dniach samorząd lekarski odebrał prawo wykonywania zawodu 440 lekarzom z Ukrainy, a po ogłoszeniu weta zakaz ów obejmie aż 800 pracujących w Polsce ukraińskich doktorów.

Cieszą się wyborcy, bo istota weta odpowiada ich aktualnym antyukraińskim namiętnościom. Cieszy się prezydent Karol Nawrocki, bo słyszy same słowa uznania. A przede wszystkim cieszy się i aż zaciera ręce korporacja lekarska, która w końcu, po długich staraniach, pozbywa się znienawidzonej konkurencji: dobrych, pracowitych i niezepsutych jeszcze pieniędzmi lekarzy z Ukrainy.

W ostatnich dniach polskie media emocjonowały się upublicznioną deklaracją majątkową dobiegającego

Autopromocja

eprasa.pl a08be23ba5



Fot. Shutterstock

trzydziestki polskiego lekarza, który w ciągu roku zarobił w warszawskim szpitalu na Ursynowie 1,6 mln zł. To zresztą nie pierwsza i zapewne nie ostatnia tego rodzaju wiadomość, intrygująca dla opinii publicznej.

O ponadmilionowych zarobkach doktorów w państwowych szpitalach głośno bynajmniej nie tylko w stolicy, lecz także w miastach powiatowych, choćby takich jak Bielsko Biała, gdzie przez dłuższy czas za przeszło 1 mln zł rocznie nie można było obsadzić wakatu na newralgicznych stanowiskach na oddziale ratunkowym. W końcu – jak relacjonowały media – do 1 mln zł trzeba było dołożyć mieszkanie i dopiero wtedy, niemal w akcie łaski, jacyś doktorzy zgodzili się przyjąć posady na bielskim SOR.

Być może ów młody doktor, mający kontrakt na kierowanie piekielnie trudnym SOR na Ursynowie, zarobiłby trochę mniej, gdyby nie był zarazem aktywistą i radnym partii premiera Tuska. Albo przynajmniej nie mógłby tak łatwo wliczać do swych szpitalnych godzin pracy czasu poświęconego aktywności politycznej.

Mniejsza o to, bo przecież problem tkwi nie w zjawisku polityczności polskich lekarzy. Ów doktor z Ursynowa z pewnością ma wyczucie tego, gdzie leżą pieniądze, skoro wziął odpowiedzialność za duży SOR i specjalizuje się w anestezjologii. Anestezjolodzy słyną w Polsce z bezwzględnego szantażowania szpitali paraliżującymi wszelkie operacje zbiorowymi zwolnieniami z pracy, o ile nie dostaną astronomicznej podwyżki. Tak było m.in. w placówkach w Bełchatowie, Sławnie, Kaliszu, Lublinie, Namysłowie, a także w Warszawie, w szpitalu przy ul. Banacha.

Czy w takich okolicznościach, kiedy lekarze, będący w stanie swoimi protestami wywrócić każdy rząd, dyktują par force swoje warunki finansowe państwowej służbie zdrowia, państwo powinno dążyć do powiększenia, czy ograniczenia konkurencji w zawodzie lekarskim?

Czytelnik oczywiście wie, iż jest to pytanie retoryczne. Całe szczęście, że pod rządami Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego zarządzono generalny odwrót od (co tu dużo mówić) czysto koteryjnej polityki ścisłego limitowania liczby kandydatów przyjmowanych na studia lekarskie.

Niegdyś śp. Przemysław Gosiewski (którego ówczesne wysiłki wspierałem w Sejmie) doprowadził do przełamania koteryjnego zamknięcia zawodów prawniczych w Polsce, dzięki czemu mamy już trochę młodszych prawników o otwartych głowach. Zirytowane taką polityką środowisko starych sędziów próbowało później wziąć odwet na młodych prawnikach, nie dopuszczając ich do wykonywania zawodu asesora. Nieszczęsny Żurek nazywał wtedy absolwentów krakowskiej szkoły sędziowskiej „janczarami Ziobry". A naprawdę wcale nie szło o janczarów ani o Ziobrę, tylko o niedopuszczenie do zawodu konkurencji młodych, lepiej wykształconych i potrafiących ciężej pracować prawników.

Dzięki nowej polityce kształcenia lekarzy, która w 2025 r. zaowocowała przyjęciem na studia medyczne aż 10 tys. studentów, Polska odbiła się od unijnego dna, gdy idzie o liczbę doktorów przypadających na jednego mieszkańca, i ponoć osiąga już w tej mierze poziom bliski unijnej średniej. Ale nie jest to wystarczający powód, aby państwo celowo ograniczało konkurencyjność w zawodzie lekarskim.

ZAMYKANIE ZAWODU

Tymczasem taki kierunek przyjął prezydent, wyrzucając z zawodu znaczną grupę lekarzy pod pretekstem braku egzaminu z polszczyzny. Co dziwne, w takim kierunku zdaje się iść także Ministerstwo Zdrowia, w którym urzędnik odpowiadający za Departament Rozwoju Kadr Medycznych, Mariusz Klencki, mówi otwarcie, że skoro mamy tylu polskich doktorów, to „uważamy, że przyszedł już moment na to – jeśli lekarze ze Wschodu chcą u nas pracować – żeby przeszli normalną ścieżkę".

Ta „normalna ścieżka" to w polskich warunkach przesadnie skomplikowana i utrudniona procedura nostryfikacyjna, o której sam dyrektor Klencki uczciwie mówi, że „odsetek podejść do nostryfikacji z sukcesem nie jest jakiś astronomicznie duży". Problem nie tkwi w tym, że uczelnie medyczne na Ukrainie są gorsze, lecz w odmiennym, bardziej otwartym i praktycznym systemie studiów medycznych, które w Polsce pozostają naznaczone anachronicznym, hierarchicznym patriarchalizmem, typowym dla korporacji zawodowych broniących się przed otwarciem. By to sprawdzić, wystarczy chwila rozmowy ze studentami medycyny.

W gruncie rzeczy można więc odnieść wrażenie, że intencje zamykania zawodu lekarskiego przed ukraińską konkurencją są w zasadzie wspólne, zarówno gdy idzie o prezydenta, jak



NOWOŚĆ!
PRENUMERATA PRZEZ InPost
Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!
prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ DODATKOWO?
Dostęp do e-prenumeraty SIECI
- teraz możesz czytać wygodnie na telefonie lub komputerze

eprasa.pl a08be23ba5

i o rząd. Podkreślam: ukraińską, a nie zagraniczną konkurencją, bo restrykcje nie dotyczą lekarzy z UE, którzy łatwo mogą ominąć egzaminy językowe, a nasze państwo nie martwi się o to, czy polski pacjent porozumie się z lekarzami z Grecji czy Niderlandów.

Prawdę mówiąc, przychodzi mi do głowy tylko jedno wytłumaczenie tej zdumiewającej zgodności. Zarówno Nawrocki, jak i Tusk doskonale wiedzą, iż wyrzucanie z Polski ukraińskich lekarzy nie ma nic wspólnego ze stanem służby zdrowia, lecz jest jednym ze sposobów, w jaki władza chce dać ujście nastrojom antyukraińskim, które skądinąd sama wcześniej rozgrzała. A cała gadanina o „interesie pacjenta" jest tu niczym innym niż przysłowiowym mydleniem oczu.

Wskazuje na to zresztą zarówno argumentacja weta, przedstawiona przez Nawrockiego, jak i polityczna retoryka rządowych oficjeli w tej kwestii. O ile bowiem dyrektor Klencki, utożsamiający się z ideą weta, w zasadzie otwarcie mówi o intencji pozbycia się z Polski ukraińskich doktorów, o tyle polityczna rzeczniczka resortu zdrowia atakuje prezydenta (jakżeby inaczej!), ale pod kompletnie absurdalnym pretekstem.

Zarzuca bowiem prezydentowi Nawrockiemu, że ten działa przeciw chorym na HIV, a to dlatego, iż w zawetowanej noweli mowa nie tylko o lekarzach ukraińskich, lecz także o poszerzeniu bezpłatnej opieki nad ludźmi cierpiącymi z powodu tego paskudnego wirusa. Jeśli chce się uderzyć psa, to kij oczywiście się znajdzie.

Zakładając weto, Nawrocki mówi wprost, że zgadza się z tą częścią ustawy i jest ją gotów podpisać natychmiast, o ile tylko Sejm dokona korekty tekstu. Ale rzeczniczka, pani Choszcz-Sendrowska, woli udawać, że tego oświadczenia w ogóle nie słyszała. Dlaczego? To proste – bo, jak widzieliśmy, w kwestii wyrzucenia lekarzy ukraińskich nie ma istotnej różnicy pomiędzy rządem i prezydentem. Choszcz-Sendrowska nie może przyznać tego otwarcie, bo Tusk kazałby wylać ją z roboty tego samego dnia.

O ile postawa rządu jest dwulicowa i cyniczna, o tyle w przypadku prezydenta też mamy do czynienia z świadomie zafałszowaną argumentacją weta. Opowieść Nawrockiego o tym, jak to „może dojść do tragedii, gdy lekarz źle zrozumie, co pacjentowi dolega albo gdy z przyczyn językowych pacjent źle zrozumie, co lekarz zaleca", można włożyć między bajki. Tym bardziej że prezydent *implicite* zakłada, iż Polak nie porozumie się z doktorem z Ukrainy, ale za to z Grekiem czy Holendrem dogada się w mig. Weryfikacja prezydenckiej tezy jest zaś prosta: czy Nawrocki albo ktokolwiek inny słyszał choćby o jednym prawdziwym przypadku „tragedii" albo poważnego błędu medycznego, który zdarzyłby się w Polsce z tego powodu, że ukraiński lekarz nie dogadał się ze swoim pacjentem?

> Jaki będzie realny skutek usunięcia z Polski setek ukraińskich lekarzy pod pretekstem językowym? I to jeszcze w trybie nagłym, gdy termin egzaminów z języka polskiego minął 1 maja 2026 r.?

Wedle mojej wiedzy w Polsce nie zdarzyło się nic takiego, choć ukraińscy doktorzy od lat leczą tysiące Polaków. Owszem, o błędach w sztuce, za które żaden z lekarzy nie ponosi odpowiedzialności, słychać było zawsze i nic się w tej materii nie zmieniło. Ale przecież nie z powodu trudności językowych, które nagle prezydent uznał za palącą kwestię w naprawie polskiej służby zdrowia. Doprawdy, to prezydenckie trafienie kulą w płot.

WYJADĄ DO NIEMIEC

Jaki będzie realny skutek usunięcia z Polski setek ukraińskich lekarzy pod pretekstem językowym? I to jeszcze w trybie nagłym, gdy termin egzaminów z polskiego minął 1 maja 2026 r.? W gruncie rzeczy wszyscy to wiedzą, choć boją się powiedzieć o tym wprost. Jak z satysfakcją mówi dyrektor Klencki, nie będzie to „problem systemowy" dla polskiej służby zdrowia, ale „problem życiowy dla tych osób dotkniętych utratą prawa wykonywania zawodu". Jakaś niewielka część tych lekarzy zapewne spróbuje wejść na najeżoną trudnościami ścieżkę dojścia do nostryfikacji swoich dyplomów i będzie się starała zdać celowo utrudnione dla nich egzaminy, by zostać w Polsce. Np. dlatego, że tu mają polsko-ukraińskie rodziny.

Ale większość oczywiście opuści Polskę, w pierwszej kolejności udając się do Niemiec. Tam istnieje lepiej wyposażona służba zdrowia i pracuje nieporównanie więcej lekarzy, wśród których jedna czwarta to obcokrajowcy, ale państwo niemieckie jest bardzo chętne, by poszerzyć lekarską konkurencję. Niemcy dobrze wiedzą, że taki zastrzyk młodych z reguły i chcących się dopiero dochrapać pozycji zawodowej doktorów tylko poprawi jakość niemieckiej służby zdrowia. Z powodu znajomości języka – mimo istniejących wymagań w tej dziedzinie – też nie czynią takich problemów jak u nas, choć w przeciwieństwie do Polaka Niemcowi zapewne trudniej się porozumieć z Ukraińcem. W Berlinie cieszą się z weta polskiego prezydenta i szykują na przyjęcie licznych nowych doktorów. Sarkastycznie można by pogratulować głowie państwa starań o jakość niemieckiej służby zdrowia.

A w Polsce? Od kilku dni świętuje korporacyjny samorząd lekarski, który w pewnym stopniu pozbywa się konkurencji i będzie mógł tym łatwiej dyktować państwowym szpitalom swoje warunki pracy i płacy, na wzór owego platformerskiego szefa SOR na warszawskim Ursynowie. Poza tym pozbędziemy się na rzecz Niemiec trochę profesjonalnej inteligencji ukraińskiej. U nas z pewnością zostaną za to ukraińscy kelnerzy i subiekci w sklepach spożywczych oraz sprzątaczki w warszawskich i krakowskich mieszkaniach. Ci bowiem nie potrzebują egzaminów z polszczyzny.

eprasa.pl a08be23ba5



Na rower, na piknik i na drogę. Porcja dobrego na każdą okazję

W wakacje najlepsze plany powstają spontanicznie. Szybkie śniadanie, rowery wyciągnięte z garażu i pomysł, by sprawdzić, dokąd prowadzi ścieżka za miastem. Po drodze może pojawić się plac zabaw, punkt widokowy, jezioro albo polana idealna na piknik. A skoro nie wiadomo, gdzie zaprowadzi dzień, dobrze mieć przy sobie kilka rzeczy, które pozwolą cieszyć się nim bez pośpiechu

Koc, krem z filtrem, bidon z wodą i coś do przekąszenia to dla wielu rodzin obowiązkowy zestaw na letnie wypady. Zwłaszcza że dzieci potrafią zgłodnieć wtedy, gdy do najbliższego miejsca, w którym można zjeść posiłek, jest jeszcze kawałek drogi. Dlatego coraz częściej wybieramy produkty, które można po prostu wrzucić do plecaka przed wyjściem z domu.

W trasie dobrze sprawdzą się niewielkie przekąski, takie jak Hapsy, które zmieszczą się nawet w małym dziecięcym plecaku. Kiedy przyjdzie pora na dłuższy odpoczynek, można rozłożyć koc i sięgnąć po gotową sałatkę lub lunchbox. To wygodne rozwiązanie podczas pikniku nad jeziorem, postoju w parku albo przerwy w czasie rodzinnej wycieczki rowerowej. Bez przygotowywania jedzenia dzień wcześniej i bez konieczności wracania do domu o określonej porze.

Latem łatwo zatracić poczucie czasu. Kilka godzin aktywności na świeżym powietrzu mija błyskawicznie, dlatego warto pamiętać nie tylko o przekąskach i posiłkach, lecz także o regularnym piciu wody. O nawodnienie trzeba dbać przez cały rok, jednak w ciepłe dni, gdy więcej czasu spędzamy w ruchu, jest ono szczególnie ważne. Woda powinna znaleźć się w każdym plecaku, koszyku rowerowym czy koszu piknikowym.

– Podczas rodzinnych wycieczek liczy się wygoda i produkty, które można zabrać ze sobą bez dodatkowych przygotowań. Mała przekąska sprawdzi się podczas krótkiego postoju, ale kiedy przed nami jest jeszcze kilka godzin aktywności, warto sięgnąć po coś bardziej sycącego. Gotowa sałatka, lunchbox czy kanapka mogą być prostym rozwiązaniem na piknik, przerwę w trasie czy spontaniczny wypad za miasto. W programie „Porcja dobrego!" są propozycje, które można łatwo wrzucić do plecaka i zabrać ze sobą w drogę – mówi Jakub Malec, group sustainable food systems manager w Grupie Żabka.

Żabka rozwija program „Porcja dobrego!" z myślą o osobach, które poszukują produktów na co dzień i na wakacyjne wyjazdy. Produkty marek własnych objęte programem są oznaczone charakterystyczną zieloną etykietą i gwarantują zbilansowaną wartość odżywczą.

W programie znajdują się m.in. gotowe lunchboxy, sałatki, kanapki, przekąski, produkty wysokobiałkowe, roślinne i bogate w błonnik. To propozycje, które sprawdzą się podczas rodzinnych wycieczek rowerowych, pikników, spacerów i innych wakacyjnych aktywności, kiedy liczy się wygoda i więcej czasu na wspólne odkrywanie nowych miejsc.

Artykuł sponsorowany | 01/0626/F

eprasa.pl a08be23ba5



Polska jest jedną z bram do Unii Europejskiej, a zatem część naszego losu, część naszej przyszłości rozgrywa się tutaj, w Europie Wschodniej. Ważne jest, by pomagać i wspierać Polskę w kontrolowaniu jej granic, ponieważ wasz kraj stoi w obliczu wielowymiarowego zagrożenia – mówi w rozmowie z Aleksandrą Rybińską *Jordan Bardella*, przewodniczący francuskiego Zjednoczenia Narodowego, europoseł oraz przewodniczący frakcji Patrioci za Europą w Parlamencie Europejskim

Chcemy odnowić Francję i Europę

Wybory prezydenckie we Francji w 2027 r. mogą być najbardziej nieprzewidywalne od dekad, a o ich wyniku może rozstrzygnąć zaledwie kilka punktów procentowych. Na tym etapie nawet nie wiadomo, czy to pan będzie kandydatem Zjednoczenia Narodowego, czy wystartuje Marine Le Pen, która została skazana przez sąd w sprawie tzw. afery asystentów europosłów na więzienie. Wyrok sądu apelacyjnego zapadnie 7 lipca.

Tak. 7 lipca czeka nas decyzja sądu i niestety to właśnie sądy zadecydują, czy Marine Le Pen, czy ja będę kandydatem na prezydenta, ponieważ toczymy trudną batalię prawną wynikającą ze sporu z Parlamentem Europejskim. Jeśli Marine Le Pen będzie mogła kandydować, zostanę jej premierem. Jeśli nie, będę kandydatem na prezydenta. Działamy więc ramię w ramię z nadzieją na wygranie wyborów i zaniesienie tej francuskiej dumy całemu krajowi.

Czy uważa pan, że ta batalia sądowa to próba zablokowania demokratycznego procesu i uniemożliwienia przedstawicielowi pańskiej partii udziału w tych wyborach?

Oczywiście. Właśnie tak postrzega to również wielu Francuzów. Niestety batalie prawne we Francji są dziś częścią walki politycznej. Prawdą jest także, że wiele postępowań jest regularnie wszczynanych przeciwko kandydatom na prezydenta. Istnieje spór administracyjny między nami a Parlamentem Europejskim, między moją partią a instytucjami unijnymi, ponieważ od dawna kwestionujemy i zwalczamy sposób funkcjonowania UE. Ale miliony Francuzów mają dziś wielkie oczekiwania wobec mojej partii. Prowadzimy we wszystkich sondażach, przewiduje się, że wygramy te wybory. I mamy wielką ambicję, by odnowić Francję. Obecnie Francja to kraj, który zmaga się z brakiem bezpieczeństwa, którego gospodarka jest osłabiona. Nasze wartości i nasza tożsamość są codziennie podważane przez niekontrolowaną migrację. Chcemy być tą partią, która przywróci Francji jej uniwersalne powołanie, jakim jest bycie wielkim krajem, wielkim narodem, mocarstwem europejskim i mocarstwem o globalnym zasięgu.

eprasa.pl a08be23ba5

W jednym z wywiadów powiedział pan, że jeśli dostanie się pan do Pałacu Elizejskiego, to zmieni pan wszystko, niczego nie niszcząc. Co pan przez to rozumie?

Kwestionujemy sposób, w jaki obecnie funkcjonuje UE, nakładająca liczne regulacje na naszych rolników, nasze przedsiębiorstwa i nasz przemysł. Mowa choćby o Zielonym Ładzie. Zachęca się, wręcz wzywa do masowej imigracji i likwidacji granic. Uważamy, że ta polityka jest szkodliwa dla Francji, a nawet wielu krajów europejskich. Obecnie w wielu demokracjach kontynentu widzimy ludzi tęskniących za kontrolą granic, obroną swojej tożsamości, za Europą współpracy narodów i nową architekturą europejską. Francja, Włochy, Niemcy i Polska to główne mocarstwa europejskie, które muszą być w stanie zmienić i usprawnić funkcjonowanie Unii. Tak, chcemy radykalnej zmiany sposobu funkcjonowania wspólnoty europejskiej.

Rozumiem, że frexit, czyli wyjście Francji z Unii, nie wchodzi w grę?

Bez wychodzenia z UE. Kiedy wygrywasz przy stole negocjacyjnym, nie odchodzisz. A wizja Europy, której bronią Emmanuel Macron i Ursula von der Leyen, jest w istocie całkowicie przestarzała. Widzimy, że dzisiejszy świat składa się z wielkich mocarstw, które są z siebie dumne, które praktykują patriotyzm gospodarczy, które bronią swoich producentów, swoich gałęzi przemysłu, swoich przedsiębiorstw, które są w stanie uchronić się przed głównymi zagrożeniami globalizacji, takimi jak offshoring i deindustrializacja. Te wielkie mocarstwa wcale nie są wyjątkami – są normą w nowym świecie, który się obecnie kształtuje, i mamy nadzieję, że narody europejskie będą mogły odegrać ważną rolę w tym procesie.

To bardzo ambitne plany. Nie obawia się pan, że zderzy się tu z Niemcami? Zwłaszcza w Polsce postrzegamy Europę jako zdominowaną przez Niemcy.

Tak, ale przede wszystkim widzę niemiecki rząd, który ewoluuje z miesiąca na miesiąc, z dnia na dzień i dystansuje się od polityki Ursuli von der Leyen, która promowała choćby Zielony Ład, czyli całą masę przepisów oraz administracyjnych i biurokratycznych ograniczeń, które uderzyły w europejskich przedsiębiorców i rolników. Widzimy, że obecnie niemiecki rząd kwestionuje – szczególnie w sektorze motoryzacyjnym – standardy ustalone przez Ursulę von der Leyen. Niedawno Niemcy przywróciły kontrole graniczne, co jest całkowicie sprzeczne z filozofią i doktryną szefowej Komisji Europejskiej. Kraje się zmieniają, społeczeństwa ewoluują i wierzymy, że jutro państwa takie jak Niemcy czy Polska mogą stać się siłą napędową nowego porządku europejskiego.

A więc Europa narodów?

Tak. I tego oczekuje wielu naszych partnerów. Francja wpłaca do budżetu europejskiego więcej, niż z niego otrzymuje. Jednocześnie nie jest obecnie w stanie przejąć przywództwa w UE ani skutecznie bronić swoich interesów na arenie europejskiej. Jako jeden z największych płatników netto do budżetu Unii chcemy lepiej bronić naszych interesów i lepiej wykorzystywać naszą przewagę konkurencyjną, taką jak np. energia jądrowa. Bez całkowicie absurdalnych europejskich przepisów cenowych Francja powinna móc korzystać z najbardziej zdekarbonizowanej, obfitej i najtańszej energii elektrycznej na całym kontynencie.

Mówił pan o odnowie Francji. Nie będzie to łatwe w obliczu masowej imigracji i jej skutków. Większość mieszkańców tzw. imigranckich gett to obywatele Francji. Czy nie jest już za późno na rozwiązanie tego problemu?

Na razie nie jest jeszcze za późno, ale być może jutro już będzie. Naszym najgroźniejszym przeciwnikiem jest więc czas. Cała Europa widziała obrazy wojny domowej w Paryżu dzień po zwycięstwie Paris Saint-Germain w Lidze Mistrzów. Wiem, że wielu Europejczyków również jest głęboko zasmuconych tym, że Francja coraz bardziej pogrąża się w komunitaryzmie [tworzenie się społeczności odrębnych etnicznie – przyp. red.].

To te słynne utracone terytoria...

Tak, ale my odzyskamy te utracone terytoria Republiki. Nadal jest to możliwe za pomocą prawa, miłości do Francji i zbiorowej wyobraźni Francuzów. Francja to kraj, który już nie kocha siebie samego tak jak powinien. Chcemy, aby Francuzi mogli znów pokochać siebie, być dumni z siebie, ze swojej historii, swoich wartości, swojej kultury – czy to narodowej, czy europejskiej. Tymczasem Francja jest dziś krajem, który wstydzi się siebie. Czeka nas zatem walka o przywrócenie porządku i bezpieczeństwa we Francji. Będziemy mieli odwagę wdrożyć tę politykę. Francja musi na nowo nauczyć się bycia dumną ze swojej kultury, swojej tożsamości i swoich tysiącletnich tradycji. Bo właśnie za to jest ceniona przez wszystkie wielkie kraje i wszystkie wielkie narody świata. Jeśli jutro dojdziemy do władzy, pierwszym krokiem, pierwszym projektem, który podejmiemy, będzie referendum w sprawie imigracji, aby umożliwić Francuzom odzyskanie kontroli nad tym procesem, który przekształca nasz kraj i sprawia, że wielu Francuzów czuje się w nim obco.

Emmanuel Macron lubi mówić o autonomii strategicznej Europy. Jak pan widzi przyszłość NATO? Z Amerykanami czy bez? Bo armia europejska to obecnie bardziej mrzonki niż rzeczywistość, a dla nas, w Polsce, to Stany Zjednoczone wciąż są głównym gwarantem naszego bezpieczeństwa.

To, co dzieje się dziś na świecie, poważne konflikty, które zbliżają się do nas i niepewność związana z długoterminowym zaangażowaniem Ameryki w Europie – ponieważ sam prezydent Trump zasugerował, że rozważa wycofanie się z niej na płaszczyźnie wojskowej i dyplomatycznej – wszystkie te wydarzenia powinny uświadomić nam, że przyszłość Europy nie może być tworzona nigdzie indziej, jak tylko w Europie. Musimy wspierać zdolności obronne narodów europejskich,

Fot. shutterstock

eprasa.pl a08be23ba5

umożliwiając wszystkim państwom odzyskanie autonomii i niezależności w kwestiach obronnych. Francja jest mocarstwem nuklearnym, krajem zasiadającym w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, a przede wszystkim państwem dysponującym bardzo dużą bazą przemysłu obronnego. Zgodnie z tą filozofią w maju 2025 r. prezydent Francji i polski rząd podpisali traktat w Nancy, który przewiduje pogłębienie współpracy militarnej między naszymi krajami. I właśnie na podstawie tej filozofii chcemy umożliwić europejskim krajom, które tego pragną, uwolnienie się od zależności od wielkich mocarstw zewnętrznych i znalezienie we Francji kraju, który będzie sprzedawał np. myśliwce Rafale bez eksterytorialności na poziomie prawnym, tzn. bez chęci kontrolowania tego, co dany kraj będzie z nimi robił. Francja jest bowiem mocarstwem przywiązanym do zasady niezaangażowania oraz tego gaullistowskiego ducha, który bazuje na autonomii, niepodległości i suwerenności. I to zamierzamy promować w ramach nowego francuskiego przywództwa, do którego dążymy na arenie europejskiej.

Porozmawiajmy o Polsce. Do tej pory odczuwalny był pewien brak zainteresowania Francji Europą Środkową i Wschodnią. Niemcy były i są tu o wiele bardziej aktywne. Czy jeśli zasiądzie pan w Pałacu Elizejskim, zacieśni pan relację z Warszawą i kogo widzi pan jako partnera na polskiej scenie politycznej?

Jestem liderem największej grupy opozycyjnej w Parlamencie Europejskim i naturalnie mam możliwość współpracy z wieloma patriotycznymi oraz suwerenistycznymi ugrupowaniami na kontynencie. Prawo i Sprawiedliwość zasiada w europarlamencie w grupie konserwatystów, ale naturalnie łączy nas zdrowa współpraca. Darzymy ogromnym szacunkiem, uznaniem i przyjaźnią przede wszystkim prezydenta Karola Nawrockiego, a także wszystkich aktywistów, liderów i wybranych przedstawicieli partii, która rządziła Polską przez kilka lat i która – mam nadzieję – powróci do władzy po kolejnych wyborach. Jeśli wygramy przyszłoroczne wybory we Francji, będziemy oczywiście współpracować ze wszystkimi rządami europejskimi. Francję i Polskę łączy historia, kultura, przyjaźń, a od kilku miesięcy także wzmocniona współpraca wojskowa wraz z klauzulą wzajemnej pomocy. Ponadto Polska cechuje się naprawdę niezwykłym dynamizmem gospodarczym, a Polacy mają świadomość, że muszą podjąć ogromny wysiłek, by zapewnić sobie bezpieczeństwo. Co więcej, nakłady finansowe na zbrojenia w waszym kraju są bezprecedensowe w skali europejskiej. Chciałbym jednak dodać, że Polska jest również jedną z bram do UE, a zatem część naszego losu, część naszej przyszłości rozgrywa się tutaj, w Europie Wschodniej. Ważne jest, by pomagać i wspierać Polskę w kontrolowaniu jej granic, ponieważ wasz kraj stoi w obliczu wielowymiarowego zagrożenia takiego jak Rosja, oraz podmiotów takich jak Białoruś, które od 2021 r. wykorzystują granicę do wywierania presji, w szczególności migracyjnej, na wasz kraj. Dlatego jesteśmy niezwykle uważni i czujni. Francja odpowiada za patrolowanie przestrzeni powietrznej państw bałtyckich i dostarczyła myśliwce Rafale, aby wspierać Polskę i pomóc jej się bronić. Inwazja rosyjskich dronów w waszym kraju wywołała spore poruszenie we Francji, jesteśmy na to niezwykle wyczuleni. Jesteśmy także niezwykle zaangażowani w przyjaźń, która łączy nas z Polską, ponieważ wiemy, że zależy od tego również nasze bezpieczeństwo.

> Chcemy, aby Francuzi mogli znów pokochać siebie, być dumni z siebie, ze swojej historii, swoich wartości, swojej kultury. Tymczasem Francja jest dziś krajem, który wstydzi się siebie

Zjednoczeniu Narodowemu często zarzucano, że jest partią prorosyjską. Była także afera związana z rzekomym finansowaniem przez rosyjskie banki. Czy jeśli zasiądzie pan w Pałacu Elizejskim, będzie chciał pan wznowić relacje z Moskwą?

Te oskarżenia są karykaturalne. Chciałbym przypomnieć, że pierwszym przywódcą państwa, którego Emmanuel Macron przyjął w Wersalu bezpośrednio po swoim zwycięstwie wyborczym – co wiele mówi w kwestii symboliki – był prezydent Federacji Rosyjskiej. Francja jest wielkim narodem o uniwersalnym powołaniu i musi mieć możliwość prowadzenia dialogu ze wszystkimi mocarstwami świata. Rosja jest mocarstwem nuklearnym. Francja także jest mocarstwem nuklearnym, a zatem mamy szczególną rolę do odegrania w przyszłych negocjacjach pokojowych. Chcemy reprezentować również głos narodów europejskich w procesie, który powinien się zakończyć zawieszeniem broni, porozumieniem pokojowym i bardzo istotnymi gwarancjami bezpieczeństwa dla Ukrainy. Jutro będziemy musieli zasiąść do stołu i negocjować pokój. Ale nie może on zostać zawarty na warunkach Rosji. Musi pozwolić Ukrainie zachować suwerenność i bezpieczeństwo oraz uzyskać gwarancje dla niej. Wiem, jak bardzo Rosja zdaje się dziś kwestionować interesy Francji, interesy Europy, mnożąc swoje operacje destabilizacyjne, choćby na naszych terytoriach zamorskich, a także w naszych historycznych strefach wpływów w Afryce. Dlatego Francja nie może być naiwna. A najlepszym sposobem na zwalczanie zagrożeń wiszących dziś nad Europą jest podjęcie przez nas wysiłku zbrojeniowego, tej inwestycji w obronę. Musimy przeznaczyć na obronność co najmniej 3 proc. PKB do 2030 r. Takie są cele wyznaczone nam przez NATO. Musimy je spełnić.

eprasa.pl a08be23ba5

Krym: ukraiński klucz do zwycięstwa

„Logistyczne zamknięcie” Krymu, terenów okupowanych i nadgranicznych, „kontrola ogniowa” nad głównymi szlakami rosyjskich dostaw. Dzięki tej strategii Kijów chce osłabić pozycję Rosjan przed ewentualnymi negocjacjami pokojowymi



Fot. Andrzej Skwarczyński



MAREK BUDZISZ

Jak informowała Agencja Reutera, po ostatniej serii ukraińskich ataków rakietowych i za pomocą dronów dalekiego zasięgu na rafinerie oraz bazy paliwowe Rosja podjęła decyzję o zakupach benzyny w jednym z krajów azjatyckich. Energy Intelligence, specjalistyczna firma zajmująca się oceną sytuacji na rynku węglowodorów, ocenia, że w połowie czerwca 30 proc. rosyjskich mocy przerobowych było niewykorzystanych, a w wyniku ataków przetwórstwo ropy naftowej spadło o 2,1 mln baryłek dziennie, co oznacza najniższy poziom od 21 lat. Pośrednio potwierdzają to nawet oficjalne statystyki, mówiące o najwyższym od lat eksporcie surowej ropy naftowej, który wzrósł, bo Rosja nie jest w stanie przetwarzać jej u siebie.

Raivis Melnis, nowy minister obrony Łotwy, który w swą pierwszą podróż zagraniczną pojechał do Kijowa, bo chce

eprasa.pl a08be23ba5

przyspieszyć współpracę firm zbrojeniowych z obu krajów, powiedział w rozmowie z mediami, że jego zdaniem „siły zbrojne Ukrainy są w stanie metr po metrze odzyskiwać zajęte przez Rosjan tereny", co potwierdza słuszność obranej strategii. Sprowadza się ona do jednoczesnych uderzeń na rafinerie i centra przerobu ropy – by pozbawić przeciwnika pieniędzy, które są paliwem wojny – oraz atakowania tras zaopatrzenia. W dłuższej perspektywie osłabienie logistyki ma pozbawić rosyjskie wojska dostaw, osłabić ich morale i umożliwić przejście do ofensywy.

LOGISTYCZNE ODCIĘCIE WROGA

Obecnie znajdujemy się w drugiej fazie operacji, której celem jest uzyskanie „kontroli ogniowej" nad głównymi szlakami rosyjskiej logistyki. Pierwszą było systematyczne niszczenie zdolności obrony przeciwlotniczej – zarówno na terenach okupowanych, na Krymie, jak i w samej Rosji – teraz zacieśnia się węzeł blokady. Nie jest ona jeszcze w 100 proc. szczelna, ale zmiana sytuacji stała się odczuwalna. Pod koniec maja ukraiński minister obrony Michaił Fiodorow oficjalnie ogłosił „logistyczne zamknięcie" Krymu, terenów okupowanych i nadgranicznych. Jak powiedział, „naszym zadaniem jest dalsze zwiększanie presji na Rosjan na tyłach i pozbawienie ich możliwości prowadzenia aktywnych operacji ofensywnych. W ostatnich miesiącach czterokrotnie zwiększyliśmy niszczenie wrogiej logistyki, magazynów, sprzętu, stanowisk dowodzenia i szlaków zaopatrzeniowych na głębokości operacyjnej".

Siły ukraińskie atakują cele na głębokości do 300 km od ich pozycji, co już doprowadziło do problemów zaopatrzeniowych na terenach kontrolowanych przez Rosjan. Na Krymie obowiązują limity sprzedaży paliwa dla odbiorców indywidualnych na poziomie 20 l tygodniowo, władze półwyspu wprowadziły specjalne kody QR uprawniające do nabycia benzyny i oleju napędowego, które zresztą w wielu przypadkach nie działały, niektóre stacje po prostu zamknięto, a na innych ludzie czekają po 20 godzin, aby zrealizować swój przydział. Wprowadzono też liczne zakazy, choćby zabraniający sprzedaży paliwa za gotówkę. Ale również to niewiele pomogło.

Pod koniec pierwszej dekady czerwca transport publiczny na Krymie zaczął szwankować – z zajezdni z powodu braku paliwa nie mogło wyjechać 400 autobusów, a w sklepach w związku z problemami logistycznymi zabrakło towarów. O sezonie wakacyjnym nie ma w tym roku mowy. Według rosyjskich mediów w ciągu dwóch tygodni, od kiedy rozpoczęły się problemy z paliwem, rezerwacje w krymskich hotelach spadły o jedną trzecią w porównaniu z analogicznym okresem ub.r., a odsetek anulowanych rezerwacji w tym okresie sięgnął 79 proc.

Pod koniec pierwszej dekady czerwca transport publiczny na Krymie zaczął szwankować – z zajezdni z powodu braku paliwa nie mogło wyjechać 400 autobusów, a w sklepach zabrakło towarów

A wszystko to na tle wzrostu cen wypoczynku na Krymie o 17–25 proc. Jeden z hoteli w miejscowości Saki próbował ratować sezon promocją: przy rezerwacjach na dwie lub więcej nocy gościom obiecywano 10 l benzyny w prezencie, a przy rezerwacjach na trzy lub więcej dni – 20 l. Inny w ogóle chciał zrezygnować z opłat za pokój, jeśli przyjezdny odsprzedałby 100 l paliwa.

W tym samym czasie braki zaczęły się w Kraju Krasnodarskim, co jest pochodną zarówno tego, że w ostatnim czasie rafineria w Tuapse była atakowana kilkanaście razy, jak i zwiększonych (tak uważa się w Rosji) zakupów dokonywanych przez przybyszów z Krymu, którzy w związku z tym stali się coraz mniej pożądanym „elementem napływowym".

PREMIA ZA TRAFIONY CEL

Jak informuje portal Oboronka, operacja logistycznej izolacji Krymu zaczęła się już przed rokiem. Wraz z pojawieniem się dużej liczby nowych konstrukcji dronów zdolnych atakować cele na głębokości ponad 100 km siły ukraińskie zaczęły intensywniej uderzać na rosyjskie stanowiska. W czasie pierwszych 12 miesięcy, do maja tego roku, zniszczono 365 celów, głównie systemów obrony przestrzeni powietrznej.

Liczba ta jest wiarygodna, bo w związku z reformą finansowania jednostek liniowych, którą wprowadził minister Fiodorow, są na to „żelazne" dowody w postaci filmów. Obecnie za każdy trafiony cel resort obrony przydziela odpowiednią liczbę punktów, za które na platformie zaopatrzenia sił zbrojnych – nazywanej potocznie Amazonem dla wojska, bo dowódcy liniowi na ekranach swych komputerów klikają ikonki dronów, amunicji czy innego sprzętu – można kupić wszystko, co jest potrzebne walczącym. Aby dostać punkty, trzeba przedstawić przynajmniej dwa nagrania wideo i na tej podstawie ocenia się skuteczność uderzeń.

Od początku tego roku resort Fiodorowa pięciokrotnie zwiększył zamówienia w sektorze zbrojeniowym na drony średniego zasięgu, odpowiednio zaczął też premiować trafienie celów związanych z logistyką na Krymie i terenach okupowanych. W efekcie w kwietniu dowódcy ukraińskich korpusów walczących w Donbasie poinformowali publicznie, że kontrolują ogniowo Donieck i są w stanie niszczyć cele na wszystkich szlakach zaopatrzeniowych do tego miasta, a kilkanaście dni później Robert „Magyar" Browdi, dowódca ukraińskich sił systemów bezzałogowych, ogłosił przejęcie kontroli ogniowej nad autostradą E-280, biegnącą z Kraju Krasnodarskiego przez tereny okupowane (Mariupol, Bierdiańsk, Melitopol) na Krym.

Ukraińska grupa analityczna Cyber Boroshno, zajmująca się analizą rosyjskich czatów, wpisów na platformie Telegram oraz śledząca indywidualne posty

eprasa.pl a08be23ba5

w mediach społecznościowych zliczyła wszystkie pojawiające się „po rosyjskiej stronie" informacje i donosi, że od początku maja intensywność ukraińskich uderzeń na rosyjską logistykę i trasy komunikacyjne prowadzące na Krym wzrosła 10-krotnie. Drony nie tylko polują na cysterny i transporty wojskowe, lecz także zdalnie minują te trasy.

Portal Militarnyj, specjalizujący się w kwestiach wojskowych, zwraca uwagę na to, że intensyfikacja ukraińskich działań przybiera już formę ofensywy. Jeszcze na początku roku za uderzenia na rosyjskie tyły za pomocą systemów bezzałogowych odpowiadały stosunkowo nieliczne, wyspecjalizowane jednostki podległe głównie SBU, czyli siłom bezpieczeństwa i wywiadu. Obecnie już co najmniej 27 – jak obliczyli dziennikarze – liniowych związków taktycznych realizuje uderzenia na rosyjską logistykę i tyły.

Jeszcze istotniejsze zmiany odnotowano w zakresie sprzętu. Coraz powszechniej używane są drony Hornet firmy Swift Beat, założonej przez byłego prezesa Google'a Erica Schmidta, którymi posługuje się m.in. korpus Azow. Są one zaopatrzone w pokładowe moduły sztucznej inteligencji, pozwalające automatycznie naprowadzać je na cel, co uniemożliwia przeciwnikowi ich zagłuszanie.

Danyło „Boroda" Nowycki, zastępca szefa sztabu 3. Korpusu Armijnego, mówi, że atakowanie logistyki przeciwnika za pomocą systemów bezzałogowych operujących na głębokości powyżej 100 km nie jest „game changerem", dzięki któremu Ukraina wygra wojnę. W tym przypadku liczy się co innego. Chodzi o upowszechnienie zdolności i technologii – bo to, czego wcześniej używały przez wyspecjalizowane jednostki, obecnie stosuje się na masową skalę – oraz systematyczne działanie, metodyczne, codzienne atakowanie i niszczenie każdego celu przeciwnika. To połączenie masowości i zdolności oznacza w praktyce, że strefą wojny staje się już obecnie cały obszar okupowany przez Rosjan i ich tereny nadgraniczne.

STRATEGICZNE MOSTY

Most Kerczeński – jak jeszcze w ubiegłym roku mówił mediom gen. Wasyl Maluk, ówczesny dowódca SBU – po ukraińskich atakach most nie jest już wykorzystywany przez Rosjan do przewozu paliwa czy amunicji. Gdyby udało się uderzyć na tego rodzaju transporty, również ta przeprawa mogłaby być zagrożona, dlatego przez most nie mogą obecnie przejeżdżać ciężarówki o ładowności powyżej 5 t. Rosjanie zostali zmuszeni do wykorzystywania tras lądowych i przepraw promowych przez Morze Azowskie. Już w grudniu Ukraińcom udało się jednak uszkodzić Sławianina, ostatni prom kolejowy regularnie kursujący na Krym, i w związku z tym Rosjanom pozostały wyłącznie linie drogowe i kolejowe wiodące przez tereny okupowane. A te są stale atakowane.

Na początku czerwca Ukraińcy zaatakowali i uszkodzili Most Czonharski, jedną z kluczowych przepraw między Krymem a lądem. Po tym zdarzeniu ładunki musiały być transportowane promem pontonowym lub przekierowane na inne trasy, których obłożenie w ciągu doby wzrosło 1,5–2 razy. To z kolei ułatwia ukraińskim dronom rozpoznawczym wykrycie zwiększonego ruchu i „zabawa" zaczyna się od nowa. Zniszczenie Mostu Czonharskiego zmusiło też Rosjan do przekierowania transportu zaopatrzeniowego na trasy dłuższe o 140 km, co zwiększa skalę trudności transportowych, bo liczba ciężarówek będących w dyspozycji najeźdźców nie jest nieograniczona. Co więcej, alternatywne linie komunikacyjne „przebiegają przez tereny, na których Ukraina dysponuje znacznie większymi środkami zniszczenia, aby kontrolować tę konkretną drogę" – wyjaśniał ekspert wojskowy Anatolij Chrapczynski. Już kilka dni po uszkodzeniu Mostu Czonharskiego Dmitrij „Perun" Fiłatow, dowódca 1. Samodzielnego Pułku Szturmowego, poinformował, że jego odział zidentyfikował i rozbił kolumnę 50 rosyjskich ciężarówek, które próbowały przejechać przez Armiańsk.

Nawet jeśli Rosjanom udaje się przewieźć paliwo na Krym, muszą rozwiązać kolejny problem – gdzie je magazynować. Bazy i magazyny paliwowe są atakowane równie często co trasy komunikacyjne. Według obliczeń Serhija Sapiehina, ukraińskiego eksperta wojskowego, dzienne zapotrzebowanie Krymu na paliwo szacuje się na 4 tys. t, z czego ok. 2,5 tys. t jest przeznaczone na potrzeby cywilne. „Miesięczne zapotrzebowanie Krymu wynosi zatem 120 tys. t, czyli ok. 2,2 tys. zbiorników paliwa. To duże ilości, które nie mogą pozostać niezauważone przez nasze siły obronne" – podsumował Sapiehin. „Dlatego nie ma sensu oczekiwać poprawy w dostawach paliw na Krym" – dodał.

Ukraińcy rozpoczęli też grę psychologiczną z Rosjanami. W ubiegłym tygodniu Dmytro Płetenczuk, rzecznik prasowy ukraińskiej marynarki wojennej, poinformował, że piechota morska zaczęła się szkolić w przeprowadzaniu operacji desantowych, a on sam zgłosił się, aby uczestniczyć w nich na ochotnika. Trzeba również pamiętać, iż obszar nie jest uznawany za wyzwolony, póki nie stanie na nim „stopa żołnierza".

Nie oznacza to, że w najbliższych dniach powinniśmy spodziewać się desantu, choć w ukraińskich mediach spekuluje się, że celem operacji mogłaby być Kosa Kinburnska – długi piaszczysty cypel na północy półwyspu. W tym przypadku w pierwszym rzędzie chodzi o grę psychologiczną i przygotowanie pozycji przed ewentualnymi negocjacjami pokojowymi. W świetle tego planu Putin musi stanąć w obliczu sytuacji powrotu wojny do Rosji. Jeśli każdego dnia będą płonąć rafinerie, składy paliwowe i zakłady chemiczne, benzyna będzie racjonowana, a na „od zawsze rosyjskim" Krymie będą trwały działania wojenne, to rosyjskim przywódcom trudno będzie budować narrację o zwycięskiej wojnie. Dlatego w trakcie niedawnego spotkania państw G-7 panował optymizm w kwestii szans na rozpoczęcie negocjacji, a rząd Ukrainy właśnie przedstawił prognozę budżetową na lata 2027–2029, która przewiduje, iż w przyszłym roku, już po wojnie, zacznie się odbudowa.

Czy to się stanie, nie wiadomo, ale rosną szanse na pozytywny – z perspektywy Kijowa – scenariusz. Jeśli jednak na Kremlu zapadnie decyzja o kontynuowaniu wojny, to pojawienie się ukraińskich żołnierzy na Krymie jest tylko kwestią czasu.

eprasa.pl a08be23ba5



Fot. Kathy Hutchins/Shutterstock.com

Dwa światy

Tę historię można poprowadzić trzema torami, w tym jednym przez moment nawet w sensie dosłownym



DARIUSZ MATUSZAK

W sobotę 13 czerwca, dobę po największym debiucie giełdowym w historii, pomiędzy Ostrołęką a Łomżą turlał się pociąg z samym Donaldem Tuskiem na pokładzie. Kilkanaście godzin wcześniej, kiedy w trakcie swych pierwszych notowań na nowojorskiej giełdzie wartość akcji firmy SpaceX wystrzeliła o blisko 20 proc., a Elon Musk stawał się pierwszym człowiekiem w dziejach z majątkiem przekraczającym bilion dolarów, urzędnicy i propagandyści przygotowywali dla naszego premiera tekst i tezy do wystąpienia na peronie łomżyńskiego dworca.

Klękajcie narody: po 33 latach przerwy znów uruchomiono oddaną do użytku w 1893 r. linię kolejową nr 36 i 49 z 1915 r. Łącznie 80 km. Przez całą sobotę 13 czerwca urzędnicy i ministrowie z szefem kancelarii premiera Janem Grabcem na czele występowali w mediach i opowiadali, jak to rząd strategicznie planuje i śmiałymi ruchami kreśli kolejne połączenia – do Małkini, do Sokołowa Podlaskiego, do Tarczyna. W tym czasie 4,4 tys. pracowników SpaceX świętowało to, że stali się milionerami, a ich szef, który szykuje wyprawę na Marsa, zwyciężył. Wśród nich jest Polak, Łukasz Nosek, inwestor zasiadający w radzie dyrektorów firmy. Ale on świętuje miliardy, a konkretnie 5,6 mld.

Dwa światy – przyziemia i kosmosu. W pierwszym świecie pozbawiony wizji i ambicji rząd, który zdławił wszystkie aspiracyjne projekty rozwojowe, jak choćby CPK, cieszy się z lokalnych linii kolejowych, jakby to było osiągnięcie na miarę 20. gospodarki świata. W drugim świecie, tym kosmicznym, triumf odwagi, wyobraźni, wizji, technologii – do dnia debiutu firma Elona Muska (posiada on ponad 40 proc. akcji i 80 proc. głosów na walnym zgromadzeniu akcjonariuszy) posłała w kosmos 690 rakiet i umieściła na orbicie 15,2 tys. satelitów. Rząd Tuska jednak się nie poddaje – już za rok (chyba że się nie da) będzie można pojechać pociągiem z Łomży do Warszawy.

W KOSMOS Z WYSEPKI OMELAK

Historia SpaceX zaczęła się w 2002 r., a może nawet w 1983 r., kiedy 12-letni Elon Musk za 500 dol. sprzedaje swą pierwszą grę komputerową. 12 lat później razem z bratem Kimbalem zakłada Zip2 Corporation, tworzy internetowy przewodnik miejski i zaczyna dostarczać użytkownikom zamieszczane w sieci treści z „The New York Times" i „Chicago Tribune". Po czterech latach sprzedaje interes i za miliony, które dostał, buduje PayPal, świadczący usługi finansowe w sieci. Ten interes też szybko sprzedaje, ale już za miliardy, za które zaczyna budować SpaceX i Teslę Motors. Jest 2002 r. i rozpoczynają się prace nad budową rakiet, które umasowią transport kosmiczny i w przyszłości

Reklama | 01/0126/FZAL

eprasa.pl a08be23ba5

pozwolą na kolonizację Marsa. Taka wizja towarzyszy Muskowi.

A potem jest sześć lat prób, błędów i porażek, balansowania na skraju nie tylko bankructwa, lecz także katastrofy. Przez trzy lata – mniej więcej wtedy, kiedy Polska zaczyna się mościć w Unii Europejskiej – garstka inżynierów żyje i pracuje w ekstremalnych warunkach na tropikalnej wysepce Omelek z atolu Kwajalein na Pacyfiku, którą Pentagon zgodził się udostępnić do testów rakietowych. Na wysepce o powierzchni kilku boisk piłkarskich nie ma nic, więc śpią w namiotach i prowizorycznych barakach. Walczą z upałem, wilgocią, rdzą i solą, które zżerają wrażliwe części rakiet. Żywność i woda są dostarczane helikopterami. Dlaczego więc trwają na nieludzkim miejscu? Bo Omelek leży blisko równika, co pozwala rakietom wykorzystać ruch obrotowy Ziemi i wynosić je przy mniejszym zużyciu paliwa.

Pierwszy start Falcon 1 kończy się jednak wybuchem po 25 sekundach. Sokół spada do oceanu. Drugi start i znów pożar, rakieta płonie w atmosferze. Trzeci start i następna eksplozja. Na pokładzie są satelity NASA oraz prochy aktora ze „Star Treka", Jamesa Doohana. Przed kolejnym startem dochodzi do protestu, bo z powodu pomyłki od kilku dni nie przylatuje helikopter z zaopatrzeniem, więc Musk osobiście załatwia transport, m.in. kurczaków i papierosów. Bunt zażegnany, ale po trzech katastrofach Musk jest właściwie bankrutem. Zbiera ostatnie prywatne środki od inwestorów na sfinansowanie czwartego, ostatecznego startu. Kolejna porażka oznaczałaby likwidację SpaceX.

Równolegle Musk zajmuje się ratowaniem drugiej swej firmy – Tesli. Globalny kryzys finansowy zabija pierwszego na świecie masowego producenta samochodów elektrycznych. Musk staje przed dylematem – czy przelać całą gotówkę do jednej firmy i pozwolić drugiej umrzeć, czy podzielić pieniądze między obie, ryzykując, że obie zbankrutują. Ostatecznie ryzykuje wszystkim i 28 września 2008 r. czwarty start Falcona 1 kończy się wielkim sukcesem. Musk łapie krótki oddech, ale to za mało, by uratować obydwie firmy. Na 24 grudnia, w Wigilię, wyznaczono datę ogłoszenia upadłości Tesli, o ile nie dojdzie do kolejnej rundy finansowania. Ale zdarza się bożonarodzeniowy cud. 23 grudnia NASA oferuje SpaceX kontrakt za 1,6 mld dol. na dostarczanie ładunków na Międzynarodową Stację Kosmiczną (ISS). Musk wykłada swoje ostatnie pieniądze, po kontrakcie z NASA odzyskuje wiarygodność, organizuje inwestorów i w Wigilię, godzinę przed zamknięciem giełdy i ogłoszeniem upadku Tesli, zostają podpisane dokumenty nowej rundy finansowania. Firma jest uratowana. Sytuacja stabilizuje się ostatecznie w maju 2009 r., kiedy koncern Daimler (właściciel Mercedes-Benz) za 50 mln dol. kupuje 9 proc. udziałów w Tesli.

W 2010 r debiutuje Falcon 9, który na lata staje się „koniem pociągowym"

REKLAMA

SALTUS
UBEZPIECZENIA

Dbamy o to, co się liczy.



Ubezpieczenie mieszkań i domów jednorodzinnych SALTUS – Mój DOM

Szeroki zakres ochrony, który możesz dopasować do swoich potrzeb.

Oferta dostępna w placówkach Spółdzielczych Kas oraz Banków Spółdzielczych

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym

firmy. W 2012 r. kapsuła Dragon (Smok) jako pierwszy prywatny pojazd w historii dokuje do Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. W 2015 r. dochodzi do pierwszego pionowego lądowania najdroższego i najważniejszego, wielkiego niczym 14-piętrowy wieżowiec głównego członu rakiety. Stanowi on 85 proc. jej wartości. Po niemal 60 latach podboju kosmosu rakiety przestają być jednorazowe – Musk udowadnia, że można je odzyskać. Pierwsza, która wróciła – 47-metrowy Booster B1019 – stanęła jako pomnik przed siedzibą firmy w Hawthorne. Dwa lata później po raz pierwszy rakieta wraca i zostaje ponownie wystrzelona. Dziś niektóre Falcony mają już za sobą po 20 startów i lądowań.

W 2019 r. SpaceX wynosi na orbitę pierwszych 60 satelitów Starlink i zaczyna budować globalną sieć telekomunikacyjną. W 2020 r. rozpoczyna się misja Crew Dragon Demo-2. SpaceX po raz pierwszy wysyła amerykańskich astronautów na ISS z USA, przełamując wieloletni monopol rosyjskich Sojuzów. W 2024 r. zaczynają się testy Starship – pierwszej rakiety, która w całości miałaby wracać z kosmosu.

BILIONER WIZJONER

12 czerwca 2026 r. – debiut giełdowy po największej ofercie publicznej (IPO) w historii świata. Za *555 555 555* nowych akcji (Musk jest naprawdę dowcipny), stanowiących ledwie 5 proc. wszystkich, SpaceX zyskał 75,6 mld dol. Po co giełda i takie pieniądze na waciki firmie wartej 1,5 bln dol.? To jednak potężna kwota – chodzi o płynność, o kapitał na inwestycje, a także możliwość wyceny firmy i wpuszczenia na rynek akcji, które są w posiadaniu dotychczasowych inwestorów, pracowników i samego Muska. Akcje dotychczasowych akcjonariuszy trafią do obrotu najwcześniej za pół roku. Sam Musk nie sprzeda żadnej przynajmniej przez rok.

Wreszcie można też precyzyjniej wycenić samego Muska. Teraz jest warty może 1 bln, a może 2 bln dol. (kurs SpaceX codziennie rośnie po kilkanaście procent, ale do dnia, w którym będą państwo czytali ten jakże pasjonujący tekst, może przecież spaść). Będące w jego posiadaniu akcje SpaceX i Starlink są warte ok. 700 mld dol., co stanowi 70–80 proc. jego majątku. Do tego ok. 300 mld w akcjach Tesli, ok. 50 mld w udziałach w xAI (firma od sztucznej inteligencji) i jakieś 20 mld, a więc prawdopodobnie mniej niż 2 proc. majątku, w dawnym Twitterze, czyli w platformie X. To wartość szacunkowa, bo Musk wycofał go z giełdy. Jak sam przyznaje, gotówka to ledwie 0,1 proc. jego majątku, a więc jakiś 1 mld dol. w zaskórniakach.

To nie jest jednak opowieść o chciwym, żądnym pieniędzy i władzy człowieku, lecz o romantyku, geniuszu biznesowym i organizacyjnym, wizjonerze i tytanie pracy. Gdy Tesla ledwo dychała, Musk przez trzy lata spał w fabryce pod biurkiem wystawionym tak, by cała załoga mogła widzieć jego determinację, pracowitość i wiarę w to, co robi. To historia człowieka, który był gotów zaryzykować wszystkim, co ma, by podążać za dziecięcymi marzeniami o lotach kosmicznych i wyprawie na Marsa.

> Podczas gdy premier Donald Tusk chwalił się powrotem pociągów do Łomży, Elon Musk gromadził na giełdzie kapitał do wyprawy na Marsa

WRÓG DEMOKRACJI

Wróćmy jednak do kalendarium, bo to pozwoli nam poprowadzić naszą opowieść po trzecim torze, a może nawet orbicie, po której szybuje ona – jedyna w swym rodzaju, niepowtarzalna Unia Europejska. Kiedy Musk zaczynał budować SpaceX i Teslę, my wstępowaliśmy do UE. Kiedy na atolu w morderczych warunkach testowano pierwsze rakiety i Musk ratował się przed bankructwem, Unia na moment stała się największym gospodarczym organizmem świata z PKB większym niż Stany Zjednoczone. Kraje takie jak Hiszpania, Portugalia, Włochy, Grecja czy Francja osiągnęły apogeum swego dobrobytu i od tego czasu jest już tylko gorzej. W 2014 r. Daimler Benz sprzedaje swe udziały w Tesli. Niemcy szaleją ze szczęścia, bo dostali za nie 780 mln dol., czyli mają 15-krotną przebitkę. Dziś te 9 proc. udziałów w Tesli jest warte więcej niż cały koncern Mercedesa.

Od 2011 r., kiedy o mało nie dochodzi do upadku euro, Unia pogrąża się w kolejnych kryzysach, a Musk buduje pozycję najpotężniejszego przedsiębiorcy świata. Jego losy i historia organizacji zaczynają się splatać w 2022 r., kiedy miliarder rzuca na Twitterze słynne pytanie: „A ile to kosztuje?" i kupuje platformę. W październiku po domknięciu transakcji wkracza do siedziby firmy ze zlewem i zapowiada wielkie porządki. Zwolnionych zostaje 70 proc. ludzi zajmujących się „moderowaniem" treści na Twitterze, przemianowanego później na X.

Od tego momentu Musk staje się śmiertelnym wrogiem UE, która wydaje dyrektywę o usługach cyfrowych i chce zmusić wielkie platformy oraz media społecznościowe do zaprowadzenia cenzury. Ówczesny komisarz ds. rynku wewnętrznego UE i były już premier Francji Thierry Breton domagał się nawet od Muska, by ten ocenzurował własny, opublikowany na platformie X wywiad z Donaldem Trumpem. Miliarder odpowiada we właściwy sobie sposób: ******* ********* , co w wolnym tłumaczeniu może oznaczać propozycję, by unijny komisarz odbył stosunek płciowy z własną twarzą. Na próby szantażu bojkotem reklamowym publicznie odpowiada: „Pie...cie się".

W lutym 2025 r. prezydent Niemiec Frank-Walter Steinmeier rozwiązuje parlament, ogłasza wybory i w przemówieniu w Bundestagu wskazuje Muska jako głównego wroga demokracji, praworządności i czego tam jeszcze. Po tym, jak Amerykanin publikuje pozytywne opinie na temat AfD, Breton grozi zablokowaniem platformy X w UE. Rozumieją państwo: unijny biurokrata chce wam wyłączyć X, bo nie podoba mu się

23/0526/F

eprasa.pl a08be23ba5

to, co pisze Musk. Na wojenkę z przedsiębiorcą wyrusza nawet nasz minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski, który na platformie X odgraża się, że UE zastąpi dostarczony przez Muska Ukrainie system telekomunikacyjny Starlink jakimś tam brukselskim. Przedsiębiorca odpowiada: „Zamknij się, mały człowieczku". Majestat Rzeczypospolitej został skalany, świętość zbrukana. Takiej hańby nie można przeboleć, więc premier Donald Tusk, marszałek Szymon Hołownia, sekty ówczesnej PO i media wyznaniowe, pozostające w religijnym kulcie rządzącej koalicji, wzywają naród do manifestacji patriotyzmu. Cała Polska murem za Radosławem. Wicepremier Krzysztof Gawkowski ogłasza nawet, że opodatkuje platformę X.

Żałosna szarża Sikorskiego jak mało co pokazuje zderzenie dwóch światów. W jednym sięga się po gwiazdy, w drugim nadyma, pogrąża w korupcji, paranoi i niekompetencji. Sikorski doznał godnościowego wzdęcia i przypuścił atak, bo Unia właśnie nakręcała swój wielki kosmiczny projekt IRIS2, obwołany konkurencją dla SpaceX Muska. IRIS – Infrastructure for Resilience, Interconnectivity and Security by Satellite, czyli Infrastruktura na rzecz Odporności, Łączności i Bezpieczeństwa Satelitarnego (jak ja uwielbiam te pompatyczne unijne nazwy) – to europejski program łączności satelitarnej. Za 6 mld euro, w tym 3,5 mld unijnych, UE miała umieścić do 2027 r. 290 satelit do, jak zapowiadano, „bezpiecznej komunikacji rządowej, wojskowej i komercyjnej". Pierwsze testowe miały krążyć nad nami już w 2024 r. Program jest jednak opóźniony o sześć lat – nic nad nami nie lata i do 2030 r. latać nie będzie – okazuje się za to, że jest prawie dwa razy droższy niż planowano: kosztuje 10 mld euro zamiast 6 mld, przy czym UE wyłoży 6 mld z naszych pieniędzy zamiast 3,5 mld euro.

Nic jeszcze nie zrobiono, ale Niemcy już zdążyli pokłócić się z Francuzami o to, kto ma więcej zarobić. Wicekanclerz i minister gospodarki w rządzie Scholza Robert Habeck napisał do Komisji Europejskiej skargi, w których zarzucał, że Francuzi zawyżają koszty unijnego programu i że miałaby na nim zarobić głównie ich firma Thales. Znamy też historię IRIS2 od naszej strony, bo program skrytykował polski kosmonauta Sławosz Uznański-Wiśniewski, który stwierdził, że nie będziemy mieli z niego żadnego pożytku, a głównymi beneficjentami zostaną Niemcy i Francja. Po tej krytyce szefowa Polskiej Agencji Kosmicznej zakazała mu odzywać się publicznie.

Na razie nic nie działa, w kosmosie nad UE jest pustka i byłoby to nawet zabawne, gdyby nie było żałosne i za nasze pieniądze. W całym 2025 r. Unia ze wszystkimi swymi członkami wystrzeliła w kosmos 7 rakiet i umieściła na orbicie 22 satelity. W tym czasie SpaceX Muska zorganizowała 170 startów, rozsiewając ponad 2,5 tys. satelitów. Tak wygląda Unia ze swymi 400 mln poddanych w starciu z jednym wizjonerem.

REKLAMA

niedziela.pl

katolicki portal,

który niesie INFORMACJĘ I FORMACJĘ

■ ZAWSZE BIEŻĄCE WIADOMOŚCI Z ŻYCIA KOŚCIOŁA, POLSKI I ŚWIATA,

■ MULTIMEDIA ■ KULTURA I PODRÓŻE

www.niedziela.pl

Zeskanuj i sprawdź!

eprasa.pl a08be23ba5

Lex big pharma

Z osłupieniem przeczytałem artykuł Doroty Łosiewicz, zachwalający szykowaną nam ustawę o prawach pacjenta, przez jej autorów sprytnie nazwaną „Lex szarlatan" („Sieci" nr 22). To ustawa katastrofalna dla praw pacjenta, zamordystyczna i zaprzeczająca istocie nauki, polegającej przecież na nieustannym weryfikowaniu, czyli rozwijaniu wiedzy. Powinna się nazywać „lex kaganiec", „lex ciemnota" albo po prostu „lex big pharma", bo wydaje się podyktowana przez komiwojażerów koncernów farmaceutycznych



MACIEJ PAWLICKI

Redaktor Łosiewicz zachwyca się możliwością administracyjnego karania grzywną w wysokości 1 mln zł za działania „niezgodnie z aktualną wiedzą medyczną". Tego sformułowania używa wielokrotnie i z nabożeństwem, jakby owa „aktualna wiedza medyczna" była wykuta w kamiennych tablicach wręczonych ludzkości. Spójrzmy na historię medycyny.



Koniec bezkarności pseudomedycznych guru

Rząd przyjął projekt nowelizacji ustawy o prawach pacjenta i Rzeczniku Praw Pacjenta, określanej jak „lex szarlatan". To jedna z tych regulacji, które pogarszają się potem, aby na odpowiednią na problem narastający od lat. Państwo przez długi czas przygląda się bezradnie, jak w przestrzeni publicznej rozrasta się cały rój samozwańczych ekspertów od zdrowia: internetowych guru, naturoterapeutów, bioenergoterapeutów i byłych medyków, którzy po utracie uprawnień budowali swoje kariery na sprzedaży „alternatywnej prawdy"

DOROTA ŁOSIEWICZ

GDY JEST PRAKTYKA PSEUDOMEDYCZNA?

KONFERENCJA, KTÓRA MIAŁA LEGITYMIZOWAĆ PSEUDONAUKĘ

WZMOCNIENIE RZECZNIKA

HANDEL NADZIEJĄ JAKO MODEL BIZNESOWY

AKTUALNA WIEDZA

Gdy w 1543 r. Vesalius, wykonując sekcje zwłok, zmienił wiedzę o ciele, jego profesorowie uznali, że to niezgodne z nauką medyczną. Jest ojcem anatomii. Gdy w 1546 r. Fracastoro opisał, że choroby zakaźne są wywoływane przez niewidoczne żywe cząsteczki, był wyśmiewany i marginalizowany. Gdy w 1628 r. Harvey ogłosił, że krew nie jest produkowana w wątrobie i zużywana, ale krąży w obiegu zamkniętym, został obrzucony obelgami jako szarlatan. W 1848 r. Semmelweis stwierdził, że na oddziałach położniczych umiera mniej kobiet, gdy lekarze myją ręce w roztworze chloru. Odkrycie to odrzucono jako niezgodne z aktualną wiedzą medyczną, a jego autora zamknięto w szpitalu psychiatrycznym, gdzie zmarł pobity przez strażników. Jest ojcem antyseptyki. Gdy Pasteur wynalazł szczepionkę na wściekliznę, był nazywany szarlatanem – jego wynalazek był niezgodny z aktualną wiedzą medyczną.

Zgodne z aktualną wiedzą medyczną było za to, że palenie tytoniu jest zdrowe, pomaga w odchudzaniu i trawieniu. Cukier to cenny lek na żołądek, układ oddechowy i wzmocnienie („Cukier krzepi"). Większość chorób wynika z nadmiaru złej krwi, należy ją zatem upuszczać (Waszyngton przypłacił to życiem). Do wody pitnej, past do zębów i kosmetyków należy dodawać rad, bo dodaje energii i leczy raka. Heroina i kokaina to bezpieczne leki na kaszel i środki uspokajające dla dzieci... Lista jest długa. Twórca zakazanej dziś lobotomii Moniz otrzymał za nią Nagrodę Nobla. 60 lat temu kobietom w ciąży podawano lek na mdłości Talidomid, zgodnie z aktualną wiedzą medyczną doprowadził do urodzenia 10 tys. dzieci bez kończyn.

Lista wydłuża się coraz szybciej. Koncerny wydają gigantyczne pieniądze na sponsorowanie badań z wynikami pod zamówienie, na przychylność mediów, lobbing, gratyfikacje lekarzy, życzliwość polityków, uzależnianie uczelni medycznych. Płacą wielomiliardowe odszkodowania ofiarom swych produktów oraz oszustw (w 2009 r. określony przez prokuratorów jako „notoryczny oszust" Pfizer zapłacił 2,3 mld dol.), traktują je jako koszty operacyjne. I zawsze wolą dogadać się pozasądowo, by na procesach nie drążono, co też sprzedają ludziom (i państwom).

Właśnie teraz polskim dzieciom wciskana jest (finansowana przez nas, podatników) szczepionka na HPV Gardasil, w istocie przeznaczona dla kobiet często zmieniających partnerów seksualnych. Jej producent, koncern Merck, właśnie uniknął 200 procesów, jakie wytoczyło mu 200 ofiar Gardasilu. Wolał zawrzeć z nimi ugodę i zapłacić 50 mln dol. odszkodowań, bo podczas procesów musiałoby się okazać, jakie skutki przynosi preparat. Na sprzedaży Gardasilu Merck zarobił 85 mld dol., więc te 50 mln to kwota na waciki. Zgodnie z aktualną wiedzą medyczną szczepionka ta jest bezpieczna.

eprasa.pl a08be23ba5

LOGO NA GARNITURZE

Drugim mocarnym argumentem, który wytacza redaktor Łosiewicz, jest to, że „eksperci wskazują", „eksperci zwracają uwagę", „dietetycy alarmują", „środowisko naukowe zareagowało". Nie podaje nazwiska żadnego eksperta ani naukowca. Cytuje jedynie dietetyka Damiana Parola, który ostrzega przed kwestionowaniem farmakoterapii psychiatrycznej. Nie sprawdzałem, wierzę, że nie jest on sponsorowany przez producentów leków. Niestety zdecydowana większość aktywnych publicznie „ekspertów" pozostaje w konflikcie interesów, o czym opinia publiczna nie wie. Na tych łamach wykazałem, że 12 na 15 członków rady medycznej przy premierze poprzedniego rządu pobierało wynagrodzenie od producentów szczepionek. Pozostając w konflikcie interesów, nie jest się ekspertem niezależnym. Zachęcam do występowania z widocznymi na ubraniach logotypami swych sponsorów, tak jak sportowcy. Musimy wiedzieć, czy ci, którzy „wskazują, zwracają uwagę i alarmują", są ekspertami, czy też zamaskowanymi komiwojażerami produktów swego sponsora.

Niestety „lex kaganiec" nie widzi tego problemu i chce zamknąć usta wszystkim, którzy nie zgadzają się z narracją koncernów farmaceutycznych. Ma się to dokonać nie sądowo (co jest obecnie możliwe), lecz administracyjnie. Urzędnik ma dostać maczugę, by skazywać lekarzy na niebyt, rozwalać firmy, które uzna za „niezgodne z aktualną wiedzą medyczną", niszczyć medycynę naturalną, niszczyć media. Wedle jakich kryteriów?

Nauka się zmienia – to jej istota, sens i warunek istnienia. Dobry lekarz nieustannie poszerza swą wiedzę o nowe – tak, NOWE badania i ustalenia. Wiele covidowych dogmatów okazało się błędami lub kłamstwami. Administracja Trumpa i Kennedy'ego zmienia aktualną wiedzę medyczną. Wycofuje szkodliwe składniki z żywności, redukuje liczbę szczepień i usuwa z nich rtęć, odebrała dotacje szanowanym periodykom medycznym, które publikowały fałszywe dane, stając się słupami sprzedażowymi koncernów. „Bill Gates przejął kontrolę nad WHO, dlatego zmuszają cały świat do szczepień" – mówi Robert F. Kennedy jr. Bill Gates, kreator filantro-kapitalizmu, zarobił na szczepionkach kilkadziesiąt miliardów dolarów. Jak sam powiedział, stopa zwrotu z inwestycji jest rekordowa – 20:1.

ŚCIGANI ZA PRAWDĘ

„Procedura administracyjna narusza domniemanie niewinności, prawo do rzetelnego procesu i zasadę proporcjonalności sankcji. Ustawa pomija obiektywne kryteria i grozi stłumieniem debaty naukowej, wolności badań i działalności niezależnych specjalistów" – mówi dr Piotr Witczak, biolog medyczny.

Kilka tygodni temu Naczelny Sąd Lekarski uchylił orzeczenie Okręgowego Sądu Lekarskiego w Poznaniu i umorzył proces o „publiczne rozpowszechnianie informacji niezgodnych z aktualną wiedzą medyczną" przez dr. Zbigniewa Martykę, który przeciwstawiał się covidowym restrykcjom i straszeniu Polaków. Jeśli „lex big pharma" wejdzie w życie, kolejni prześladowani lekarze czy przedsiębiorcy stracą szanse na opamiętanie sądu, bo urzędnik zniszczy ich sprawnie i szybko. Co mówił „szarlatan" Martyka? M.in. śmiał zwracać uwagę, że polskie państwo systemowo łamie konstytucję, zmuszając do szczepienia noworodków szczepionką BCG (w Niemczech wycofaną w 1998 r. z powodu częstych powikłań), podczas gdy nie ma żadnej możliwości wykluczenia przeciwwskazań z powodu któregoś ze składników szczepionki. Owo wykluczenie przed szczepieniem jest warunkiem zalecanym przez producenta, ale państwo polskie tak bardzo chce, by zarobił, że gorliwie szczepi dzieci natychmiast po urodzeniu, zmuszając rodziców do podjęcia ryzyka. Która z tych wiedz medycznych jest więc aktualną wiedzą medyczną?

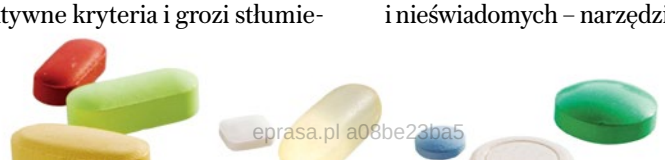
> Koncerny farmaceutyczne wydają gigantyczne pieniądze na sponsorowanie badań z wynikami pod zamówienie, na przychylność mediów, lobbing, gratyfikacje lekarzy, życzliwość polityków, uzależnianie uczelni medycznych. Płacą wielomiliardowe odszkodowania ofiarom swych produktów oraz oszustw

Dr Martyka wygrał, ale 114 polskich lekarzy nadal jest ściganych przez izby lekarskie – z groźbą odebrania prawa do wykonywania zawodu – za takie same lub podobne zbrodnie, w tym za czytanie pacjentom ulotek szczepionki czy zadawanie pytań o efekty uboczne. Oskarżycielami lub sędziami w tych procesach kapturowych są osoby pobierające wynagrodzenia od producentów.

W 18 europejskich krajach szczepienie dzieci zależy od decyzji rodziców, w pozostałych obowiązkowych jest kilka preparatów. Polska, z 42 obowiązkowymi szczepionkami, jest rekordzistą, krajem skolonizowanym przez koncerny, czarną wyspą przymusu, kłamstwa i ryzyka. Od kiedy sponsorowany przez big pharmę dr Grzesiowski został Naczelnym Inspektorem Sanitarnym, kary dla rodziców walczących o zdrowie dzieci podwoiły się.

Polskie państwo jest chore w wielu obszarach, ale w tym najbardziej. Nie potrafi zrozumieć swego interesu, traktuje Polaków jak trzodę. Dawanie urzędnikowi do ręki pały, by mógł szybko niszczyć medycynę niepodległą koncernom i rozwalać resztki niezależności dziennikarstwa, to krok w stronę totalitaryzmu. Jeśli „lex kaganiec" stanie się prawem, artykuł taki jak ten już się nie ukaże – jako niezgodny z aktualną wiedzą medyczną. Walec jedzie. Wierzę, że prezydent znów okaże się zaporą przed upiornymi pomysłami kolonizatorów oraz ich – świadomych i nieświadomych – narzędzi. Pomóżmy mu.

Fot. Shutterstock



eprasa.pl a08be23ba5

Gietrzwałd: miejsce łaski dla Polski i Polaków

W przyszłym roku będziemy obchodzić 150. rocznicę Objawień Matki Bożej w Gietrzwałdzie. Warto wiedzieć, że objawienia, które miały miejsce w warmińskiej wsi, są jedynymi w Polsce uznanymi oficjalnie przez Kościół katolicki. W całym świecie jest tylko 12 takich miejsc. Na obchody rocznicowe został zaproszony papież Leon XIV. Zaproszenie zostało przyjęte



JERZY SZMIT



Fot. Widsonet/Shutterstock.com

Gietrzwałdzkie objawienia zaważyły na historii Polski, ponieważ Maryja mówiła po polsku do nastoletnich wizjonerek. Wydarzenia miały miejsce na Warmii, która od ponad 100 lat była częścią Prus. Przypadły na szczyt prowadzonej przez Bismarcka Kulturkampf, gdy język polski był zakazany w szkole, urzędach, a z parafii, w których przeważali Polacy, usuwano księży.

Dlatego opowieść o Gietrzwałdzie trzeba zacząć od Watykanu. 6 czerwca 1877 r. przybyła tam 600-osobowa pielgrzymka Polaków z trzech zaborów. Byli zdruzgotani klęskami powstań, stratami, represjami i przygniatającą siłą zaborców. Papież Pius IX przyjął ich z całym dostojeństwem urzędu, a także bardzo ciepło i serdecznie. Zachęcał do cierpliwości, wytrwałości i odwagi mimo prześladowań. Ojciec święty wypowiedział także ważne słowa: „Błogosławię całemu Królestwu Polskiemu". Przepowiedział również klęskę ciemiężców – co dowodziło, że moralnie uznawał jedność rozdartego pomiędzy zaborców narodu

eprasa.pl a08be23ba5

polskiego i nie liczył się z przyjętymi formami watykańskiej dyplomacji.

Na drugim końcu świata był Gietrzwałd – cicha wieś na Warmii położona między Olsztynem a Ostródą. Wkrótce stał się miejscem, w którym niebo dotknęło ziemi, co wywołało lawinę, której zasięg wykraczał poza Warmię i Polskę, bo odbił się głośnym echem na świecie.

SPEŁNIONA PRZEPOWIEDNIA PAPIEŻA?

Trzy tygodnie po audiencji w Watykanie, 27 czerwca 1877 r., rozpoczęły się w Gietrzwałdzie objawienia Matki Bożej. Trwały do 16 września. Na klonie stojącym obok wejścia do kościoła 13-letnia Justyna Szafryńska i 12-letnia Barbara Samulowska zobaczyły „piękną panią", siedzącą na tronie w otoczeniu aniołów. Biły od niej jasność, spokój i radość. Powiedziały o tym ks. proboszczowi Augustynowi Weischelowi. Ten polecił dziewczynkom, aby podczas następnego spotkania zapytały: „Kto ty jesteś?". Wtedy otrzymały odpowiedź: „Jestem Najświętsza Panna Maryja Niepokalanie Poczęta". Początkowo sceptyczny ks. Weischel obserwował dziewczęta w czasie następnych objawień i szybko nabrał pewności, że są one autentyczne i stał się ich gorącym orędownikiem.

Maryja ukazywała się dziewczynkom 160 razy. Jej pierwsze słowa brzmiały: „Chcę, abyście codziennie odmawiali różaniec". Wielokrotnie mówiła, że tylko z gorliwej modlitwy mogą wynikać łaski i spełnienie próśb. W czasie objawień odpowiadała też na pytania. Jedno z nich dotyczyło nieobsadzonych parafii: „Kościół nie będzie prześladowany, a osierocone parafie otrzymają kapłanów" – warunkiem jest gorliwa modlitwa na różańcu.

Nawoływała do porzucenia nałogów, przede wszystkim picia wódki, co było wówczas wielkim problemem. Wezwała też wiernych innych wyznań, aby przychodzili odmawiać różaniec. Pobłogosławiła źródełko nieopodal kościoła. Padło też zapewnienie niosące najgłębszą istotę Boskiej obietnicy skierowanej do człowieka: „Nie smućcie się, ja zawsze będę z wami". Warto je pamiętać i powtarzać, gdy z taką siłą atakują nas zło, kłamstwo i przemoc. Matka Boża mówiła do dziewczynek po polsku. Odczytano to jednoznacznie: „W niebie nie gardzą naszą mową".

Nie wiemy, czy objawienia Matki Bożej w Gietrzwałdzie wynikały wprost z obietnicy, którą przekazał pielgrzymującym Polakom papież Pius IX. Jakkolwiek było, pojawienie się Matki Kościoła zapoczątkowało wielki ruch pielgrzymkowy. Przez pierwsze cztery lata po objawieniach do Gietrzwałdu dotarło ponad 1 mln pątników. To ok. 10 proc. ówczesnych Polaków, którzy przybywali z trzech zaborów – a 150 lat temu podróżowanie wymagało ogromnego wysiłku.

Wieść o objawieniach szybko dotarła do bp. warmińskiego Philipa Krementza, który zażądał od ks. proboszcza Weischela sprawozdania. Po jego przeczytaniu wysłał do Gietrzwałdu komisję kierowaną przez ks. Franza Hiplera. Przeczytawszy jej relację, wybrał się tam. Obserwował wizjonerki w czasie objawień, a wcześniej z nimi rozmawiał. Komisja spisała protokół, który potwierdził autentyczność objawień. Szybko został ogłoszony po niemiecku i po polsku.

Objawienia wlały w polskie serca wielką nadzieję, dla pruskich władz prowadzących antypolską i antykatolicką politykę były natomiast bardzo niewygodne. Co prawda bp Krementz zaniechał prowadzenia procedury uznania objawień, ale nie ograniczał masowych pielgrzymek i rozwoju kultu. Osiem lat później awansował – objął prestiżową sakrę arcybiskupa Kolonii.

PO WOJNIE

W styczniu 1945 r. na Warmię wkroczyły wojska sowieckie. Dla nich był to – jak powiedział Stalin – „kusok giermańskoj ziemli". Dlatego czerwonoarmiści grabili, niszczyli, palili miasta, mordowali i gwałcili. Tragicznym symbolem tego okresu był los sióstr katarzynek. W ubiegłym roku zakończył się proces beatyfikacyjny 15 zakonnic, które pozostały na Warmii ze swoimi podopiecznymi i poniosły męczeńską śmierć z rąk Sowietów. Sanktuarium w Gietrzwałdzie ocalało – było wykorzystane jako magazyn, jego ołtarz został zbezczeszczony.

W PRL komuniści otoczyli Gietrzwałd i sanktuarium „troskliwą opieką". Za pomocą różnych nacisków pozbywano się ludzi mieszkających tu od wieków, a w ich miejsce sprowadzano towarzyszy związanych z reżimem komunistycznym.

Sanktuarium stale inwigilowano. Ruch pielgrzymkowy utrudniano i ograniczano. Na odpust, który odbywa się w pierwszą niedzielę po 8 września, władze odmawiały dodatkowych środków transportu. A pielgrzymowało kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Milicja dokuczała pątnikom. Gdy w sanktuarium odbywały się uroczystości religijne, władze organizowały huczne imprezy, adresowane przede wszystkim do przedstawicieli młodszego pokolenia. Jednak Boże żarna mielą powoli, ale skutecznie.

W setną rocznicę objawień, w 1977 r., bp warmiński ks. dr Józef Drzazga wydał dekret zatwierdzający je jako wiarygodne i niesprzeciwiające się wierze oraz moralności katolickiej. Ogłoszenie dokumentu nastąpiło 1 września 1977 r. w czasie uroczystości, której przewodniczył metropolita krakowski kard. Karol Wojtyła. Gietrzwałd stał się jedynym w Polsce miejscem objawień maryjnych uznanych przez Kościół katolicki. 23 marca Ojciec Święty zezwolił na promulgację dekretu o heroiczności cnót służebnicy bożej s. Stanisławy Barbary Samulowskiej, a to kluczowy krok do kanonizacji.

Po 1990 r. utrudnienia administracyjne i polityczne zniknęły, jednak Gietrzwałd pozostał w cieniu. Jakby ktoś dbał o to, aby sanktuarium i Najświętsza Maryja Panna Niepokalanie Poczęta nie zaznawała w pełni chwały i byśmy nie czerpali łask z tego źródła. Może kiedyś dowiemy się, dlaczego nasz papież, św. Jan Paweł II, nie odwiedził Gietrzwałdu, mimo że w czerwcu 1991 r. przyjechał do odległego o 20 km Olsztyna, a 8 lat później – do Elbląga i Ełku. Podobno zdecydowały względy bezpieczeństwa – choć nie było wojny, a papież bywał w dużo bardziej niebezpiecznych miejscach.

NIE TYLKO KOPERNIK

Aby lepiej zrozumieć historyczny i społeczny kontekst objawień, warto poznać historię Warmii. Diecezja warmińska powstała w 1243 r. Tamtejsi biskupi i kapituła sprawowali na jej obszarze również władzę świecką i co ważne – byli niezależni od Krzyżaków. W 1466 r. Warmia stała się częścią Rzeczypospolitej jako księstwo kościelne.

eprasa.pl a08be23ba5


S. Stanisława Barbara Samulowska

Większość życia spędził tam Mikołaj Kopernik – właśnie na tej ziemi dokonał swoich odkryć. Biskupami warmińskimi byli kard. Stanisław Hozjusz, książę poetów Ignacy Kraszewski, Jan Dantyszek, Andrzej Batory, bratanek króla Stefana, Marcin Kromer. Na ten urząd nominowano także Eneasza Sylwiusza Piccolominiego (nie objął diecezji), który w 1458 r. został papieżem Piusem II. Na biskupa warmińskiego czekał ważny fotel w Senacie Rzeczypospolitej. Z Warmii pochodziło wielu kardynałów i prymasów Polski (ostatnim był ks. kard. Józef Glemp).

NOWE TRUDNE CZASY

Kilka lat temu poruszenie wokół Gietrzwałdu wywołał niemiecki gigant handlowy Lidl. 800 m od sanktuarium, na wzgórzu, planował wybudowanie gigantycznego centrum dystrybucji odpadów i towarów o wymiarach 440 m długości, 154 m szerokości i 28 m wysokości. W ciągu roku zamierzano transferować przez nie ponad 230 tys. t odpadów, w tym niebezpiecznych. Pomysł był absurdalny i sprzeczny z prawem. Obiekt zamierzano zlokalizować na obszarze chronionego krajobrazu, miał zajmować kilkadziesiąt hektarów chronionej, znakomitej rolniczo ziemi, wymagał przeprowadzenia ogromnych prac ziemnych – zakazanych w tym miejscu – dewastujących historyczną i chronioną Aleję św. Jakuba. Mimo to wójt gminy Gietrzwałd nie chciał wykonać raportu oddziaływania planowanego obiektu na środowisko. Także procedurę zmiany planu miejscowego warunkującą wydanie pozwolenia na budowę przeprowadził z naruszeniem prawa, co stwierdził Wojewódzki Sąd Administracyjny w Olsztynie. Pod względem logistycznym i infrastrukturalnym Gietrzwałd jest zupełnie nieprzygotowany do obsługi tak dużych i intensywnie pracujących centrów dystrybucji.

Ruszyła czteroletnia batalia o ratowanie Gietrzwałdu – protesty, początkowo lokalne, organizowano później w całej Polsce i poza jej granicami. Wokół sprawy powstał i przybierał na sile społeczny ruch odmowy. Walka trwała w sądach, mediach, na konferencjach prasowych, pod sklepami Lidla w całej Polsce podpisywano petycje. Powstał Parlamentarny Zespół ds. Obrony Gietrzwałdu. Była też cicha dyplomacja i wielka modlitwa w intencji obrony sanktuarium. Ostatecznie Lidl odstąpił od swojego pomysłu.

Niestety władze gminy w przygotowywanym planie ogólnym chcą nadal, aby na obszarze planowanym wcześniej pod centrum Lidla mogły powstać równie gigantyczne i zagrażające sanktuarium obiekty. W bliskim sąsiedztwie dopuszcza się możliwość zainstalowania farmy paneli fotowoltaicznych. Planuje się też powstanie nowego cmentarza przewidzianego na ok. 20 tys. grobów, choć w gminie mieszka tylko 7 tys. ludzi. Wójt Jan Kasprowicz nerwowo reaguje na krytykę swoich zamiarów. Nie chce tworzyć planu ogólnego, tak by sanktuarium było centrum rozwoju i życia gminy. Dlatego nie milkną protesty i zbierane są podpisy, aby Gietrzwałd i sanktuarium objąć specjalnym statusem ochrony.

GIETRZWAŁD ŻYJE

Protesty powstrzymały degradację Gietrzwałdu oraz przypomniały Polsce i Polakom, że na Warmii istnieje miejsce jedynych uznanych przez Kościół katolicki objawień Matki Bożej, równe Lourdes czy Fatimie. Sanktuarium już odczuwa wielokrotnie wzmożony ruch pielgrzymkowy. Obecnie trwają przygotowania do obchodów 150. rocznicy objawień. Zaproszenie trafiło do Ojca Świętego Leona XIV i zostało przyjęte. Co prawda są pewne trudności proceduralne, ponieważ jubileusz przypada blisko terminu planowanych na jesień 2027 r. wyborów parlamentarnych, ale co mają do tej uroczystości wybory, które odbywają się przecież co cztery lata?

Maryja z Gietrzwałdu cały czas szczodrze obdarza łaskami tych, którzy szczerze i gorliwie się modlą. Dowodem są świadectwa doznanych łask. Zbiera je ks. Rafał Przestrzelski CRL. W tym roku trafiło do niego już 10 takich świadectw. Opisują zdarzenia, które mają miejsce teraz, czasami zaszły kilka lat temu. Modlitwa działa w swoim tempie, nie szuka rozgłosu. Paulinkę ze Śląska, która miała wówczas 8 lat, dotknęła wada wzroku i zez. Musiała przejść serię operacji. Po pierwszej rodzice zabrali ją do Gietrzwałdu. Trochę z ciekawości, by zobaczyć miejsce, o którym wiele czytali. Już na miejscu, przy źródełku, Paulinka dowiedziała się, że na różańcu trzeba 50 razy odmówić „Zdrowaś Mario". Spontanicznie powiedziała: „Nie mam na to sił ani czasu, mnie wystarczy 3 razy". Wypiła trochę wody i przetarła sobie oczy. Rodzina wróciła do domu. Następną operację poprzedziły zwykłe badania. Lekarze, oglądając wyniki, nie rozumieli, co się stało – operacja nie była potrzebna. Rodzice Paulinki są przekonani, że to efekt łaski doznanej w Gietrzwałdzie.

Ilona miała wyznaczony termin porodu na 17 grudnia, ale akcja porodowa rozpoczęła się 28 września. Szpitale w Iławie i Ostródzie nie były przygotowane na tak trudne medycznie zadanie. Trzeba było jechać do Olsztyna. Po drodze jest Gietrzwałd. Ilona w żarliwej modlitwie prosiła o pomoc Matkę Bożą. W Olsztynie w Szpitalu Miejskim czekał zespół przygotowany na tak wielkie wyzwanie. Córka przyszła na świat zdrowa, ważyła 1,2 kg i mierzyła 40 cm. Lekarze zgodnie twierdzili, że nigdy nie wykonali tak trudnego zabiegu. Ilona jest pewna, że ona i córka zawdzięczają szczęśliwe rozwiązanie łasce Matki Bożej z Gietrzwałdu.

Pod koniec roku ma się ukazać pierwszy tom publikacji zbierający świadectwa doznanych łask płynących z tego miejsca. Warto odwiedzić Gietrzwałd, poznać atmosferę przesiąkniętego spokojem, wyciszeniem i modlitwą miasteczka, o którym wszyscy Polacy powinni pamiętać. Tu pielgrzymi proszą Matkę Bożą o łaski, a każdy może poczuć dobro i piękno.

W ramach przygotowań do jubileuszu objawień trwają prace remontowe bazyliki oraz budowa ołtarza polowego. Prosimy o wsparcie: numer rachunku Sanktuarium **71 8857 1067 2006 0609 8023 0002** – z dopiskiem darowizna na cele kultu religijnego – ołtarz.

Fot. Domena publiczna

eprasa.pl a08be23ba5



W tej roli Hugh Jackman połączył niemal wszystkie zawodowe i życiowe doświadczenia oraz atuty. Jego Robin Hood – rozliczający się z legendą i samym sobą – domyka galerię charyzmatycznych bohaterów ze skazą

W sporze z legendą

Fot. Xxx

eprasa.pl a08be23ba5



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA



Legendarny banita, rozsławiony też przez ekranowe opowieści, czekał na takiego aktora. W amerykańskim filmie „Robin Hood: Koniec legendy" (w reżyserii i według scenariusza polsko brzmiącego tylko z nazwiska Michaela Sarnoskiego) ikoniczny bohater mógł „stanąć w prawdzie". Skonfrontować się zarówno ze swoim kulturowym i medialnym wizerunkiem, jak i życiowym doświadczeniem, które musi towarzyszyć nawet najbardziej wyidealizowanym przekazom.

KRWAWA DROGA

Hugh Jackman sprawił, że opowieść o bandycie ściganym przez rodziny ofiar, człowieku świadomym (nadbudowywanej legendy) krwawej drogi w pełni przekonuje. I nawet w najbardziej brutalnej odsłonie broni użytych w tym przekazie środków. Drastyczne sceny, które wprowadzają widza w historię rozliczenia i domknięcia życia bohatera, mają uzasadnienie. Sięgając w początkowej fazie historii po naturalistyczną grozę, i reżyser, i odtwórca głównej roli wzmacniają (rozwijany w dalszej narracji) efekt – nie tyle przemiany bohatera, ile świadomego, nietuszującego niczego rozliczenia oraz próby częściowego zadośćuczynienia konsekwencji przeszłości.

Robin Hood Jackmana od pierwszej do ostatniej sceny jest wiarygodny, nieprzerysowany i bardzo prawdziwy. Także w wymiarze fizycznym. Dosłownie zrasta się z charakteryzacją, wypełnia ją, ale bez komputerowego wspomagania, jak to bywa w anektujących wielkie ekrany „uniwersach". Jackman zna te przestrzenie. Jako Wolverine z serii X-Men od ponad dwóch dekad jest kojarzony z wilczym mutantem. Jednocześnie – gdy prześledzi się jego zawodową drogę – widać, jak bardzo stara się udowodnić swoją wszechstronność.

W FILMOWEJ GALERII

Przypomnijmy najbardziej znane kreacje Jackmana. Galerię otwiera wspomniany Wolverine (Logan) / James Howlett (w „stajni Marvela" wystąpił aż 10 razy!). Zaraz za nim jest postać wydawałoby się z zupełnie innej bajki: Jean Valjean z „Les Misérables. Nędzników" (2012). Za tę rolę – pokazującą, jak potrafi łączyć umiejętności dramatyczne z wokalnymi – został nagrodzony Złotym Globem i otrzymał nominację do Oscara.

Pięć lat później zaprezentował się jako tytułowy „Król rozrywki" (2017) – w jednej z najbardziej rozpoznawalnych ról musicalowych w swojej karierze (ostatnio wrócił do śpiewania na ekranie w „Song Sung Blue", 2025).

Warto też wspomnieć postaci stworzone wcześniej: w mrocznym thrillerze Christophera Nolana o rywalizacji iluzjonistów „Prestiż" (2006), psychologicznym dramacie „Labirynt" (2013), w którym zagrał zdesperowanego ojca, czy ikoniczną rolę łowcy potworów w obrazie „Van Helsing" (2004).

W najnowszym filmie obdarował Robin Hooda wszystkimi wcześniejszymi aktorskimi doświadczeniami (może poza musicalowymi), a metryka oraz choroba, z jaką zmaga się od lat, dodały ekranowemu wizerunkowi niepodrabialnej prawdy.

WYPRZEDZIĆ ZMIANY

W coraz liczniejszych podsumowaniach artystycznego dorobku Jackmana niezmiennie pojawia się sugestia, iż życie aktora mogłoby stać się podstawą do niejednego scenariusza. Przyjrzyjmy się kilku wątkom.

W kreowaniu postaci zbliżającego się do kresu Robin Hooda, w jego charakteryzacji, „pomocne" okazały się zmiany, jakie na twarzy Hugh pozostawiła – poza upływającym czasem – także choroba. Aktor od lat zmaga się z nawracającym rakiem podstawnokomórkowym skóry (BCC). To najczęstszy, ale zarazem najmniej agresywny typ nowotworu skóry, który rozwija się powoli i zazwyczaj nie daje przerzutów. Jackman przeszedł już wiele zabiegów chirurgicznych, podczas których usunięto podejrzane zmiany. Od wielu lat apeluje o stosowanie kremów z filtrem, mimo że – jak stwierdził w jednym z wywiadów – ta choroba to „normalna rzecz dla Australijczyka w jego wieku".

NA POCZĄTEK SYDNEY

Jackman jest kolejnym hollywoodzkm gwiazdorem z antypodów. Zanim trafił do USA, zbierał życiowe doświadczenia nie tylko w rodzinnym Sydney.

eprasa.pl a08be23ba5

Miał osiem lat (urodził się 12 października 1968 r. jako najmłodszy z pięciorga rodzeństwa), gdy jego matka postanowiła wrócić do Anglii, zostawiając dzieci z ojcem. Po raz pierwszy wyruszył do Wielkiej Brytanii w 1982 r., by wziąć udział w weselu siostry. Po maturze przez rok pracował w UK jako asystent nauczyciela w prestiżowej szkole z internatem. Prowadził tam m.in. zajęcia sportowe. Zdarzyło mu się też uczyć przez jakiś czas klasę czternastolatków. Po latach komentował: „To ironia losu. 18-letni Australijczyk uczył angielskie dzieciaki angielskiego. Gdybym tam płacił czesne, zdenerwowałbym się".

A jak wyglądała australijska edukacja Jackmana? Bynajmniej nie zaczynał – jak wiele przyszłych gwiazd – od reklamy czy castingów do produkcji telewizyjnych. Wolał muzykę. Przez sześć lat uczył się gry na pianinie, nieobce były mu też skrzypce i gitara, ale gdy trzeba było wybrać kierunek studiów, postawił na dziennikarstwo.

PRZEZ EUROPĘ DO USA

Już z licencjatem w kieszeni zmienił plany i poszedł na kurs aktorski w Sydney's Actors' Centre. Co ciekawe, a może też charakterystyczne i dla późniejszych działań, odmówił w tym czasie przyjęcia rocznego kontraktu w serialu „Sąsiedzi". Pojechał do Perth, by szkolić warsztat aktorski na studiach dramatycznych w Western Australia Academy of Performing Arts.

Po uzyskaniu dyplomu w produkcji teatralnej na podstawie „Pięknej i Bestii" zagrał Gastona. Zaczął też przyjmować propozycje udziału w serialach. Na planie jednego z nich – „Correlli" – poznał swoją przyszłą żonę, Deborrah-Lee Furness. Rozwód (o który wystąpił Hugh) – trzy lata przed 30. rocznicą – był szeroko komentowany w mediach. Nim jednak doszło do rozpadu związku, małżonkowie wspierali się w zawodowych i życiowych działaniach. Także w drodze z antypodów przez Europę do Hollywood.

Drzwi na duży ekran otworzyły Jackmanowi musicale: „Sunset Boulevard" oraz „Oklahoma!". Przy drugiej produkcji wiązało się to z angażem do głównej roli na londyńskim West End. Powodzenie spektaklu – najpierw na scenie, a potem w wersji kinowej – sprawiło, że ponoć zastanawiano się, czy „Oklahomy!" wraz z Jackmanem nie przenieść na Broadway. Ostatecznie postawiono na amerykańską obsadę, ale Hugh stanął już na zawodowej trampolinie. Zaczął grać w filmach kinowych. Przełom przyszedł w 2000 r., gdy po raz pierwszy wystąpił w roli Logana/Wolverine'a. Od tamtego czasu robi wiele, by uciec z szuflady „superbohater" i jak widać – także po „Robin Hoodzie: Koniec legendy" – dobrze mu się to udaje.



MILCZENIE Z KLASĄ

Hugh Jackman i starsza o 13 lat Deborrah-Lee przez lata uchodzili za jedną z najbardziej zgodnych i trwałych par w aktorskim świecie. Wychowali dwójkę dziś dorosłych, adoptowanych dzieci: 26-letniego Oscara i 21-letnią Avy. Od czasu spotkania w 1995 r. podczas realizacji serialu „Corelli", w którym ona została obsadzona jako gwiazda, a on dopiero zaczynał zawodową drogę, tworzyli zgrany duet. W związku z separacją (ogłoszoną we wrześniu 2023 r.) wydali wspólne oświadczenie. Poza nim porzucona żona unikała komentarzy. Także na temat sfinalizowanego 12 czerwca 2025 r. rozwodu czy wcześniejszych poczynań Jackmana, łącznie z jego nowym związkiem.

O wiele mniej powściągliwe w kwestii prywatnego życia aktora są media społecznościowe. Wpisy pokazujące obecną partnerkę są żywiołowo oceniane. Fani nie dają zapomnieć aktorowi o Deborrah-Lee. Podkreślają też, że nieustanna praca zawodowa prędzej czy później odbija się na każdej relacji.

NA WYSPĘ SKARBÓW

A Jackman rzeczywiście nie może narzekać na brak działań artystycznych. I to bardzo różnych. Dzięki nim potwierdza prawdziwość określeń „człowiek orkiestra" czy „facet od zadań specjalnych".

W tym roku możemy go oglądać na dużym ekranie w dwóch produkcjach. „Sprawiedliwość owiec" (w polskich kinach od 8 maja) to kino familijno-detektywistyczne dla najmłodszych. „Robin Hood: Koniec legendy" sięga do mrocznej XVII-wiecznej ballady „Śmierć Robin Hooda".

Wiele wskazuje na to, że niedługo zobaczymy Jackmana w kolejnej odsłonie „Avengers". Może też wróci na Broadway. Z potwierdzonych zapowiedzi – teraz szykuje się do udziału w nowej ekranizacji „Wyspy skarbów". W filmie Ridleya Scotta zagra główną rolę – legendarnego pirata „Długiego Johna" Silvera.





HITY i KITY ZAREMBY

„Anioł zagłady” – zamknięcie w systemie?

To nowa moda: przerabianie znanych filmów na spektakle teatralne. W warszawskim Teatrze Dramatycznym Gruzin Data Tavadze wziął na warsztat „Anioła zagłady” Luisa Buñuela z 1962 r. Wyszło sugestywne, trochę tajemnicze widowisko

Punktem wyjścia jest hiszpański film mistrza Buñuela, kwalifikowany jako czarna komedia. W pewnym eleganckim domu odbywa się przyjęcie. Kiedy się kończy, goście nie są w stanie wyjść z pokoju. Pod byle pretekstami zostają u gospodarzy. Sytuacja powtarza się następnego dnia. I kolejnego...

W wizji Buñuela jest coś metafizycznie złowrogiego, ale można ją zakwalifikować jako satyrę na ówczesną hiszpańską elitę. Tavadze zachował pomysł i strzępy sytuacji, ale napisał tę opowieść na nowo. Dzieje się to bardziej współcześnie, mamy wątki niewyobrażalne w kinie za czasów Buñuela (homoseksualne amory najmłodszego gościa i lokaja).

W filmie realistyczne przyjęcie zmienia się w kataklizm. Ale dialogi pozostają realne – przy założeniu, że uwierzymy w dziwny zbiorowy bezwład eleganckiego towarzystwa. W spektaklu ten świat od początku znajduje się w rozsypce. Ucieczka służby powoduje, że sama impreza staje się wielkim chaosem, ze sztucznym jedzeniem i z tańcami bez muzyki. Są momenty naprawdę zabawne, ale sporo tu filozofowania, czasem – jak dla mnie – nawet za wiele gadulstwa. Ale trudno pozostać obojętnym wobec tej apokaliptycznej wizji.

O czym to jest, tu i teraz? Podczas spotkania z publicznością wyraźnie lewicowy Tavadze mówił, że ta niemożność wyjścia z pokoju to zamknięcie się w systemie. Ale nawet aktorzy mieli różne teorie, jak ją objaśniać. W efekcie widzowie objaśniali sobie sami. Dla pewnej pani szaleńczy taniec Franco, najmłodszego gościa (w tej roli bardzo sprawny Jakub Jankiewicz), to symbol wolności. Dla mnie – groteskowy element rozkładu. Spierano się o postać śpiewaczki Sylvi (Marianna Linde). Czy w finale jej sztuka niesie nadzieję, czy przeciwnie – ujawnia swoją bezradność?

Metafora całości jest tak pojemna, że każdy odczyta ją inaczej. Tavadze nie ułatwia nam interpretacji, mamy inny, jeszcze bardziej niż w filmie otwarty finał. Czym jest ta miotanina w niesamowitych dekoracjach Agaty Skwarczyńskiej, w dziwacznej sali pełnej luster? Wcześniejsze konwersacje jakoś oddają naturę pogubienia współczesnych elit, co znamienne – młodszych niż u Buñuela.

Jest to pięknie zagrane. Postaci są bardziej archetypami niż pełnokrwistymi ludźmi, ale balansowanie na granicy komedii i postdramatycznej symboliki wymaga aktorskiej elastyczności, inwencji, nawet kondycji. Dominują gospodarze: Krzysztof Szczepaniak (gra w dublurze z Damianem Kwiatkowskim) i Anita Sokołowska, najpierw wodzireje, potem kustosze chaosu. Oni w największym stopniu podlegają przemianom psychologicznym.

Wyróżniają się: Michał Klawiter, sztywnawy, a potem przeżywający upiorne ożywienie Generał; Mariusz Drężek jako tracący swą złotoustość polityk Raul; Anna Moskal w roli dwupłciowego, ekscentrycznego i w sumie bezradnego Lekarza; Konrad Szymański (Christian) i Anna Kłos (Leonora), postaci wyjęte z pełnokrwistej groteski w stylu Witkacego. Niesamowita jest rola wieszcza zagłady, lokaja. Sugestywnie gra go młody Jan Sałasiński (w dublurze z moim ulubionym aktorem Mateuszem Weberem).

W pozostałych rolach Agata Różycka (Leticia) i Agata Góral (Rita). Wszyscy tworzą perfekcyjny team. Czy Dramatyczny definitywnie wraca do roli animatora artystycznego fermentu? Szczególnie cieszę się, że ożyli w świetnym stylu, mniej tu wykorzystywani w ostatnich latach Szczepaniak i Klawiter. Zawsze byli markami tego teatru.

Piotr Zaremba

Fot. Teatr Dramatyczny/Karolina Jóźwiak



„Ojczyzna” – o obcości Thomasa Manna

Paweł Pawlikowski nakręcił „Ojczyznę”, film o Niemcach grany przez Niemców. To opowieść o dylematach sławnego pisarza Thomasa Manna i jego córki Eriki. Ciekawy, choć zdaniem wielu zbyt wystudzony

Kolejny czarno-biały film autora „Idy” i „Zimnej wojny” jest zwięzłym zapisem kilku dni z życia Thomasa Manna. Wiosną 1949 r. wieloletni emigrant polityczny po raz pierwszy przyjechał z córką do Niemiec Zachodnich, a potem Wschodnich, by uczcić pamięć Wolfganga Goethego. Ta podróż przyniosła mu poczucie klęski.

Pawlikowski zrobił z tego przypowiastkę, pośród historycznie precyzyjnych dekoracji Katarzyny Sobańskiej i Marcela Sławińskiego, filmowanych ze smakiem przez Łukasza Żala. Owo wysmakowanie okazało się na miarę Złotej Palmy w Cannes. Mamy dobre aktorstwo (Hans Zischler jako pisarz, Sandra Hüller jako Erika), ale na Filmwebie narzeka się, że to dzieło ładnie nakręcone, lecz pozostawia widza bez emocji.

To rzecz osadzona w klarownych realiach historycznych. W Niemczech Zachodnich Mann i Erika czują się nieswojo z powodu kontroli Amerykanów, a jeszcze bardziej dlatego, że wszędzie widzą obecność profitentów nazizmu. Symboliczne jest spotkanie córki Manna na bankiecie organizowanym przez burmistrza Frankfurtu z byłym mężem Gustafem Gründgensem, czołowym niemieckim aktorem w III Rzeszy, opisanym przez jej brata Klausa w powieści „Mefisto”.

Już się zdaje, że to punkt wyjścia do symetrycznego potraktowania obu stron zimnej wojny, jeśli nie do namalowania cieplejszego portretu pączkującej NRD. Ale nie. Na wschodzie wszystko jest wyreżyserowane przez sowieckiego oficera, a Niemcy posłusznie odprawiają nowe rytuały. Mamy nawet moment, kiedy do pokoju hotelowego Mannów wdzierają się wieści o komunistycznych represjach.

Mann zachowuje majestatyczną uprzejmość, co drażni Erikę, zarzucającą mu konformizm. Nakładają się na to ich konflikty rodzinne. Właśnie popełnia samobójstwo Klaus Mann. Mamy poczucie, że pomnik pisarza z jego wysmakowaną, europejską erudycją się chwieje. Gdy recenzent „Do Rzeczy” polemizuje z Pawlikowskim, jakby to on wyrażał idee Manna, myli się. Pisarz nie jest tu nieomylny.

To jest o nieużyteczności tradycyjnego liberalizmu w obliczu bezwzględnego starcia ideologicznego, a także obcości tego liberalizmu wobec duszy Niemców. Pisarz nie znajduje wspólnego języka z własną ojczyzną. Będę się upierał, że nie było politycznej symetrii i to USA miały rację, kreując RFN. Ale w oczach Niemca mogło to tak wyglądać. Wbrew legendzie ceną było zaniechanie tzw. denazyfikacji. Na ile Pawlikowski traktuje ową porażkę liberała jako coś aktualnego?

Film zaciekawił mnie jako przypowieść o Niemcach i o odpowiedzialności intelektualisty. Ale prawda, ogląda się go na zimno, nie porywa emocjami.

Fot. Kino Świat, materiały prasowe

POŻEGNANIE Z KOMUNISTAMI

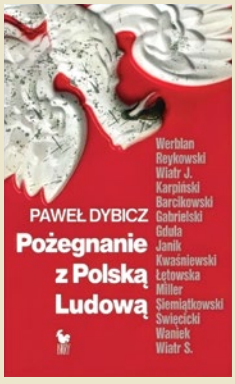
„Pożegnanie z Polską Ludową” Pawła Dybicza to zbiór wywiadów z ludźmi dawnej władzy – od Andrzeja Werblana po Aleksandra Kwaśniewskiego i Leszka Millera – o przełomie 1989 r. Dostajemy garść anegdot, ale konkluzje nie zmieniają wiedzy o tamtych czasach

W książce wypowiada się 15 osób – od postaci, których karierę zakończyła samolikwidacja PZPR, po czołówkę SLD, też (może poza Danutą Waniek) osadzoną wcześniej w PZPR-owskim aparacie. Paweł Dybicz to wicenaczelny postkomunistycznego tygodnika „Przegląd”, więc pyta, stojąc na tej samej pozycji co indagowani. Takie dzieła są pisane w zamkniętych bańkach.

Jest tu trochę ciekawych obserwacji, ale atrakcyjnych raczej dla hobbystów. Ja do nich należę, więc może kiedyś napiszę na tej kanwie coś większego. Zarazem jeśli ktoś będzie tu szukał przełomowej szczerości, to się jej nie doczeka.

Oni nadal się cenzurują i popadają w typowe dla tego środowiska (choć po trosze dla wszystkich grup politycznych) banalizmy. Podobno od lat prawie wszyscy przewidywali upadek systemu. Większość wiedziała, że wybory kontraktowe zostaną przegrane. Naprawdę przewidywał to dziś 102-letni Andrzej Werblan, chyba ostatni żyjący członek jeszcze gierkowskiego kierownictwa. Ale już pewność prof. Janusza Reykowskiego jako dawnego proroka podważa Leszek Miller. Aleksander Kwaśniewski niemal jako jedyny przyznaje się, że naiwnie wierzył w swoje zwycięstwo wyborcze.

Dybicz pyta ich o wypowiedź aktorki Joanny Szczepkowskiej: „4 czerwca 1989 r. skończył się w Polsce komunizm”. A oni w śmiech, że w Polsce nigdy nie było komunizmu. Nie było podręcznikowego ustroju bezklasowego, ale dla Polaków to po prostu synonim dyktatury trwającej do 1989 r. Można ją uzasadniać pojałtańskim układem sił i oni to robią. Ale brak tu refleksji, że tak czy inaczej uczestniczyli w czymś brzydkim, co musiało deprawować.



Najfajniejsza anegdota? W 1989 r. lista krajowa PZPR padła w ambasadzie PRL w Mongolii, gdzie pracowali głównie ludzie służb. Rozmówców łączy także niechęć do gen. Józefa Baryły, szefa wojskowych politruków. Podobno był ograniczony. Ale czy tylko on?



Daleko im do gwiazd

Filmowcy zarabiają nieźle, ale są niezadowoleni. Większość nie otrzymuje pieniędzy na czas, pogłębił się podział na dobrze zarabiającą elitę i wyrobników oraz pogorszyły warunki pracy. Cyfrowy rynek i zmiany kulturowe dają w kość, więc wszyscy szukają pomocy państwa



MACIEJ WALASZCZYK

Strajk scenarzystów, który w 2023 r. ogarnął Hollywood, wydawał się czymś niedorzecznym. Ale porozumienie ze studiami filmowymi – wynegocjowane wiosną przez reprezentującą ich interesy Amerykańską Gildię Scenarzystów – było reakcją na wtargnięcie technologii sztucznej inteligencji do sztuki filmowej oraz koniecznością dopasowania honorariów i warunków pracy do rynku zdominowanego przez serwisy streamingowe.

To nic nowego. Wprowadzenie dźwięku na przełomie lat 20. i 30. XX w. było jedną z rewolucji, które nie tylko złamały kariery wielu aktorów kina niemego, lecz także zwiększyły koszty produkcji filmowej. Wywołało to falę bankructw małych wytwórni, zwiększając jednak dominację wielkich studiów i skalę produkcji. W konsekwencji wsparta ogromnym zapleczem technologicznym „fabryka snów" sprawiła, że kinematografia, np. francuska, stanęła pod wielką presją. Film stał się wszak ważną branżą, organizującą wyobraźnię mas i przynoszącą duże zyski.

Prężna w tym czasie lewica wymusiła wprowadzenie systemu wsparcia socjalnego kadry technicznej pracującej przy produkcji filmowej. I tak w ojczyźnie braci Lumière wielokrotnie renegocjowany system obowiązuje do dziś. Choćby prawo do zasiłku dla techników filmowych i audiowizualnych, wypłacanego między okresami czasowego zatrudnienia. Do tego państwowy fundusz wypłaca premie firmom zapewniającym etaty.

Po wojnie konsekwentnie budowano narodowe programy dofinansowania produkcji filmowej. Teraz gwałtowne zmiany

Fot. Shutterstock

eprasa.pl a08be23ba5

rynkowe i technologiczne sprawiają, że również polska branża audiowizualna domaga się wsparcia. Za różnego rodzaju benefitami lobbują producenci, a w konsekwencji odzywają się też zepchnięci do roli prekariatu pracownicy branży audiowizualnej. I chodzi tu nie tyle o aktorów, ile całe zaplecze produkcyjne, którego problemy zdają się odzwierciedlać bolączki wielu innych zawodów. Umowy zlecenia, samozatrudnienie, opóźnienia w wypłatach, fikcja Kodeksu pracy, brak stabilizacji, a w końcu frustracja i wypalenie zawodowe. Branża kreatywna rodzi dzieła niewymierne i jest obarczona ryzykiem, tymczasem wołanie o cywilizowane warunki zatrudnienia przypomina głos robotników prywatyzowanych i restrukturyzowanych branż czasu transformacji.

ŚMIECIÓWKI I OCZEKIWANIE NA PRZELEW

Na zlecenie Związku Zawodowego Filmowców powstał więc raport „Wynagrodzenia w branży audiowizualnej", którego sporządzenie było współfinansowane przez Polski Instytut Sztuki Filmowej. Sektor produkcji audiowizualnej zatrudnia coraz więcej osób, obejmując produkcje fabularne, dokumentalne i animowane, zarówno filmowe, jak i serialowe oraz reklamowe. Szczególnie seriale cieszą się przecież niesłabnącą popularnością. Jest dużo produkcji i pracy, ale za mniejsze pieniądze, a zawody związane z kinematografią pauperyzują się.

Zbadano więc nastroje reżyserów, operatorów, scenografów, montażystów, producentów – w przeważającej mierze twórców z wieloletnim stażem i wysokim poziomem wykształcenia. Są niezadowoleni i boją się o przyszłość. Oczywiście zdecydowana większość nie ma już dziś etatów w studiach filmowych i pracuje wyłącznie na podstawie umów cywilnoprawnych lub kontraktów projektowych. Według danych European Audiovisual Observatory ponad 90 proc. firm w branży to firmy zatrudniające na stałe mniej niż 10 pracowników. A samozatrudnienie wiąże się nie tyle z wolnością, ile z całkowitą nieregularnością dochodów oraz dużym polem do uznaniowości i nadużyć.

Np. wielu z nich skarży się, że regularnie wykonuje pracę, która formalnie nie należy do ich obowiązków. Badanie wskazuje też na powszechny brak przejrzystości w rozliczeniach. Z danych wynika, że nawet 75 proc. osób pracujących w produkcji audiowizualnej otrzymuje wynagrodzenie z opóźnieniem – w skrajnych przypadkach sięgającym kilku miesięcy. Największy odsetek takich sytuacji dotyczy pracowników produkcyjnych oraz scenograficznych. Większość z nich jest rozliczana w systemie dniówkowym, przy stosunkowo niewielkich różnicach stawek.

– Spotykam się z tymi praktykami właściwie, odkąd pracuję, a więc od ponad 20 lat. Wystawiam fakturę z 14-dniowym terminem płatności, a pieniądze i tak dostaję po dwóch miesiącach, bo podwykonawca czeka na płatność. To wręcz reguła – przyznaje jeden z operatorów pracujących np. przy znanym serialu „Ojciec Mateusz".

Jak tłumaczą filmowcy, produkcja filmów i seriali w znacznym stopniu bazuje na pracy projektowej. Od lat narastają więc napięcia wokół warunków i niestabilnych form zatrudnienia oraz niejasnych standardów wynagradzania. Dane na temat wynagrodzeń nie pochodzą jednak z analizy umów zawieranych z twórcami, ale tego, co ujawnili w czasie badania.

Niemal połowa z nich zarabia od 7,2 tys. zł do 14 tys. zł netto miesięcznie. Jednocześnie co czwarty respondent deklaruje dochody poniżej 7,2 tys. zł, a 27 proc. przekracza poziom 14 tys. zł netto. Najwyższe wynagrodzenia najczęściej otrzymują osoby pracujące w scenografii oraz części zawodów operatorskich i produkcyjnych. Choć są one względnie wysokie, to jednak warunki zarobkowania budzą powszechną frustrację. Filmowcy narzekają też na brak wynagrodzenia za pracę „niewidzialną", domagając się uwzględniania pracy przygotowawczej i podsumowującej, liczenia godzin pracy niezależnie od formy zatrudnienia, a więc czytelnych widełek stawek. Oczywiście niemal nikt nie deklaruje chęci odejścia z zawodu, bo to, czym się zajmują, robią z pasji.

13-GODZINNY DZIEŃ PRACY

Jakiś czas temu ZZF zlecił też badania dotyczące czasu pracy i odpoczynku, problemu nadgodzin oraz pracy w niedziele i święta. Okazało się, że na planach filmowych dzień pracy trwa 13 godzin, w serialach o 20 minut krócej, ale przy produkcji materiałów reklamowych – prawie 13,5 godziny. Niemal 80 proc. twórców przyznało też, że w okresie zdjęciowym nie mogą korzystać z przerwy. Jak wiadomo, zdjęcia to okres pochłaniający 70 proc. budżetu, a więc zawsze liczy się czas, ścisły harmonogram i pieniądze. Cały dodatkowy ciężar jest więc zrzucany na ekipy. Zarówno w okresach przygotowawczych, jak i podczas dni zdjęciowych połowa z nich wiązała się z nadgodzinami, a w przypadku jednej czwartej zatrudnianych stanowiły one normę. I oczywiście średnio połowa z nich nie była z tego tytułu wynagradzana. Także praca w niedziele nie jest wyjątkiem, ale powszechną praktyką, którą zadeklarowało aż 89 proc. filmowców.

Witold Płóciennik, przewodniczący ZZF, choć spodziewał się takich wyników, to przyznał, że były one dla niego porażające. „Pracujemy średnio 13 godzin dziennie. Gdzie tu jest czas na życie? Gdzie czas dla siebie, dla bliskich, dla rodziny?" – komentował, podkreślając, że obraz ten wpisuje się w szerszy kontekst, w którym Polska jest krajem ludzi od lat pracujących dłużej niż średnia europejska, bo ok. 40,5 godziny tygodniowo, co sprawia, że zajmuje niemal ostatnie miejsce w Europie pod względem zachowania równowagi między życiem prywatnym a zawodowym.

KRUCHE PODSTAWY FINANSOWE

Badanie zostało przeprowadzone w momencie gwałtownego wzrostu popularność serwisów streamingowych i rozproszenia dystrybucji filmów na różne platformy.

Trzy lata temu swój raport opublikowała Krajowa Izba Producentów Audiowizualnych, w którym wskazano, że choć Polska nie należy do światowych liderów na globalnym rynku audiowizualnym, to *per capita* produkuje się u nas więcej filmów niż w Chinach czy Indiach. Ogólnie rynek rośnie, choć rodzima produkcja narzeka na kruche podstawy finansowe produkcji. Aż 90 proc. filmów nie powstałoby bez wsparcia państwa, a więc dotacji Państwowego Instytutu Sztuki Filmowej

eprasa.pl a0be23ba5

lub pieniędzy odzyskanych w ramach systemu cash rebate, a więc zwrotu 30 proc. środków wydanych w kraju. Były to zachęty wprowadzone przez rząd PiS, które rozeszły się wręcz błyskawicznie. Obecnie Polska Gildia Producentów chciałaby zwiększenia tej kwoty i usunięcia wielu wymogów stawianym filmom. Chcieliby po prostu, aby obrazy takie jak „Zielona granica" były finansowane z kasy państwowej, choć obecny rząd niestety sowicie dofinansował jego promocję za granicą. Sytuacja jest taka, że gdy film czy serial nie jest kontraktowany przez dużą stację (TVP, HBO) czy platformę (Netflix, MAX, Polsat Box Go) lub nie ma strategicznego sponsora, to aby odzyskać pieniądze i zarobić, trzeba go dopiero sprzedać i czekać. Dlatego niemal 80 proc. producentów doświadcza problemów z płynnością finansową, domagając się różnych form finansowania pomostowego. Bo na końcu sytuacja uderza w ludzi, skutkując przestojami w płatnościach bieżących faktur.

– Mamy tu wciąż lata 90., a więc są ludzie zarabiający kupę pieniędzy i tacy, którzy są wyrobnikami. Gdy startowałem w 2013 r., próg wejścia na rynek nie był tak kiepski jak teraz, bo ostatecznie pandemia i wywołane nią dotacje państwowe premiujące najsilniejszych sprawiły, że warunki dyktują platformy streamingowe, a liczą się już tylko wielkie firmy producenckie – opowiada były już producent.

CYFROWA KOLONIZACJA

Branża audiowizualna jest bowiem wyjątkowo podatna na zmiany kulturowe, ekonomiczne i technologiczne. Stąd gwałtowne spory wokół implementacji unijnej dyrektywy DSM, regulującej kwestię tantiem dla filmowców za prezentację ich filmów i seriali za pośrednictwem m.in. Netfliksa, Amazona czy Apple TV.

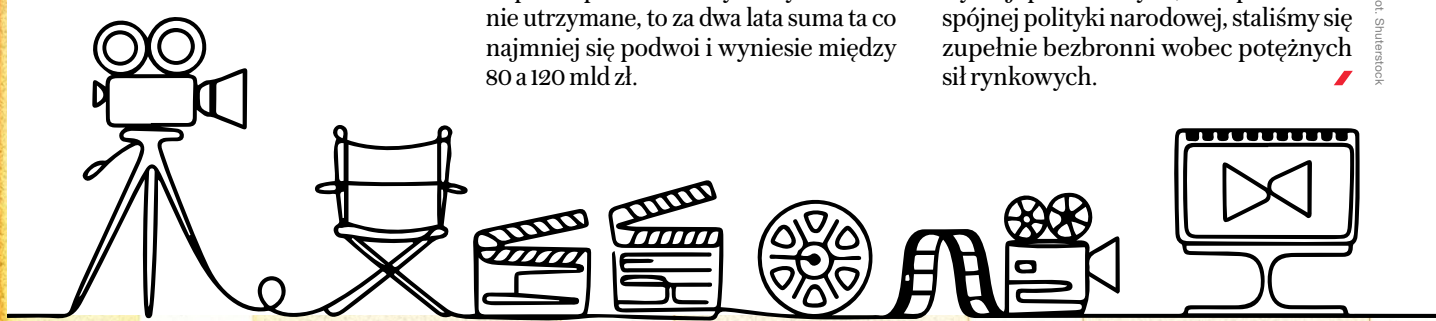
W głośnym ostatnio „Cyfrowym bilansie Polski", przestrzegającym przed cyfrowym uzależnieniem, a nawet apelującym o cyfrową suwerenność, to właśnie szok spowodowany pandemią COVID-19 był katalizatorem procesów cyfryzacyjnych. W konsekwencji import tego rodzaju produktów, liczący w 2016 r. zaledwie 9 mld zł, w ubiegłym roku wyniósł ok. 48 mld zł. Te środki jeszcze niedawno były lokowane na polskim rynku, m.in. w rodzimych mediach i usługach. Teraz coraz szerszym strumieniem wypływają nie tylko z Polski, lecz także z Europy, głównie do USA i Chin. Chodzi tutaj nie tylko o programy i aplikacje, gry, usługi e-commerce czy chmury z danymi, lecz w coraz większym stopniu także o muzykę i filmy. Jak szacuje autor raportu dr Jan Oleszczuk-Zygmuntowski, jeżeli zbliżone do obecnego tempo wzrostu importu produktów cyfrowych zostanie utrzymane, to za dwa lata suma ta co najmniej się podwoi i wyniesie między 80 a 120 mld zł.

> Pracownicy ekip filmowych, np. operatorzy, dźwiękowcy, charakteryzatorzy, scenografowie, zarabiają od 7,2 tys. zł do 14 tys. zł netto miesięcznie. Jednak 75 proc. z nich otrzymuje wynagrodzenie z opóźnieniem – wynika z raportu „Wynagrodzenia w branży audiowizualnej"

CIEMNA STRONA GLOBALNEGO RYNKU

Paradoks całej sytuacji polega na tym, że obowiązujące od ponad 35 lat kapitalistyczne zasady zaczęły doskwierać tym, którzy początkowo dobrze na nich wyszli. Producenci bronią się, że produkcja filmowa charakteryzuje się „specyficznymi przepływami pieniężnymi", nieznanymi w innych branżach i banki, np. analitycy kredytowi, nie potrafią dostrzec potencjalnego sukcesu rynkowego, nie mając specjalistycznej wiedzy na ten temat. To, co było sposobem na szybkie pieniądze, pobudzało kreatywność i szybką reakcję na potrzeby publiczności, teraz okazuje się destabilizatorem, a pomocy szuka się u osłabianego przez lata państwa.

Środowisko filmowców, broniąc swoich interesów, mówi więc o konieczności „ucywilizowania" zatrudniania ekip filmowych, wypracowania „wspólnych standardów" z producentami i instytucjami takimi jak PISF oraz Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Np. ujednoliconych zasad pracy, mających im gwarantować „godne i bezpieczne warunki pracy" i rozliczania z ich przestrzegania producentów, korzystających przecież obficie z państwowych pieniędzy, a więc z dotacji PISF czy zamówień TVP. W realiach globalizacji oraz cyfrowego feudalizmu coraz więcej grup zawodowych i społecznych, czasem o odmiennych sympatiach politycznych, zorientowało się, że bez instytucji państwowych, a na pewno bez spójnej polityki narodowej, staliśmy się zupełnie bezbronni wobec potężnych sił rynkowych.



Fot. Shutterstock

eprasa.pl a08be23ba5

Dział przygotowywany we współpracy z miesięcznikiem GAZETA BANKOWA

Poznaliśmy najlepszych młodych fanów ekonomii w Polsce!



Mistrzostwa Polski Młodych Ekonomistów – finaliści i laureaci

Za nami finał 20. Mistrzostw Polski Młodych Ekonomistów oraz projektu „Żyj finansowo!" 2026 i uroczyste wręczenie nagród laureatom. Czy jest wśród nich przyszły minister finansów – nie wiemy. Z pewnością jednak mieliśmy okazję poznać najlepszych amatorów ekonomii w Polsce, adeptów sztuki zarządzania budżetem – tym najważniejszym, bo domowym. Zwycięzcom gratulujemy!



MACIEJ WOŚKO

Uroczysta gala była zwieńczeniem dwóch ważnych inicjatyw edukacyjnych organizowanych przez Stowarzyszenie Krzewienia Edukacji Finansowej – 20. edycji konkursu Mistrzostwa Polski Młodych Ekonomistów (skierowanego do uczniów szkół podstawowych) oraz finału projektu dla szkół ponadpodstawowych „Żyj finansowo! czyli jak zarządzać finansami w życiu osobistym".

ODPOWIEDZIALNE WYBORY I CYBERBEZPIECZEŃSTWO

Uczestnicy Mistrzostw Polski Młodych Ekonomistów mierzyli się z hasłem „Finansowy zawrót głowy a odpowiedzialne wybory", natomiast młodzież biorąca udział w projekcie „Żyj finansowo!" zgłębiała temat „Finanse osobiste w obliczu cyberzagrożeń".

W 20. edycji konkursu Mistrzostwa Polski Młodych Ekonomistów pierwsze miejsce zajął Kacper Zagórny ze Szkoły Podstawowej nr 5 im. Stefana Żeromskiego w Ostrowcu Świętokrzyskim, zdobywając aż 77 pkt. Jego wiedza i dojrzałość zrobiły na zgromadzonych ogromne wrażenie, zwłaszcza gdy zapytany o to, na co przeznaczy nagrodę główną w wysokości 3 tys. zł, bez wahania odparł, że zainwestuje w obligacje Skarbu Państwa. Na podium konkursu znaleźli się również: Tobiasz Biały, Szkoła Podstawowa im. Ludwiki Wawrzyńskiej w Biskupicach Zabarycznych (drugie miejsce) i Michał Kotarzewski, Szkoła Podstawowa w Kijach (trzecie miejsce). Pozostałe pozycje zajęli: Wojciech Wilczyński, Szkoła Podstawowa nr 15 im. Królowej Jadwigi w Opolu; Zuzanna Jakielaszek, Szkoła Podstawowa im. Świętej Jadwigi Śląskiej w Kunicach; Oliwia Sieracka, Szkoła Podstawowa nr 65 w Bydgoszczy; Jan Wojtkowski, Szkoła Podstawowa nr 1 im. Baonu Nadbużańskiego AK w Łochowie; Julia Bożejko, Zespół Placówek Oświatowych – Szkoła Podstawowa w Kijach; Maja Suska, Szkoła Podstawowa nr 1 im. Baonu Nadbużańskiego AK w Łochowie; Adam Mówka, Publiczna Szkoła Podstawowa nr 15 im. Królowej Jadwigi w Opolu; Julian Grotkowski, Szkoła Podstawowa nr 1 im. Baonu Nadbużańskiego AK w Łochowie; Julia Jarocka, Szkoła Podstawowa z Oddziałami Mistrzostwa Sportowego w Kwidzynie.

ŻYJ FINANSOWO

W projekcie dla szkół ponadpodstawowych „Żyj finansowo!" triumfowała Gabriela Sapor z Zespołu Szkół w Pniewach (woj. wielkopolskie), która oddała swoją pracę w rekordowo krótkim czasie, uzyskując najwyższy wynik. Kolejne miejsca zajęli: Marcel Bernacik, Powiatowy Zespół Szkół w Błaszkach i Paweł Włodarczyk, Techniczne Zakłady Naukowe w Częstochowie. Pozostałe pozycje zajęli: Hubert Sondej, Zespół Szkół Inżynierii Środowiska w Toruniu; Zuzanna Porębska, Zespół Szkół nr 2 w Jastrzębiu-Zdroju; Mark Tarusin, Techniczne Zakłady Naukowe w Częstochowie; Anastazja Wesołowska, VII Liceum Ogólnokształcące w Bydgoszczy; Hubert Kubaja, Zespół Szkół Zawodowych w Ostródzie; Norbert Włodarczyk, Zespół Szkół w Pniewach, i Amelia Szmyt z VII Liceum Ogólnokształcącego w Bydgoszczy.

ZNAKOMICI GOŚCIE I SPRAWDZENI PARTNERZY

Patronat honorowy nad finałami Konkursów objęła małżonka Prezydenta RP, pani Marta Nawrocka. Wyróżniono także Patronów, Partnerów i Sponsorów, a podziękowania skierowano do Krajowej Spółdzielczej Kasy Oszczędnościowo-Kredytowej, która objęła patronat nad XX edycją Konkursu MPME, Kasy Stefczyka, która pełniła rolę Sponsora nad finałem XX edycji Konkursu MPME, Polskiej Izby Ubezpieczeń – Sponsora Konkursu „Żyj Finansowo!" i Saltus Ubezpieczenia – Partnera w obu konkursach oraz Patronów medialnych XX edycji Konkursu MPME: tygodnika „Sieci", portali wGospodarce.pl i wPolityce.pl oraz telewizji wPolsce24.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl a08be23ba5



LESZEK TALKO*

Pod słońcem Toskanii

Jeśli chcemy oszołomić gości – a zwykle chcemy – to idziemy na spacer wśród winnic



Leszek, Ewelina, Bruno

„Siedzieliśmy w mieszkaniu w Polsce, za oknami było szaro i zimno. Właśnie wróciłem ze spaceru z psami. Na skwerku znowu ktoś wysypał górę śmieci. Na ławce spało dwóch pijaków.

– A co byście powiedzieli na to, żeby zamieszkać w Toskanii? – zapytałem. [...]

Dwa tygodnie później kupiłem bilety do Pizy. Trzy tygodnie później znaleźliśmy trzy domy, które nam się spodobały.

– To który? – zapytałem Ewelinę.

– Ale to przecież wariactwo – skrzywiła się.

– Wariactwo to siedzieć tutaj i czekać nie wiadomo na co. Ile miałaś zleceń na fotografie?

– Żadnego – powiedziała.

– A ja nie miałem żadnego na pisanie. Co lubimy robić?

– Jeździć, zwiedzać dziwne miejsca, spotykać nowych ludzi, chodzić po górach, siedzieć nad morzem...

– Ilu nowych ludzi spotkaliśmy ostatnio? – zapytałem.

– Żadnego.

– A ile ciekawych miejsc jest w okolicy?

– Żadnego.

– A jak daleko w góry i nad morze?

– Pół dnia drogi.

– No to który dom w Toskanii? Z tych trzech najładniejszych?

– Pierwszy. A ty?

– Ja też pierwszy. No to kupię – powiedziałem.

– Ale tak po prostu?

– Tak. Przecież się w nim zakochaliśmy. Po prostu. [...]".



Tak zaczęła się życiowa przygoda rodziny Leszka Talki – pisarza i felietonisty, który kilka lat temu rzucił wszystko i kupił starą willę na toskańskiej prowincji. Tak zaczyna się też pełna słońca książka „Dolcze wita", która właśnie trafia do czytelników.

346 stron: tekstu (pisanego dowcipnie i ciepło), zdjęć (bardzo „własnych", uważnych, oddających atmosferę i charakter włoskiego życia – wraz z temperamentnymi sąsiadami, nieokiełznanym chaosem, witalną autentycznością i sprzecznościami Italii) oraz ilustracji (podobnie jak tekst i zdjęcia – celnych i osobistych). Warto się wybrać w tę podróż.

Jolanta Gajda-Zadworna

** Autor książki „Dolcze wita"*



Nasza willa po prawej, po lewej na dole – chmury

Fot. Ewelina Lisiecka, materiały prasowe



Diabelski Most przetrwał wojny, powodzie i 800 lat. I wciąż stoi



SŁODKO-SŁONY

Pomysł na piknik

ANNA MONICKA

Krótki wyjazd w góry i niespodzianka – jeszcze trzy lata temu, gdy zamawiałam bezglutenowe jedzenie dla córki, proponowano mi co najwyżej sałatkę z grzankami i kelnerzy dziwili się, gdy prosiłam o zdjęcie chrupek z wierzchu. Teraz w wielu lokalach, a nawet schroniskach, do karty dań dołączona jest lista alergenów. To nie wpływa znacząco na menu i dalej nie ma szału. Córka może zazwyczaj zjeść gotowane ziemniaki, surówkę z kapusty czy marchewki i popić je czystym barszczem lub kwaśnicą – pod warunkiem, że nie zaprawiono jej mąką. Gdzieniegdzie trafia się pieczony pstrąg bez panierki. Wybór nadal jest raczej ograniczony, a w knajpkach królują potrawy z dodatkiem pszenicy, która jest nawet w przyprawach. W pewnym miejscu kelnerka specjalnie prosiła kucharza, by nie posypywał nimi grillowanego kurczaka.

Jeśli ktoś cierpi na nietolerancję glutenu (o celiakii już nie wspomnę), w wakacje jest skazany na własne żywienie. My ciągniemy ze sobą nie tylko spiżarenkę wypełnioną specjalnym jedzeniem dla córki, lecz także szukamy apartamentów z kuchnią, a nie tylko z czajnikiem. Oczywiście w czasie wyjazdu w góry nie zamierzam spędzać kilku godzin na gotowaniu, więc w torbie-lodówce jadą też rosół i pomidorowa w słoikach, ryż jaśminowy i makaron z czerwonej soczewicy. Kiedyś polowałam na niego w ekologicznych sklepach internetowych, teraz coraz częściej można go kupić nawet w sieciówkach.

Ma same zalety. Córka bardzo cierpiała, kiedy się okazało, że gluten jej szkodzi. Jakoś pogodziła się z tym, że nie może jeść pierogów, ale jak odmówić sobie ukochanej carbonary czy bolognese?

Makaron z soczewicy z powodzeniem zastąpi ten tradycyjny. Ba, jest znacznie zdrowszy, bogaty w białko (doskonały dla wegetarian), a nie tylko węglowodany i zapobiega skokom cukru oraz napadom głodu. Nadaje się do wszystkich dań obiadowych, smakuje bardzo podobnie do pszenicznego, ale zachowuje jędrność po wymieszaniu z warzywami i polaniu sosami, stanowi więc doskonałą bazę do rozmaitych letnich sałatek. Nasza ulubiona – ze świeżych pokrojonych w kostkę pomidorów i ogórków, cebuli, kaparów i sera szopskiego, polana sosem winegret z oliwy, octu jabłkowego lub soku z limonki i musztardy – zamienia się w pełnowartościowe danie obiadowe. Można ją modyfikować, dodawać inne sezonowe warzywa – surowe i grillowane. Na rodzinne party pod jabłonką jest idealna.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Kalendarz gospodarski

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Właśnie zaczął się sezon na zwalczanie niektórych obcych gatunków roślin w celu powstrzymania ich inwazyjnego rozprzestrzeniania się i zagłuszania rodzimych zbiorowisk roślinnych.

Przyjrzyjmy się dolinom rzecznym. To tymi naturalnymi korytarzami, skądinąd niezbędnymi dla funkcjonowania przyrody, rozprzestrzeniają się również gatunki obce. Nie wszystkie zwalcza się łatwo i nie wszystkie da się zwalczyć własnym sumptem. Są jednak takie, których powstrzymanie do pewnego stopnia leży w zakresie indywidualnych działań.

Co roku nad Biebrzą organizowane są Mistrzostwa Świata w Koszeniu Biebrzańskich Łąk dla Przyrody „Biebrzańskie Sianokosy". Każdy chętny może z kosą w ręku zmierzyć się z trzcinami zarastającymi nadrzeczne łąki. Trzcina jest gatunkiem rodzimym, a jej rozrastanie się to proces naturalny. W wielu przypadkach trzcinowiska są bardzo potrzebne, np. jako pas wokół jezior, w którym gniazdują ptaki, pod osłoną którego dorasta narybek, a na podwodnych łodygach polują larwy ważek. Czasem jednak, stosując ochronę czynną, powstrzymuje się zarastanie wielogatunkowych łąk przez trzcinę, aby – zachowując niezbędną powierzchnię trzcinowisk – zabezpieczyć też siedliska gatunków rzadkich, które nie wytrzymałyby naporu trzciny: storczyków, kosaćców, czajek, kszyków, rycyków, motyli.

Tym bardziej trzeba więc wstrzymywać napór inwazyjnych gatunków obcych. Można to robić podobnie jak w przypadku nadbiebrzańskich sianokosów, czyli spędzając czas w ruchu na świeżym powietrzu, ze świadomością, że rekreację łączy się z działaniami korzystnymi dla ekosystemu. Czy będzie się to robiło za pomocą kosy, bardziej tradycyjnego sierpa czy innego narzędzia – to już kwestia pomysłowości zależnej od indywidualnych preferencji.

Obecny okres sprzyja zwalczaniu nawłoci kanadyjskiej i nawłoci późnej oraz niecierpka gruczołowatego (himalajskiego). Opanowują one głównie doliny rzeczne. Teraz są już wyrośnięte, można je więc usunąć z nadzieją, że nie zdążą odrosnąć. Stosunkowo łatwo je również odnaleźć – warto wcześniej sprawdzić, jak wyglądają przed kwitnieniem. A ponieważ nie mają jeszcze kwiatów, nie zostały zapylone i nie mają zawiązków nasion, po skoszeniu można je zostawić na miejscu, by się rozłożyły, bez ryzyka obsiania.

eprasa.pl a08be23ba5

3 MIŁOŚCI

Final Age



ROBERT TEKIELI

Historia się nie skończyła, choć prawdziwą politykę uprawia 9, może 10 krajów na świecie. W ciągu dwóch dekad Turcja z kraju zależnego od Stanów Zjednoczonych i Europy stała się graczem, od którego zależą losy jednego z czterech najważniejszych teatrów strategicznych naszego globu. Pierwszym krokiem na drodze do suwerenności strategicznej była wola polityczna tureckiej elity. Czy w Polsce, leżącej pomiędzy Waszyngtonem, Berlinem a Moskwą, może zrodzić się suwerenny ośrodek polityczny i przejąć władzę? Pokolenie 40-latków wielokrotnie ogłaszało piórami swych publicystów, że generacja, z której wywodzą się rządzący dziś Polską politycy, jest niezdolna do osiągnięcia stanu wewnętrznej suwerenności. Czy to pokolenie samo jest wystarczająco duchowo suwerenne? Będziemy to wiedzieć w ciągu najbliższych trzech, pięciu lat. A może czas Polski po prostu już przeminął?

Czym jest polskość? Czy rację ma prof. Andrzej Nowak, że kształtowała się już od czasów mistrza Kadłubka w opozycji do idei imperialnej jako obywatelska rzecz wspólna, rzecz pospolita?

Imperia powstają poprzez odwołanie się ich twórców do transcendencji. Cywilizacje są tworzącym się organicznie dziełem rozumu i zmysłu wiary. Imperia się tworzy. Cywilizacje powstają. Cywilizacje tworzą imperia. Za bardzo zainteresowana nami Rosja głosi, że toczy cywilizacyjną wojnę z całym Zachodem. Lecz nie jest cywilizacją – jest politycznym konstruktem.

Brodski pisał, że religijny fundament Rosji został zbudowany przez Bizancjum. Moskwa wywiozła z Konstantynopola cesarską koronę. Mieni się świętą Rusią, car chce być traktowany jako król królów. Zupełnie bezpodstawnie, z własnego nadania. Oto problem ludzi wzrastających w cieniu greckich teatrów, rzymskich koloseów i paryskich katedr. Rosja to cywilizacja europejskich kulturowych nuworyszy. Jej mit „świętej Rusi" jest dość prostackim narzędziem agresywnego imperium. Europa się zdechrystianizowała, jednak także prawosławie wydaje się dziś wydmuszką. Muezzini u bram Moskwy i Rzymu.

A polskość nie jest kontrideologią wobec rosyjskości. Jest mierzeniem się polskiej wspólnoty z Bogiem i rzeczywistością. Polska była silna, gdy odrzucała myślenie w kategoriach imperium, siły, mitologii, PR-u czy perswazji. Liczyła się w świecie, gdy jej siłą była najpierw uniwersalna, promieniująca na sąsiadów kultura. Dopiero za nią szła pozycja militarna.

Pomiędzy Moskwą a Berlinem nie ma miejsca na błędy. Musimy robić to, co zawsze. Szukać siły w poszukiwaniu prawdy. Sztuką, literaturą, nauką i wiarą.

Pomiędzy Moskwą a Berlinem nie ma miejsca na błędy. Musimy robić to, co zawsze. Szukać siły w poszukiwaniu prawdy. Sztuką, literaturą, nauką i wiarą. To my, a nie Rosja, jesteśmy szansą dla zlaicyzowanego Zachodu, dla tej jałowej ziemi Ulro

To my, a nie Rosja, jesteśmy szansą dla zlaicyzowanego Zachodu, dla tej jałowej ziemi Ulro. Dla tej chorej cywilizacji i dla umierającej kultury, która pojęciami zabiła symbole. Usychającej w paroksyzmach nihilizmu i pop-satanizmu religijności, która wysuszyła chrześcijańską liturgię tak, że przestała trafiać do serc. Dla Europy jesteśmy szansą. Nasza maryjność, nasz śpiewny rytuał. Jesteśmy inni. Pytanie, czy pod plugawą skorupą i żużlem, w głębi żarzy się jeszcze wewnętrzny ogień. Czy nasz naród jest jeszcze zdolny do odrodzenia się, czy pozbawiony elit został skazany na mimetyczne odtwarzanie zewnętrznych kształtów nieistniejącej już Europy? Czy nasz naród, żyjąc na nizinie, po której hulają historyczne przeciągi, ma wewnętrzną siłę, wystarczającą do zbudowania się na nowo?

Od czasów potopu szwedzkiego Polska była po wielokroć miażdżona. Inaczej było w Starej Europie. Najbogatsza rodzina we Florencji w 1427 r. jest najbogatszą rodziną we Florencji dzisiaj. 15 lat temu ekonomiści Guglielmo Barone i Sauro Mocetti z Banku Włoch zestawili dane z XV w. z rejestrem z 2011 r. Okazało się, że nazwiska osób, które były najbogatsze 600 lat temu, wciąż znajdują się na szczycie. 900 nazwisk, 25 pokoleń. W Polsce ten łańcuch został przecięty i to brutalnie. Niemcy zniszczyli warstwę ziemiańską, PRL znacjonalizowała fabryki, odebrała kamienice i wywłaszczyła ziemię. Zmiażdżona tkanka. Czy do odtworzenia? Ile pokoleń musiałoby minąć, byśmy mogli oprzeć swój byt na wewnętrznym, gospodarczym fundamencie?

Ostatnie 30 lat to naprawdę imponujący skok cywilizacyjny naszego kraju. Narodowe tkanki są tworzącym się organicznie dziełem rozumu i zmysłu wiary. Duch. Być może tutaj należy szukać naszej szansy. Bo jesteśmy inni.

Człowiek Zachodu mieszka na ziemi jałowej, na ziemi Ulro. Od czasów renesansu pogaństwa, jego wyobraźnia, serce jest przeciwstawiane rozumowi. U zapatrzonego w Zachód inteligenta rozum kłóci się z sercem. Mamy kryzys kultury, który trwa parę setek lat. Tylko wielka sztuka

eprasa.pl a08be23ba5



i uczciwa nauka mogą porwać za sobą Polskę i Europę. Cywilizacja powstała z chęci mówienia prawdy, z potrzeby ewangelizacji – przykładem są cystersi, którzy dali nam rzemiosło, huty.

Żyjemy w wyobraźni kalekiej, zbudowanej przez oświeceniowy deizm. Ten ich dziwny, pusty, przerażający kosmos nakręcony przez demiurga, który odszedł. Prawdy trzeba szukać rozumem i sercem. Stara Europa obumiera. Ktoś powie: to naturalne, nieodwracalne procesy kulturowe. Bzdura.

Od trzech stuleci różne odłamy intelektualizmu walczą z regułami cywilizacji wywiedzionej z objawienia. Zaczynając od antychrześcijańskich nurtów oświecenia, po parareligijny ruch New Age z Nową Lewicą, rewolucją obyczajową, rewolucją gender, transhumanizmem, antynatalistycznym ekologizmem i z wieloma innymi rewolucyjnymi prądami. Dzisiejszego stanu świata zachodniego, który jest efektem ciężkiej, zaplanowanej pracy osobistych wrogów Pana Boga. Wiem, że łatwo nazwać to spiskowym widzeniem świata, więc zobaczmy rozwój jednej z tych tradycji – antychrześcijańskiej i antynaukowej „wiedzy" tajemnej.

Korzeni nowożytnego myślenia ezoterycznego można już szukać u żyjącego na przełomie XV i XVI w. lekarza i przyrodnika Filipa Hohenheima, zwanego Paracelsusem. Zawiązek idei New Age można znaleźć w XVIII-wiecznej myśli Emmanuela Swedenborga. Po pierwsze, pisał on o wyższości bezpośredniego kontaktu ze światem umarłych, ze światem duchowym, nad informacjami płynącymi z biblijnego objawienia. Po drugie, głosił ideę uzupełnienia nauk przyrodniczych i religii tradycyjnych poznaniem nadzmysłowym, okultystycznym. Po trzecie, głosił nadejście „czasu przełomu" w rozwoju ludzkości i kosmosu. Swedenborg prowadził długie rozmowy z aniołami i „duchami", czyli demonami. Jego idee rozpowszechniły się błyskawicznie. Spadkobiercami Swedenborga są m.in. Johann Wolfgang Goethe, Helena Bławatska, Éliphas Lévi i Carl Gustav Jung.

Kolejnym ważnym etapem prehistorii New Age jest ruch spirytystyczny, który po 1848 r. rozprzestrzenił się w zachodnim świecie z niebywałą siłą. Prezentowano ludziom nowe objawienie będące efektem kontaktu z „duszami zmarłych". Z tego środowiska wywodzi się Franz Mesmer, prekursor bioenergoterapii, który do korzystania z „zaświatowych przekazów" dodał korzystanie z „uzdrawiającej" siły płynącej z tego źródła. W środowisku spirytystycznym powstała również idea „myślenia pozytywnego" i naukowe zainteresowanie hipnozą, która jest zjawiskiem duchowym, a nie jedynie przyrodniczym. Również w XIX w. powstał najważniejszy dla New Age nurt okultystyczny: teozofia. Współzałożycielka Towarzystwa Teozoficznego Helena Bławatska była medium spirytystycznym. Głosiła idee zniszczenia chrześcijaństwa, zastąpienia idei osobowego Boga ideą bezosobowej kosmicznej zasady oraz ideę planu: świat ma być zjednoczony, na jego czele będzie stał jeden powszechny nauczyciel, Maitreya. Następczyni Madame Bławatskiej, Alice Ann Bailey, założyła w 1922 r. wydawnictwo Lucifer Trust, które opublikowało m.in. książkę Fritjofa Capry „Punkt zwrotny". W taki sposób powstały wszystkie istotne idee New Age, które w latach 60. zostały jedynie rozpropagowane.

Stan zachodniej kultury, stan społeczeństw Zachodu, jest efektem wielowiekowej pracy. Wszystkie ataki na instytucję rodziny, na Kościół katolicki, na wszelkie istotne rozróżnienia, które są dziedzictwem objawienia... Realizowany jest globalny projekt, w którym nie ma miejsca dla chrześcijan.

Najsilniejszym tekstem tworzonym przez człowieka jest jego życie. Zgodność tego, co się mówi, z tym, co się robi. Od 500 lat antychrześcijańskie środowiska naśladowców Erazma z Rotterdamu czy Rousseau wytrwale niszczą kulturę. Wyjałowiony zachodni świat cierpi i czeka. Nudzi się. Prawdziwy rozwój duchowy polega na pokorze.

Samozbawienie, „religia z Princeton" jest ślepą ścieżką. Nie będzie syntezy Wschodu i Zachodu. Objawienie z Princeton nie jest konkurencyjne wobec Objawienia. Oświeceni są ciemni jak tabaka w rogu. My za to musimy tworzyć język, którym będzie można komunikować chrześcijaństwo ludziom pozbawionym łaski wiary.

Benedykt XVI, ostatni papież ery nowożytnej, powiedział: „Dopóki grzeszymy, nie wykazując żadnego żalu, jedyną perspektywą jest wieczne potępienie". Ćwiczmy mięśnie duszy, bicepsy cnoty. Oby ciągnęło nas jedynie ku największemu dobru.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl a08be23ba5

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Praprzyczyna



Nie dywagacje, opinie, popularna publicystyka, a tym bardziej jakieś narracje, lecz konkrety, fakty, dokumenty, cytaty i sprawdzone źródła historyczne podawane przez wiarygodnych badaczy nauki i świadków historii. To zadanie dla edukacji, która jest fundamentem wiedzy. Kiedy fakty podaje konkretny badacz dziejów, powinna to być osoba mająca za sobą lata wiarygodnej pracy, często wbrew opiniom swojego środowiska i narzucanym prawdom. W opisie trudnych spraw polsko-ukraińskich taką wiarygodną osobą był dla mnie Wiktor Poliszczuk, którego miałem okazję poznać i zobaczyć, jak walczy o edukację, czyli przekazywanie obiektywnej wiedzy młodym pokoleniom Ukraińców i Polaków.

Urodził się w 1925 r. w Dubnie na Wołyniu, w rodzinie prawosławnej. Aresztowany w 1939 r. przez bolszewików razem z ojcem, matką i siostrami został zesłany do Kazachstanu. Pracował przy budowie kolei Akmolińsk–Kartały jako ślusarz.

W latach 1946–1981 mieszkał w Polsce w Legnicy, Wrocławiu, Jaworze. Skończył liceum pedagogiczne, studia prawnicze, uzyskał doktorat z politologii na Uniwersytecie Wrocławskim, był prokuratorem i adwokatem. W 1981 r. wyemigrował do Kanady, gdzie założył wydawnictwo, narażając się na liczne ataki, także fizyczne, ze strony swoich rodaków, sympatyków UPA i OUN. Z jakiego powodu?

W swoich licznych pracach naukowych opisywał ideologię ukraińskiego nacjonalizmu jako praprzyczynę ludobójstwa polskiej ludności na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej w latach 40. XX w. O tej praprzyczynie należy pisać i mówić, aby dotarła do wszystkich Ukraińców, a także do Polaków szukających innych powodów. Poliszczuk nie godził się z opiniami, że UPA walczyła tylko z AK, że miały miejsce wzajemne polsko-ukraińskie rzezie, że II RP traktowała Ukraińców jako obywateli drugiej kategorii, że to wojenny chaos spowodował hekatombę ludności polskiej, że winni są Polacy, którzy nie usłuchali wezwania OUN-UPA do opuszczenia ukraińskiego terytorium etnicznego, że AK i Delegatura Rządu RP dążyła do zatrzymania ukraińskich ziem w obrębie państwa polskiego za wszelką cenę, że OUN straciła kontrolę nad spontanicznym działaniem mas ukraińskich, że przyczyną jest pokutująca przez wieki nienawiść Polaków do Ukraińców, że winne są zaszłości historyczne itd. Nie zapominajmy, że Wołyń był okupowany przez Niemców.

Do grona dowolnych interpretatorów historii stosunków polsko-ukraińskich, historii OUN-UPA dołączył ostatnio prezydent Zełenski, nadając jednostce sił operacyjnych imię „Bohaterów UPA". Uczynił to „w celu przywrócenia historycznych tradycji narodowego wojska oraz uwzględniając wzorowe wykonywanie powierzonych zadań podczas obrony integralności terytorialnej i niepodległości Ukrainy". Trudno o bardziej fałszywe uzasadnienie, gdyż mordy popełnione na polskiej ludności (ponad 120 tys.) to nie „wzorowe zadanie" ani „obrona integralności terytorialnej" czy obrona „niepodległości" Ukrainy.

Poliszczuk dotyka sedna ludobójstwa na Wołyniu, pisząc o ideologii ukraińskiego nacjonalizmu jako o praprzyczynie tej tragedii. W felietonie sprzed dwóch tygodni („Zełenski – wódz") wspomniałem nazwisko Dmytra Doncowa i zawsze, kiedy dotykamy idei ukraińskiego nacjonalizmu, trzeba je przywoływać. To on jest autorem koncepcji nowego państwa ukraińskiego, zasadzającego się na koncepcji faszystowskiej. Takiego nacjonalizmu ukraińskiego nie należy utożsamiać z nacjonalizmami w europejskim znaczeniu tego słowa ani mylić z ukraińskim ruchem niepodległościowym, który rozwijał się w latach 20. XX w. Powtórzmy za Poliszczukiem: „Nacjonalizmu ukraińskiego nie można porównywać z nacjonalizmem polskim, czeskim, węgierskim. Homonimiczność nazwy może prowadzić do błędu w pojmowaniu nacjonalizmu ukraińskiego, który był w swej istocie odmianą faszyzmu-nacjonalizmu". Główną tezą swej doktryny Doncow uczynił twierdzenie, że „nacja" (naród) jest wieczna i stanowi gatunek w przyrodzie. Poliszczuk pisze: „Wychodząc z tej zasady, stosując nauki pochodzące z zachodnioeuropejskiej teorii darwinizmu społecznego, nacjonalizm ukraiński zakłada naturalną nieuniknioność permanentnej wrogości między nacjami w ich walce o byt i przestrzeń". Konsekwencją tej faszystowskiej i rasistowskiej teorii jest przekonanie (powszechne wśród wyższych rangą dowódców OUN-UPA), że członkowie wszystkich innych nacji są wrogami nacji ukraińskiej. Z tych powodów nacjonalizm ukraiński jako forma ideologii faszyzmu, nazizmu i rasizmu jest przeciwieństwem ukraińskiego patriotyzmu.

Współczesna Ukraina, aspirująca do UE i NATO, musi zrewidować swoją przeszłość z lat wojny, szczególnie gdy chodzi o ludobójstwo Polaków na Wołyniu, odciąć się od przeszłości OUN-UPA, organizacji zbudowanych w myśl teorii Doncowa. Tego, który na szczycie „nacji" stawia „wodza", w drugiej kolejności „elitę", a na końcu „nacji" widzi tłum, który nazywa „czernią" albo „okiełznanym bydłem". Nawet gdyby współczesna Ukraina przyjęła taką strukturę państwa, to nie do zaakceptowania jest gloryfikowanie przez nią morderców innych nacji.

eprasa.pl a08be23ba5

OGNIEM NA WPROST

Konsekwencje ożywiania upiorów



Andrzej Rafał Potocki

Dziś trochę mniej wesoło, bo sytuacja nas do tego zmusza. Dobre stosunki polsko-ukraińskie nadal stoją pod znakiem zapytania. Na razie niewiele wskazuje na to, by Wołodymyr Zełenski cofnął decyzję o nadaniu imienia „Bohaterów UPA" Centrum Operacji Specjalnych Północ. Do tego wszystkiego Kijów może zapomnieć o NATO. Ten poważny kryzys wywołało przede wszystkim głupie cwaniactwo państw europejskich i odmowa ze strony USA dalszego pełnienia roli dojonego frajera. Poza tym po postawieniu przez nowy rząd w Budapeszcie żądań odnośnie do statusu mniejszości węgierskiej na Ukrainie, kanclerz Niemiec Friedrich Merz poinformował prezydenta Zełenskiego, że wszystko, czego Ukraina może się spodziewać, to status państwa stowarzyszonego z UE. O pełnej akcesji Kijów może na razie zapomnieć. Ukraina staje zatem w obliczu kluczowego kryzysu politycznego, może największego od 2014 r. Cele polityczne wojny – wstąpienie do NATO i UE – na razie są nieosiągalne.

Ukraina ma gigantyczny problem z uzupełnianiem sił na froncie. Dlatego władze w Kijowie poprosiły państwa europejskie o wyłączenie mężczyzn w wieku poborowym (między 23. a 60. rokiem życia) spod specjalnych praw przysługujących ukraińskim uchodźcom. Ze strony ukraińskiej padła już sugestia, że to najlepszy moment na powrót do negocjacji z Rosją. Wniosek: w Kijowie doskonale rozumieją, że koncepcja odzyskania wszystkich utraconych terytoriów zaczyna być coraz mniej realna. To natomiast podważa w odbiorze społecznym sens dotychczasowej walki i będzie wywoływać frustrację społeczną bazującą na przekonaniu, że można było wygrać więcej.

Z ok. 1,5 mln przebywających w Polsce obywateli Ukrainy (z których nie każdy ma poczucie ukraińskiej tożsamości, a ok. 200 tys. posiada Kartę Polaka) co piąty zamierza pozostać i osiedlić się nad Wisłą. Tu mają dom, pracę i są cenionymi pracownikami. Stopa bezrobocia wśród nich jest niższa niż wśród „rdzennych Polaków". Ci ludzie nie mają po co wracać na Ukrainę. A w drugim pokoleniu ten stan się pogłębia: mało kto nie mówi po polsku, mało kto nie ma polskich kolegów i przyjaciół, dzieciaki działają w drużynach harcerskich. Owszem, jakaś część trzyma się razem, ale jeśli 20 proc. otwarcie mówi o tym, że chce pozostać, a 60 proc. uzależnia decyzję od sytuacji, dla Ukrainy brzmi to jak wyrok śmierci. Bo oznacza to, że ten kraj bezpowrotnie straci na rzecz Polski do miliona faktycznych i kilka milionów potencjalnych obywateli. Sytuacja jest poważna, szczególnie jeśli chodzi o kobiety, bo ukraińskie matki, chcąc chronić dzieci, wychowają je na 100-procentowych Polaków, którzy nawet nie będą podejrzewać, jakie mają korzenie. Dlatego Ukraina cały czas musi podgrzewać antyukraińskie nastroje w Polsce. Po to, by uchodźcy nie chcieli tu zostawać, ale zapragnęli wrócić do siebie. Co robi każda władza, kiedy grunt usuwa się jej spod nóg? Ucieka w nacjonalizm jako bazowy czynnik budujący tożsamość i dający legitymację do rządzenia. W dodatku taki ruch, wywołując oburzenie w Polsce, pozwoli na nowo stworzyć poczucie zagrożenia. Po co? Właśnie po to, żeby choć na chwilę odzyskać w społeczeństwie poczucie jedności narodowej i skupienie wokół urzędu prezydenta.

Ale nic nie poszło tak, jak przewidywano. Po pierwsze, reakcja Polski była dla ukraińskich władz całkowitym zaskoczeniem. Wcześniej na wszystkie takie sytuacje strona polska reagowała w sposób umiarkowany. Oburzenie wyrażały środowiska dość skrajne. Tym razem jednak, nie licząc zaprzańców (np. tych skupionych wokół środowiska „GW"), którzy nie przepuszczą żadnej okazji, by zwymiotować na własne społeczeństwo, protest – bardziej lub mniej radykalny – był reakcją na tyle powszechną, że nawet co przytomniejsi politycy opcji proeuropejskiej zaostrzyli retorykę. Reakcja polskiego społeczeństwa była zdecydowana, stanowcza, spontaniczna i co najważniejsze – niezależna od opcji politycznej (nie licząc zaprzańców). Ponadto prezydent Karol Nawrocki odpowiedział z grubej rury, wnioskując o odebranie Orderu Orła Białego prezydentowi Zełenskiemu. Kiedy Tusk zorientował się, że wniosek ten popiera większość obywateli RP, uznał, że jest on uzasadniony. Możliwe zatem, że ostatecznie podpisze kontrasygnatę, co przesądzi o wyniku. Do tego równie nieprzyjemne dla Kijowa są reakcje światowych mediów. Agencja Reutera, Politico, Euronews, a nawet Al-Jazeera opublikowały zdystansowane artykuły, w których dość dokładnie i obiektywnie opisano zbrodnię wołyńską, a w dodatku pamięć o niej została zestawiona ze wsparciem, którego udzieliło Ukrainie polskie państwo, a co ważniejsze, także społeczeństwo. Ożywienie upiorów UPA naprawdę może wyjść Kijowowi bokiem.

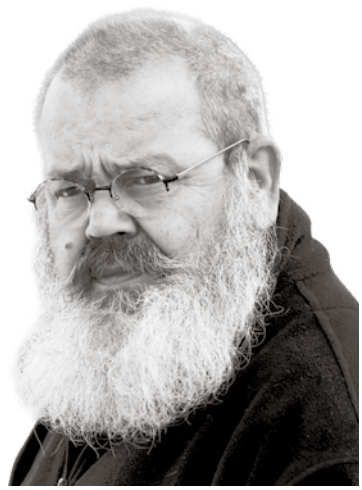
Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a08be23ba5

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Żerowisko



Aleksander Nalaskowski

W Polsce o korupcji mówi się zwykle wtedy, gdy wybucha kolejna afera na szczeblu centralnym. Przez kilka dni politycy przerzucają się oskarżeniami, media publikują kolejne kompromitujące informacje, a obywatele po raz kolejny słyszą, że winni zostaną rozliczeni. Potem wybucha następna afera i poprzednia zostaje zapomniana. Tymczasem prawdziwy problem nie polega wyłącznie na pojedynczych skandalach. Problemem jest kultura polityczna, która przez lata oswoiła społeczeństwo z przekonaniem, że władza służy przede wszystkim tym, którzy ją sprawują. Afery Grodzkiego czy Gawłowskiego nie robią więc większego wrażenia, bo w potocznej świadomości korupcja jest wpisana w sprawowanie władzy.

Korupcja w Polsce nie zaczyna się jednak w ministerstwach i nie kończy w gabinetach parlamentarzystów. Jest obecna także w samorządach, gminach, powiatach, ratuszach, spółkach komunalnych, lokalnych instytucjach i urzędach. To właśnie tam często działa najbardziej skutecznie, bo pozostaje najmniej widoczna. O ile ogólnopolskie afery trafiają na pierwsze strony gazet, o tyle lokalne układy latami funkcjonują w cieniu, chronione przez zależności towarzyskie, rodzinne i biznesowe.

W wielu mniejszych miejscowościach mieszkańcy doskonale wiedzą, kto otrzyma stanowisko jeszcze przed ogłoszeniem konkursu. Wiedzą, która firma wygra przetarg i który przedsiębiorca może liczyć na przychylność urzędu. Formalnie wszystko odbywa się zgodnie z procedurami, ale rezultat dziwnym trafem niemal zawsze odpowiada interesom osób znajdujących się najbliżej lokalnej władzy. To nie musi być korupcja w najbardziej prymitywnej postaci koperty wypchanej gotówką. Współczesna korupcja często jest znacznie bardziej wyrafinowana. Przybiera formę politycznych przysług, stanowisk dla krewnych i znajomych, zleceń dla zaprzyjaźnionych podmiotów czy budowania sieci wzajemnych zobowiązań.

Najbardziej destrukcyjne jest jednak to, że korupcja nie ogranicza się do konkretnych partii. Każda formacja, która dostatecznie długo pozostaje przy władzy, zaczyna wykazywać podobne objawy. Zmieniają się hasła, logotypy i liderzy, ale pokusa zawłaszczania państwa pozostaje niezmienna. Partie, które w opozycji obiecują transparentność i uczciwość, po zdobyciu stanowisk często odkrywają niezwykłe zalety nepotyzmu i politycznych nominacji. W efekcie wyborcy otrzymują nie tyle wybór między uczciwością a korupcją, ile między różnymi grupami zainteresowanymi przejęciem tych samych mechanizmów. W takim znaczeniu korupcja jest ponadpartyjna.

Szczególnie niebezpieczne są lokalne układy, ponieważ niszczą fundament demokracji – zaufanie obywateli. Mieszkaniec, który zauważa, że o sukcesie decydują znajomości, a nie kompetencje, przestaje wierzyć w jakikolwiek sens zaangażowania społecznego. Przedsiębiorca, który widzi nierówne traktowanie, zaczyna traktować prawo jako przeszkodę, a nie gwarancję uczciwej konkurencji. Młody człowiek dochodzi do wniosku, że bardziej opłaca się szukać wpływowych znajomych, niż rozwijać własne umiejętności. Tak rodzi się cynizm, który staje się największym sprzymierzeńcem korupcji.

Wielu obywateli potępia korupcję tylko wtedy, gdy dotyczy politycznych przeciwników

Najbardziej bolesne jest jednak społeczne przyzwolenie na ten stan rzeczy. Wielu obywateli potępia korupcję tylko wtedy, gdy dotyczy politycznych przeciwników. Gdy podobne praktyki stosują „nasi", nagle pojawiają się usprawiedliwienia, tłumaczenia i relatywizowanie problemu. W ten sposób korupcja przestaje być postrzegana jako zagrożenie dla państwa, a staje się narzędziem walki politycznej.

Państwo, w którym korupcja jest tolerowana, płaci za nią ogromną cenę. Nie tylko finansową. Traci jakość instytucji, skuteczność administracji i wiarygodność prawa. Największe straty są jednak trudne do policzenia. To utracone szanse ludzi, którzy przegrali z układem. To inwestycje, które nigdy nie powstały. To obywatele, którzy stracili wiarę, że uczciwość ma jakiekolwiek znaczenie.

Polska nie potrzebuje kolejnych deklaracji walki z korupcją wygłaszanych podczas konferencji prasowych. Potrzebuje rzeczywistej przejrzystości, niezależnych instytucji kontrolnych i konsekwentnego rozliczania nadużyć, bez względu na barwy partyjne.

Dopóki jednak politycy będą traktować państwo jak łup wyborczy, jak żerowisko, a część społeczeństwa będzie gotowa przymykać na to oko, korupcja pozostanie nie wyjątkiem, lecz jednym z najbardziej trwałych elementów polskiego życia publicznego.

eprasa.pl a08be23ba5

***Michał Korsun prezentuje:* Paulina Kosiniak-Kamysz matką chrzestną niechcianego dziecka szefa MON**



Wycinki z przeszłości

„Położenie ich stało się niemożliwem do niesienia” – skarżyli się w 1926 r. władzom Indii poddani maharadży Idaru. Według petycji Daulat Singhji urządzał „ze swemi kochankami i towarzyszami hulanek nieopisane orgje w świątyniach”, podczas których „niszczono wizerunki bogów”, a „nagim damom oddawano cześć jako bóstwom”. By finansować te zabawy, urzędnicy mieli ściągać „4 razy więcej podatków” niż przewidywało prawo.

(sp)


Dzisiejszy numer wraz dodatkiem sportowym kosztuje jak zwykle 20 gr.
Nal. poczt. opł. ryczałt. Numer zawiera 14 stron druku. Wydanie: F E D E B A
Cena numeru w Krakowie: 20 gr. na prowincji:
ILUSTROWANY
KURYER CODZIENNY
Rok XVII.
„ILUSTROWANY KURYER CODZIENNY“ — Nr. 36. Wtorek
Orgje w hinduskiej świątyni
Wybryki maharadży z Idaru.
Londyn, 27 sierpnia.
Władze w Indjach znalazły się znowu w ten przykrem położeniu, że muszą rozpatrywać skargi poddanych pewnego pomiędzy książąt perzeciwko ich władcy. Poddani małego państewka hinduskiego Idar, wreszcie gubernatorowi w Bombaju petycje, w której zaznaczają, że położenie ich stało się niemożliwem do niesienia. Oto maharadża z Idaru, Daulat Singhji, urządza ze swemi kochankami i towarzyszami hulanek nieopisane orgje w świątyniach. Do petycji dołączono zeznania kapłanów, stwierdzające, że maharadża niedawno odbywał przez szereg dni w głównej świątyni Idaru, dopuszczając się tam wszelkiego rodzaju karygodnych wyb
aby towarzyszącym mu nagim damom oddawano cześć jako bóstwom.
Aby zdobyć pieniądze na takie zabawy, maharadża ponosiła wolną rękę urzędnikom, którzy z ludności ściągali 4 razy więcej podatków, aniżeliby ustawowo się należało. Urzędnicy nietylko obdzierają ludność ze skóry przy wymiarze podatku, ale bezlitośnie, oporn
Jak wiadomo, rząd anglo-hinduski w Bombaju ma pod swoją pieczą 151 małych odrębnych państewek w zachodnich Indjach, a wśród nich Idar, z 2.226 mieszkańców.
Obecny maharadża panuje od 1911 r., a urodził się w r. 1878.



Ryszard Czarnecki

Z WOLEJA

Brzydsza twarz mundialu

Piłkarskie mistrzostwa świata zachorowały na „chorobę słoniową”. Po raz pierwszy uczestniczy w nich aż 48 państw, co stanowi... 25 proc. wszystkich państw należących do ONZ. Czasy, w których występy na futbolowym mundialu były jak wkroczenie na sportowy Olimp, minęły. Dzięki temu wiele reprezentacji gra w nim po raz pierwszy. Przeważnie dostają łomot, ale szwajcarski szef FIFA kieruje się zasadą, którą sformułował trener piłkarskiej reprezentacji Polski Janusz Wójcik, czyli „Wójt”: „Kasa, misiu, kasa”. Pan Infantino liczy „dudki” i nie zwraca uwagi na tych, którzy podliczają jego. Właśnie dostał paszport Libanu (jego żona pochodzi z tego pięknego i jednocześnie nieszczęsnego kraju) i akurat – co za przypadek – FIFA funduje centrum treningowo-szkoleniowe w nowej ojczyźnie swojego prezesa. Bo choć zmieniają się piłkarskie przepisy, to nie zmienia się „prezydent” Infantino. Przed mundialem w Rosji i podczas niego płaszczył się przed Putinem. Przed i podczas mundialu w Katarze skakał wokół emira Hamada Al Saniego, a teraz pastuje buty Trumpowi, bo mundial Anno Domini 2026 odbywa się m.in. w USA. Między innymi, bo także w Kanadzie i Meksyku – to też przejaw piłkarskiej „elefantiazy” (wspomnianej choroby słoniowej), bo MŚ jeszcze nigdy nie były rozgrywane aż w trzech krajach.

Tradycyjnie, jak na wielkim turnieju przystało, sędziowie chcą przyćmić futbolistów. Arbiter ze Słowenii, który wypaczył wynik meczu barażowego Szwecja–Polska w Sztokholmie na korzyść gospodarzy, znowu dał ciała, ale sędziować musi, bo jest rodakiem szefa UEFA, a federacja światowa chce dobrze żyć z federacją europejską.

W ramach specyficznej transparentności sędziom na mundialu każe się tłumaczyć widzom – do mikrofonu i po angielsku – dlaczego zawodnik dostał czerwoną kartkę. Arbiter z Brazylii pokazał aż trzy i wyjaśniał to, dukając w języku Szekspira. Szczerze mówiąc, wolę, jak arbiter dobrze sędziuje i źle mówi po angielsku, niż gdyby gadał jak tłumacz symultaniczny, ale nie odróżniał rzutu rożnego od rzutu z autu. Jak mawiał mój przez krótki czas szef (w resorcie kultury i sztuki) Kazimierz Dejmek, „aktorzy są do grania jak d...a do srania”.

Władze Kanady nie wpuściły na mecz reprezentanta Ghany oskarżonego (ale nieskazanego) za gwałt. Murzyn zagra jednak w dwóch kolejnych meczach, bo odbędą się one w USA, a Amerykanie przyznali mu wizę. Ci sami Jankesi nie wpuścili jednak sędziego z Somalii, uznając, że gwizdek też może służyć terrorystom, których w tym kraju jest pod dostatkiem. Takich dziwów na tym mundialu będzie pewnie jeszcze od groma.

eprasa.pl a08be23ba5



OD A DO ZYBERTOWICZA

Kamień filozoficzny polskości. Odsłona druga

Czy stereotypowy podział na emocjonalny zryw i chłodną kalkulację w gruncie rzeczy nie sygnalizuje dwóch stanów tej samej materii polskości?

Czy w obecnej sytuacji politycznej, a zwłaszcza cywilizacyjnej (myślę o nadchodzącym skoku sztucznej inteligencji), jest możliwe znalezienie czegoś, co w przenośni określę mianem „kamienia filozoficznego polskości"?

W ALCHEMII

W tradycji, czyli w alchemii, kamień filozoficzny to coś uporczywie poszukiwanego, unikalnego, nader cennego. To katalizator – substancja, która miała umożliwić przekształcenie (transmutację) metali nieszlachetnych w złoto, czyli zamienić coś o mniejszej wartości w coś znacznie bardziej wartościowego. Z historii wiemy, że dawnym alchemikom się to nie powiodło, chociaż przyczyniło się do rozwoju protonauki.

SOCJOLOGICZNIE

W ujęciu socjologicznym i praktycznym – czym mógłby być ów kamień polskości? Czy jakimś jeszcze nie do końca rozeznanym, niepowtarzalnym mechanizmem społeczno-kulturowym, który pozwalałby przekształcać kryzysy, geopolityczne wstrząsy i wewnętrzne sprzeczności w zasób rozwojowy i zdolność adaptacyjną?

Na czym mogłoby to polegać? Myśląc trochę spekulacyjnie, zaproponuję trzy ścieżki typowe dla Polaków i dostępne nam w racjonalnej transmutacji.

1. Samoorganizacja kryzysowa

Ze stabilnością, a zwłaszcza efektywnością instytucji mamy problemy. Polskie złoto społecznej solidarności rzadko rodziło się w warunkach odgórnych, systemowych procedur. Impulsem niejednokrotnie stawał się kulturowy odruch natychmiastowej, poziomej improwizacji w obliczu zagrożenia. Gdy oficjalne struktury zawodzą, aktywuje się coś, co w języku dzisiejszych technologii można by nazwać nieformalnym algorytmem sieciowania. Poczynając od XIX-wiecznej organicznej samoorganizacji podziemnej po współczesne zrywy pomocowe.

2. Synteza romantyzmu z pozytywizmem

Zastanawiam się, czy stereotypowy podział na emocjonalny zryw i chłodną kalkulację w gruncie rzeczy nie sygnalizuje dwóch stanów tej samej materii polskości.

Może nasz kamień filozoficzny odsłania się i działa najskuteczniej, gdy romantyczny etos wolności i indywidualizmu zostaje wprowadzony w koleiny pozytywistycznego myślenia nastawionego na konkret?

Czyż współczesny sukces ekonomiczny i transformacyjny nie jest efektem tej właśnie syntezy: historycznie uwarunkowany głód sukcesu Polaków realizowany poprzez twardą, organiczną przedsiębiorczość, w tym naszą (dość unikalną?) zdolność do „kombinowania", czyli łączenia ze sobą niekojarzonych przez innych elementów gry gospodarczej.

3. Przekuwanie anarchizmu w odporność

Idzie o to, co określa się jako *resilience*. Uformowana przez nasze narodowe traumy podejrzliwość wobec władzy i skrajny indywidualizm w czasach stabilnych sprzyjają chaosowi i polaryzacji. Jednocześnie w momencie próby ten sam „anarchizm" może stać się barierą nie do przebicia dla zewnętrznych prób formatowania czy centralnego sterowania. Może polskość w swojej racjonalnej esencji jest strukturą rozproszoną, odporną na zniszczenie jednego punktu dowodzenia?

KULTUROWY PROCESOR

Przyjmijmy, że trzy wskazane ścieżki prowadzą w dobrą stronę. Wtedy kamień filozoficzny polskości byłby kulturowym procesorem, który z historycznych traum, trudnego położenia geograficznego i wewnętrznej skłonności do swarów potrafi w warunkach skrajnego ciśnienia wydobyć eliksir przetrwania, a nawet skokowej modernizacji.

Przy takim ujęciu nie mamy do czynienia ze stałym zestawem cech narodowych, ale z dynamicznym algorytmem reakcji na stres. Jego największą słabością pozostaje to, że do pełnej aktywacji potrzebuje zewnętrznego katalizatora (kryzysu) – bez niego system o nazwie „Polska" wykazuje tendencję do przegrzewania się w jałowych, wewnętrznych sporach.

A CHRYSTUS NARODÓW?

Czy tak zarysowana – racjonalna, mieszcząca się w ramach perspektywy socjologicznej – interpretacja „kamienia filozoficznego polskości" wymaga odrzucenia mistycznego mesjanizmu? Porzucenia Polski jako „Chrystusa narodów" na rzecz czystego podejścia funkcjonalnego?

Mój pierwszy odruch to: „Broń Boże!". Bez Polek i Polaków, od dekad uporczywie modlących się o swój kraj, „racjonalne transmutacje" nie miałyby należytego kulturowego podglebia.

Andrzej Zybertowicz

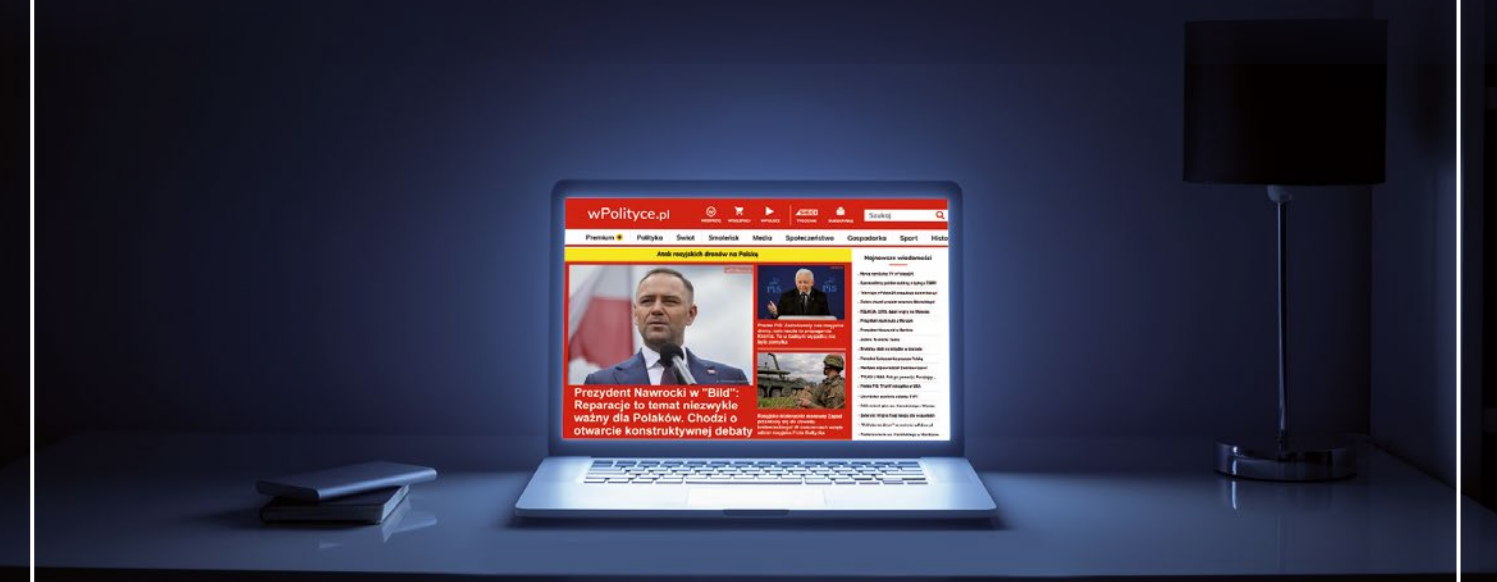
Autopromocja x2

eprasa.pl a08be23ba5

wPolityce.pl

NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE

nawet kiedy śpisz



WEJDŹ NA:

wPolityce.pl



GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43	EPG 825, EPG PON 257	YouTube
telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio	multiMedia	TelewizjawPolsce24

eprasa.pl a08be23ba5